

De. II. 4.

TOM CCL

ROK 63

SERYA 9

ZESZYT 750

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

KWIECIEŃ.

1903.

---

TOM II. — ZESZYT 1.

---

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

—  
1903.

# TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO TRAKTAT O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU, — wydał i słowem wstępnem poprzedził Adam Krasiński . . . . .	1
2. FATA MORGANA. Szkic historyczny, — przez prof. A. Brücknera . . . . .	36
3. AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elżę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg) . . . . .	71
4. IDEA SAMODZIELNOŚCI GALICJI A JEJ FINANSE, — przez Wł. Studnickiego . . . . .	96
5. DRAMAT I OPERA, — przez Władysława Bogusławskiego . . . . .	113
6. NOWE DROGI, NOWE BOGI, — przez Henryka Gallego	141
7. ROZMAITOŚCI: Beniowski w Ameryce, — przez W. M. Kozłowskiego . . . . .	155
8. PIŚMIENICTWO: <i>Zygmunt Gloger</i> : Encyklopedia staropolska ilustrowana Tom III-ci. Warszawa, 1902, str. 350 wielkiego 8-o w dwie szpalty, — przez prof. A. Brücknera . . . . .	171
<i>Dr Zygmunt Gargas</i> : Związki zawodowe jako przedmioty administracji publicznej, 1901, — przez A. R. . . . .	176
<i>Dr Zygmunt Gargas</i> : Staszic jako statysta, 1902, — przez A. R. . . . .	179
<i>Herman Roeren</i> : Zur Polenfrage, 1902, — przez A. R. . . . .	181
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Jego Ekscelencya Chościak Popiel, arcybiskup warszawski. — Wystawa krajowa. — W sprawie lekarzy szpitali warszawskich. — „L'oeuvre philanthropique du lait“. — Hygiena miast i wsi. — Schronisko w Drewnicy. — Zapis Choynowskiego . . . . .	186
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	199

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

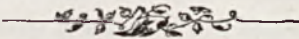
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 250.




BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1903. — Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5.

—  
1903.

ODDZIAŁOWO WARSZAWA

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De. II 1.

Дозволено Цензурою.  
Варшава 19 Марта 1903 года.

Rok 1903 - Tom II

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne

1903

# ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO TRAKTAT O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.

---

## SŁOWO WSTĘPNE WYDAWCY.

---

*Mysł Zygmunta Krasińskiego, zawartą w „Traktacie o Trójcy“, badać i rozważać możemy, jako pożądanie duszy płomiennej, jako szerokiego rozumu pojmowanie, szlachetne i duże, ale o swej nieomyślności nie mówiące.*

*Uprawnił nas do tego sam Poeta, gdy w pokorze uznał konieczność posłuszeństwa wobec Prawdy Kościoła, a tem samem siebie wiernym Kościoła tego synem. W liście do Jerzego Lubomirskiego, z dnia 20 kwietnia 1854 roku, pisze tak Krasiński do przyjaciela: „Konstanty (Gaszyński) i XXX posiadają mnóstwo śladów moich — pamiętaj kiedyś je przetrząść i otrząść z pyłu, co znajdziesz tego godnem... ...A pośród śladów jeśli co znajdziesz heretyckiego, to wyrzuć. Będiesz mógł o to naradzić się z Kajsiewiczem, który szeroko-myślnym i głęboko serdecznym Duchem jest“.*

*Temi słowy dał nam prawo mówić o myśli swojej i rozsądzać ludzkie rozumowania, bez ujmy i uszczerbku religijnej prawowierności autora.*

*Nie mieć przecie przystoi ten rozbiór krytyczny i ta rozświecająca praca. Pragnąłbym gorąco, by się ku niej garnęły umysły, albowiem karmiące to i posilające myśli, ku którym zaprawdę przybiegać warto. Nadto, nie znam w literaturze naszej żadnej pracy w tej dziedzinie o filozoficznym*

podkładzie, kromie jednej p. Porębowicza <sup>1)</sup>. Chcę atoli wskazać w krótkim zarysie, jak się wiara w trzecią Epokę i panowanie Ducha Świętego, wśród dziejów kolei, budziła i rozwijała, a zarazem, jak się wobec sądu Kościoła ostaje, i rzecz tę w następnych zeszytach „Biblioteki“ zamieszczę, nie abym tuszył, że coś powiem nowego i dobrego, ale by na tej drodze, choć pobieżnie, zaznaczyć, ile myśli i jak mało znanych a ważnych dla zrozumienia Zygmunta Krasińskiego, zawiera się w mistyce średniowiecznej i filozofii religijnej niemieckiej.

Pochodzi „Traktat o Trójcy“ z lat 1840 — 1841. Myśl filozoficzna czerpana z niemieckich wzorów, z Schellinga przede wszystkim, jeszcze w roku 1836, z Hegla następnie, po zbliżeniu się Poety z Augustem Cieszkowskim. Już w „Trzech myślach Ligenzy“ znać ją czynną i kształtującą się, a „Sen Cezary“ pochodzi z roku 1839 (17 sierpnia w Albumiku Delfiny Potockiej) — „Syn Cieniów“ zaś, ten niesłychanie ciekawy i ważny dla poznania tej myśli poemat, poczęty w pierwszym pomysle na wiosnę 1841 roku (Neapol, Albumik II). W 1840 roku podobnież rodzi się pomysł „Niedokończonego Poematu“.

W „Listach do Edwarda Jaroszyńskiego“ mamy już od 1839 roku zapowiedź krytycznego wejrzenia na Schellinga i Hegla („a ja wierzę głębooko, ale nie w Hegla“). Od wiosny 1840 roku Krasiński przejęty jest cały rozprawą A. Cieszkowskiego, „zawierającą myśli takie, że duch nasz kornie się im kłaniać powinien“.

Streszcza on Jaroszyńskiemu „Prolegomena“ 21 lutego 1840 roku i przypomina mu: „przed ośmiu miesiącami twierdziłem Ci przeczuciem, że już stanowisko Hegla przeskoczonym jest. Teraz mogę ci tego dowieść rozumowaniem“ <sup>2)</sup>. I wywodzi mu, że Cieszkowski Hegla dalej rozwinął, „poprawił w filozofii historii, a w absolutnej odmienił“. Temi wycodami przysposabiał się już Zygmunt Krasiński do „Traktatu o Trójcy“.

Jest wreszcie w „Traktacie“ mnóstwo odzewów z Resurrectur i s. Otóż „Resurrecturis“ tak, jak je mamy, napisał Krasiński znacznie

<sup>1)</sup> Tryady Zygmunta Krasińskiego. Skreślił Edward Porębowicz. W „Księdze Pamiątkowej Uniwersytetu Lwowskiego, ku uczczeniu 500-nej rocznicy Uniwersytetu Jagiellońskiego“. Lwów, 1900.

<sup>2)</sup> Listy do E. Jaroszyńskiego... ogłosił M. Gorzkowski. W Krakowie, 1871, str. 40, 46 — 50.



później, a napisał dla Adama Potockiego. Pomysł i założenie, przeciwnie, wczesne bardzo, a treść myślowa porównie wczesnie poznana i przerobiona. Jeżeli powiadamy z prof. Tarnowskim, że „Resurrecturis“, to bodaj punkt kulminacyjny pojęć Krasińskiego — to równocześnie przyznać musimy założenie tych pojęć, bardzo wyraźne już i mocne w epoce *Myśli Ligenzy*. A to kardynalną cechą umysłu Krasińskiego i dowodem filozoficznej mocy myślenia, że się z latami wyobrażenia i pojęcia rozwidniają, i wzwyż dążą, a nie przelamują bezwiednie. W jednym z listów z grudnia 1839 roku tak pisze Krasiński do pani Delfiny: „*Stuchaj, na cmentarzu w Balzano, to jedno słowo łacińskie nad bramą — Resurrecturis*“. A w listach dalszych parę razy to słowo powtórzone, raz zaś wspomina o medalionie z tym napisem, który darował swej ukochanej.

Według świadectwa Katarzyny Adamowej Potockiej, czytał Zygmunt Krasiński „*Traktat o Trójcy*“ w późnej jesieni 1842 roku Aleksandrowi Branickiemu w Rzymie, jako rzecz już skończoną i napisaną od dosyć dawna <sup>1)</sup>. Mowa tu o części pierwszej, którą obecnie wydajemy, kończącej się słowy: „*I wyszli z Raju ludzie! I wyszli, i poszli, i dojdą!*“.

Część druga, zachowana w fragmencie — historyzoficzną i mессиaniczną jest <sup>2)</sup>. Najważniejszem z niej, że zdawa się przygotowywać drogi dziełu Augusta Cieszkowskiego <sup>3)</sup>, powołującemu Ludzkość ku nowemu z Bogiem przymierzu.

Pisze bowiem Krasiński, mówiąc o Słowiańszczyźnie polskiej, „*że w jej to wnętrzach urodzić się musi dzień obiecanej przez Chrystusa pociechy — dzień Ducha Świętego..., ...że w duszy jej musi nastąpić przedewszystkiem rozświetlenie religijne. Wiedza religijna na miejscu samej ślepej wiary wtedy się rozwidni, a przed wiedzą ona odtajemniczyć się muszą tajemnice, dotąd niezrozumiane, lub zaprzeczone...*“.

Otóż zestawmy te słowa z listem do Delfiny Potockiej z dnia 7 lipca 1841 roku (Genua). Czytamy tam, że jasnowidząca jakaś stara

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie w Monachium, gdzie Krasiński bawił podczas choroby Danielewicza, w styczniu i lutym 1842 roku.

<sup>2)</sup> Wyjdzie w *Wydaniu zupełnem* dzieł Krasińskiego, podjętem staraniem Księgarni Polskiej we Lwowie.

<sup>3)</sup> „*Ojczyzna nasza*“, którego to dzieła ukazał się Wstęp i Tom pierwszy.

przepowiedziała we śnie magnetycznym, iż wkrótce obali się K o p u l a (sc. świętego Piotra, porównać *Legendę*), „przemieni się wiara i że człowiek, który to zdziałać ma, już żyje, a urodził się i mieszka w Polsce“. Tu Krasiński dodaje zaraz: „Co mówisz, gdyby o tem proroctwie wiedział August nasz?“.

Rodowodu pojęć, jakie się objawiły w „Traktacie o Trójcy“, a dalej w „Psalmach“, szukać trzeba w niemieckiej filozofii religii — w Heglu i Schellingu. Zygmunt Krasiński bowiem, od młodości wczesnej religię badający i skory<sup>1)</sup> do filozoficznej rozbudowy myśli, z założenia umysłu inkwizycyjny — wiedzę swą rozszerzył naukami współczesnych Niemców, wiele wziął od nich i nie zaprzecza temu.

Czerpiemy to własne jego świadectwo z czasów tych przełomowych i ważnych, z doby lat 1838 — 1842. Pisząc do Delfiny Potockiej w roku 1841<sup>2)</sup>, mówi myśliciel i poeta „*Trzech myśli*“: „Dzieje się z nami, jak z systemami filozoficznymi Idealistów i Empiryków — wyszły z przeciwnych źródeł, pogodzić się nie mogą, a jednak kiedyś złąć się muszą w jedno, bo jeden Bóg je stworzył. Konstancy (Danielewicz) jest Trentowskim między nami, chciałby moją idealną, niemiecką filozofię pojednać z filozofią francuską, doświadczałną, mego Ojca“.

W „Traktacie“ odszukać możemy myśli Schellinga i Heglowską syntezę, a jest „Traktat“ ten dla zrozumienia „*Niedokończonego*“, „*Trzech myśli*“, zarówno jak późniejszych „*Psal mów*“ i „*Ressurrecturis*“ arcyważnym, i klucze daje do filozoficznego poglądu Poety.

Rękopis, który tu po raz pierwszy w całości jest wydrukowany, przejrżeli na życzenie, wyrażone za życia przez Zygmunta Krasińskiego, O. O. Kajsiewicz i Semenenko, i osobnem pismem, datowanym z Rzymu, dnia 7 maja 1860 roku, wydali sąd swój o „O Trójcy w Bogu i o Trójcy

<sup>1)</sup> Porównać ustęp pod tytułem: „*Ecrit la nuit*“ („z uczuciem i bojaźnią w nocy pisane“ — w korespondencyi do Reeve'a — z *Genewy* 16, 17, 18 października 1830 roku).

<sup>2)</sup> Dnia 3 sierpnia z Wildungen, gdzie bawił z ojcem.

w Człowieku“; pismo to ukaże się niebawem w wydaniu zbiorowem *Dziel Zygmunta Krasińskiego* <sup>1)</sup>).

Sąd OO. Zmartwychwstańców opierał się, oczywiście, na zasadach dogmatycznych Kościoła, i uznał, że „Traktat“ wyszedł „z pod pióra autora w młodszych jeszcze jego latach, w owej chwili przejścia i walk wewnętrznych, w owej burzy umysłu, którą ten wysoki Duch musiał przeżyć i zwyciężyć, nim mógł być wyjść na jaśnie światła Bożego i używać onej pogody niebieskiej, która mu przy końcu tak pięknie świeciła“.

Z różnych powodów oświadczyli się OO. Kajsiwicz i Semenenko przeciw ogłaszaniu „Traktatu“ drukiem. Względy i ostrożności ich byłyby całkiem słuszne, gdybyśmy ogłaszali „Traktat“ jako absolutną i niewzruszoną wiarę Autora. Tak jednak nie jest. Mamy w „Traktacie“ nie ostateczną kryształizację zasad i wiary Poety, ale tylko etap ważny i ciekawy w rozwoju jego myśli filozoficznej, jedno stanowisko w szeregu innych, które Zygmunt Krasiński w sumieniu swem przewałczył.

Po latach zas przeszło pięćdziesięciu mówić o tem stanowisku nietylko wolno, ale należy; a to tem bardziej, że fragment tego „Traktatu“ był już przed dwudziestu laty drukowany w *Listach do Adama Soltana* pod skróconym tytułem: „*O Trójcy i Słowie Wcielonym — O Żywocie Wiecznym*“ <sup>2)</sup>). Mamy tam początek, mamy koniec części pierwszej, ale niema tak pełnego rozwinięcia myśli, jakie daje całość, tu po raz pierwszy drukowana. Niechaj zaś świadectwem tej myśli, gorącej jego religijności i miłości ku stworzeniu i Stwórcy, będą listy do *Delfiny Potockiej* <sup>3)</sup>), oba datowane z Monachium, gdzie się urodziła rzecz o *Trójcy*. Listy te dają nam nietylko wstęp, ale ułatwiają przystęp do filozoficznego „Traktatu“.

ADAM KRASIŃSKI.

<sup>1)</sup> Lwów, Księgarnia Polska.

<sup>2)</sup> Listy Zygmunta Krasińskiego do Adama Soltana. Lwów, 1883, str. 259 — 265.

<sup>3)</sup> Z dnia 20 lipca 1840 roku i z dnia 5 lutego 1842 roku.

## DWA FRAGMENTY Z LISTÓW

DO DELFINY POTOCKIEJ.

## I.

Z 20-go LIPCA 1841 ROKU. *Monachium. Wtorek.*

Kupiłem sobie wczoraj dzieło nowo wyszłe: „*Die Erde als Organismus*“, w którym p. Hagi, autor, dowodzi, że ziemia cała jest tak porządnem, nastrojonem i żyjącem ciałem, jak ciało ludzkie, i to zdanie opiera na wszystkich możliwych dowodach, czerpanych z Astronomii i Historii naturalnej, ciałem, w sobie samem skończonem, opisanem, oddychającym przez całą atmosferę, krwiokrążącym przez wszystkie morza swoje i rzeki, wyrabiającem nie mechanicznie, nie składkowo, dodawaniem następnem atomów, ale organicznie, żywotnie, wszystkie swoje góry, granity, metale, tworzącem je twórczą, tajemną, spirytualną siłą życia swego — Duchem swoim! A znów, jeśli całą kulę ziemską w stosunku do systemu słonecznego uważa, wtedy za część ją ma, nie już za całość, za część ożywioną, należącą do ogromnego ciała, do olbrzymiego organizmu, którego mózgiem jest słońce — oddechem przestrzeni międzyplanetarna i światło, krwią krążące elektryczne między wszystkimi planetami nurty itd., itd. Jeśli znów dalej pójdzie i uważać będzie system cały słoneczny stosunkowo do gwiazd innych, wtedy wnet on się, jako ziemia wprzódy, zamieni na członek, na część żyjącą wyższej całości — rozleglejszego ciała, i tak postępując, dochodzi do tego, że *Universeum*, *Wszelch świat* jest jednym ciałem beźmiernem, żyjącem, uorganizowanem, ale żyjącem wszędzie Duchowną siłą, nie zaś jakąkolwiek bądź mechaniczną, zewnętrzną, owszem, wewnętrzną swoją. — *Organizm* albowiem, czyli *nastroj* (od strojenia), to jest, co w sobie samem ma treść, sprężynę, Duchowny rdzeń, Duchowną istotę życia swego, a nie z zewnątrz ją bierze, tylko własną siłą z zewnątrz chwyta materialne cząstki i przerabia je na swoją własność, assymiluje, upadabnia je sobie, — — dalej to jest, co przy najściślej-szej jedności swojej rozkłada się jednak na pewną różnorodność, ale tę różnorodność trzyma zawsze pod zwierzchnictwem jedności, naprzykład ciało nasze, tylą członkami rozmaite, a Duchem jednym, formą jedną ciągle jedno i to samo.

Nieraz wszak mówiłem Ci, Diale, że pewien, iż tak wśród planet krąży światło, lub eo innego, jak w naszych żyłach krew; że

pewny, iż w ciele człowieka układ światów powtórzony jest, i na odwrót, że Wszechświata składnia jest rozbitym w nieskończoność, roz-wieszonym w przestrzeniach, obrazem ciała naszego tajemnic. Com przeczuwał instynktem, tego prawie matematycznie dowiódł ten p. Hagi. Ciekawych pełno szczegółów w tem dziele, zachowam je i przy-wiozę Tobie. Powiem Ci, że tu daleko <sup>1)</sup> więcej gwiazd w noc pogodną widać, niż u nas w Rzymie i Neapolu; gdzie spojrzysz tylko, tam krocie ich — czemu ta różnica, nie rozumiem; więcej ich widać, ale mniej skrzące, mniej jasne, a niebo ciemniejsze; może właśnie dla tego nie tyle ich dostrzedz we Włoszech, że tak jasnymi są i przez to sobie nawzajem przeszkadzają, bo przy takiej okazałości większych, muszą wszystkie mniejsze zgasnąć — a tu, gdy większe bledziej się iskrzą, mogą się przy nich i małe pokazać. Droga mleczna jedna tu świet-niejsza, niż we Włoszech, wydaje się śladem, pozostałym po dniu na niebie. Marsa wczoraj nigdzie odkryć nie mogłem, szukałem go długo, a podczas tej obserwacji mojej, tęsknej za nim, może mi z dziesięć przeleciało ponad głową Lucioł planetarnych, które zowiemy spadającami gwiazdami, a które są albo ostatnimi szczątkami rozbitych ciał niebieskich jakich, latającami w nieskończoności, póki ich wir blizkiej planety nie zachwyci i nie ściągnie do siebie, albo też metalami, tworzącami się nagle, żywotnie, w atmosferze naszej i palą-cami się przez tarcie z powietrzem.

Wszędzie, o Dysz moja, patrz, są słońca i Luciole na świecie, wszędzie ogromy piękne i ładne odrobiny — pierścieniami Herszla i iskierkami biednych muszek świat żyje. Spleciony z nich, jak korona, przypina do klejnotów swoich maluczkie ogniska, i tak wisi w Wieczności. Bóg równie umiłował wielkie i maluczkie — patrząc na krążącego po Kolizeum robaczka, wspomniesz o Uranusie, a gdy spoj-rzysz w sklepek gwiazdzisty, westchniesz do Luciolek.

Niezawodnie Pan Wszechżycia wszędzie uprzytomnił się w Stworzeniu; nigdzie nic się nie urywa, nic nie ustaje, próżni niema, bo gdzie brakuje materji, tam Duch działa, a Ducha nie zabraknie nigdzie. Nie Ciepłik, nie Światło, nie Elektryczność, nie Magnetyzm ostatecznie, ale M y ś l Boska wszystko wypeł-nia — my wszędzie w Bogu jesteśmy, żyjemy i ciałem, i ser-cem, i myślą <sup>2)</sup>. On naszym prawdziwym powietrzem i naszą istotną przestrzenią — ufajmy więc i spodziewajmy się, bo On nas opuścić nie może, niema albowiem chwili jednej, ni miejsca jed-nego, gdzieby Go nie było. Przy rodzeniu się naszym On — przy śmierci naszej On — przy przemianie naszej On, zawsze On jest. Dziwnie nas wyprowadza ze Siebie i nazad wprowadza w Siebie, a my wiemy o tem, my czujemy to, — jakżebyśmy przepaść i zaginać mogli, kiedy

<sup>1)</sup> Stąd począwszy, był już list ten wydany przez K. Gaszyńskiego w „Wyjątkach z Listów Zygmunta Krasińskiego“, Paryż, 1861 (Naumburg), od str. 91 — 95.

<sup>2)</sup> Porównaj św. Pawła: „in Eo sumus, vivimus ac movemur. „I wszę-dzie Niebo, niema nigdzie Ziemi“ (Syn Cieniów),

wiemy o Bogu, — w tej wiedzy zastrzegła konieczność nieśmiertelności naszej — nie czujesz-że tego? nie pojmujesz-że, iż wiedzieć o Tym, który jest Wszystkimi, i Wszechprzutomym, i wiecznym — jest żyć Jego życiem, udział mieć w Jego, przymiotach, — jest być Nim: Samym pod pewnemi względami.

Gdzież Jego nie będzie? A ty wiesz Go, myślisz Go — więc gdzież i Ciebie nie będzie? Wskaż mi miejsce nicości? Nawet w języku naszym na to niema wyrazu, bo miejsce nicości już tem samem nicość wyklucza. A gdybym krócej rzekł: „wskaż mi nicość“ — równie go bym wymagał od ciebie niepodobieństwa, żądając, byś mi wskazała to, co nie jest! Niepodobieństwo niemożność więc nicości i wkorzeniona w umysł twój. Nie stworzonaś do pojęcia niebytu, boś stworzona do bytu, do życia na wieki. To tylko pojąć możesz, czem jesteś, tylko nieśmiertelność, boś nieśmiertelna, tylko Boga, boś córką Bożą, — a śmierci wiecznej, a nie-Boga nigdy nie zrozumiesz, chyba przerażonemi nerwy, lecz nie rozumem, nie serca uczuciem! Przyjdzie czas, wierz mi, w którym tajemnicą zgonu stanie przed ludźmi otworem, wtedy śmierć wyglądając im będzie na coś podobnego do tej kolumnady św. Piotra, prowadzącej rzędem filarów w kościół, pełen muzyki i światła — wtedy ludzie poważnie i spokojnie konać będą — przestrach i niepewność zmysłów już im więcej w ostatniej chwili nie będzie odbierała. Boleść śmierci tem samem zniknie — nie już dogorywać i martwić, ale tylko przemieniać się będą, wiedząc, że się przemieniają i jak to się dzieje — wtedy każdy z umierających na tym planecie uczuje nie już kwiaty rosnące nad sobą<sup>1)</sup>, ale siebie samego, rosnącego w Bogu!

Dziś tylko wiarę mamy, ale czystej wiedzy o tem nie posiadamy jeszcze. Dopiero z tamtej strony grobu musim się dowiadywać jej, zatem w chwili samego zgonu doznajemy jakoby przedziału, zerwania, zasypiamy przez to, że tracimy widok tego świata, a nie mamy jasnego pojęcia tamtego, i dopiero by takie nabyć, musim do tamtego przejść — zatem jest zaśnięcie, chwila snu, nakształt przepaści, dwa brzegi dzielące — i przebudzenie! Stąd cała męka śmierci pochodzi — ale gdy nabędziem tu, po tej stronie jeszcze, wiedzy o tamtego brzegu przemianach i okręgach, tej wiedzy stracić nie będziemy już mogli w chwili zgonu, bo nabytej wiedzy nikt nie traci, myśli raz w Duchu rozbudzonej Duch nie może zapomnieć. Zatem będziemy umierać z poczuciem się do śmierci, z przeświadczeniem, że umieramy, z refleksją, że tak powiem, a nie jak teraz, podziennemu, bez rozwagi, bez sumienia śmierci. Zupelną to wprowadzi odmianę. Śmierć przez to zniszczyje tak, jak sen męczący się rozprasza, jak tylko zdołasz wśród niego przypomnieć sobie, że śniesz, skoro Duch Twój wyrzecze: „Achl! To sen!“, sen znika, znieśiony przez wiedzę o sobie samym. Podobnie ze śmiercią. Gdy się dowie śmierć, czem jest, tem samem przestanie

<sup>1)</sup> Patrz list do Reeve'a III z Genewy z 8 lipca 1830 roku, z opisem śmierci poety Keatsa: „*I feel the flowers growing upon me*“.

być śmiercią, i tylko dalszem życiem, postępem sama w sobie się uzna i poczuje <sup>1)</sup>).

Rozpisałem się, droga Dysz, nad tem wszystkiem, ale wiesz, żeśmy nieraz o tem wszystkiem rozmawiali, i żeś mi sama kazała, bym Ci pisał myśli mi przez mózg przechodzące o Astronomii i Wszechświecie i Nieśmiertelności. To Ci przypomni nasze wieczory, nasze życie dawne, to duchową przędzą połączy Twoją głowę z moją w odległości. Siądziesz sobie wieczorem, gdy wszyscy zasną, odczytasz list taki mój, roić sama zaczniesz w odpowiedzi myślom moim myśli, spojrzysz przez okno na Marsa i Giermka, przeniesiesz się w niebiosy, a gdy wrócisz na ziemię, przyniesiesz z sobą dźwięki, zerwane z innych planet, i pójdiesz do fortepianu, i muzyką wydasz tę mieszanię, powstałą z Ducha mojego, Twęgo i gwiazd promieni; a gdy wrócę, wygrasz mnie, wygrasz dźwiękami te myśli wszystkie i takim kołem raz na ziemi, znów w niebie, to we mnie, to w Tobie, to na tym papierze, to pod palcami Twymi na klawiszach one, biegnąc, wstępując w góry, opadając na dół, przemieniając się, ucieleśniając się w kształt <sup>2)</sup> i znów rozbierając się z kształtu, a zawsze jedne, te same, krążące odemnie ku Tobie i od Ciebie ku mnie, stanowią to, co nas wiąże i zespala; kiedy widomie nie jesteśmy razem, kiedy tylko nie widomie przy sobie i z sobą jesteśmy! Kiedy czego nowego się dowiem o gwiazdach, znów Ci doniosę . . . .

## II.

Z 5-go LUTEGO 1842 ROKU. *Monachium.*

. . . Co do Rosen-Krantzów <sup>3)</sup>, hr. H. <sup>4)</sup>, będzie niezmiernie rad wszelkiej o nich wiadomości, dotyczącej, czego chcieli, pragnęli, domagali się tak w polityce, jak w sferze natury. O Templaryuszach i mularza h również każda wiadomość zda mu się bardzo, szczególnie ślad każdy, świadczący, jakim sposobem po widomem zniszczeniu Templaryuszów ich doktryna tajemnicza, niedoskonała, zaczęła dalej zasuwac się w wieki, przeradzając się, aż doszła do Rosen-Krantzów i do rewolucyi angielskiej, a tę dopełniwszy, znów odmieniona, zaczęła się mularzyć, i pod tą postacią podziemną gotowała wybuch

<sup>1)</sup> Tu się kończy urywek, podany przez Gaszyńskiego.

<sup>2)</sup> Z strun Twojej duszy rozpierzchnięte dźwięki,  
Weźmiesz jak perły widome do ręki.

(„Syn cieniów“).

<sup>3)</sup> Rose Croix.

<sup>4)</sup> Hr. II. = hrabia Henryk, Krasziński mówi tu o sobie.

1789 roku, aż nareszcie po nim, już nie potrzebując się kryć w lochach i symbolami się bronić, stała się publiczną w Filozofii niemieckiej i dziś zwi się — Hegelianizmem!

Chrześcijańska, żywa, boska Idea rozpadła się od wieków na dwie ostateczne jednostronności. Jedna z nich, Dogmat chowając, z moralności sobie żartuje, formę stawia wyżej od Ducha wewnętrznego, nawet Ducha się lęka—to Jezuityzm! Druga, wbrew przeciwnie, Dogmatu niedość ceniąc, samą moralność tylko, czystego Ducha, metafizykę tej idei bierze i pesuwa ją, formę niszczy, przepis szanuje — to masonerya, liberalizm! protestantyzm! filozofia!

Oczewiście, że to dwie rozpadłe części jednej i tej samej Bożej całości, o ile rozpadłe, o tyle ludzkie i celom ludzkim służące, o ile dążące ku zebraniu się w całość i wynikłe z całości, to jest z Chrystusowego Słowa, o tyle Boże w źródle, Boże u celu swego! Od kiedy Słowo Boże w Chrystusie objawiło się na planecie naszym, planeta cały, rad nie rad, kąpał się w atmosferze chrześcijańskiej — pogody, czy burze tej atmosfery chrześcijańskimi były. Ni Masonerya, ni Alchemia, ni Templaryusze, ni Rewolucya francuska, ni Fichte, ni Hegel nawet, nie zdołali wynieść za Chrześcijaństwo. Zewsząd jak pierścień, w którego środku hasali i czynem, i myślą, otaczała ich Idea Chrystusowa. Zaprzeczali pewnych jej części, by drugiej jej części udowodnić, uświetnić, postawić, wprowadzić w krew i ciało ludzi, w obyczaj ludów, w politykę rządów. Tymczasem z drugiej strony Kościół, Inkwizycya, Jezuityzm, Mistycyzm, to samo, ale rzecz z innej strony biorąc, czynił. Formę tej Idei, jej zmysłowość, jej cudowne wezelenie, jej—że się tak wyrażę — magnetyczność całą, dzielnie i upornie bronili przeciwko tamtym, na nieszczęście zapominając tylko, że jeśli w tem, czego bronią, prawdę mają — i tamci także prawdę mają w tem, czego bronili przeciw nim. Każdy miał prawdę w tem, czego bronił, nieprawdę w tem, co uapastował, bo Mistycyzm źle robił, że Rozum chrześcijański napadał, Filozofia źle, kiedy formę i cudowność jej, czyli Piękność chrześcijańską napadała.

Filozofia męskość, siłę, Inteligencyę Chrystusową broni i wspiera — Kościół piękność, niewieściość Idei chrześcijańskiej broni i wspiera, całą jej poezyę, cały jej wdzięk. Idea zaś sama, czyli Chrystusowe Słowo, jest obu wyższą potęgą, jest nieskończoną spójnią obu, jest wieczną miłością tych dwóch rozerwanych części, które muszą się zejść i zlać w Ducha świętego Epokę. Wtedy się pokaże, że niema piękności i cudu bez Rozumu i Inteligencyi, a z drugiej strony, że niema Inteligencyi i Siły bez Piękności i Miłości! Dotąd cała Idea tylko była w Chrystusie, ale nie była w świecie, — jak tylko w świat historii wstąpiła, rozpadła się na dwie te swoje połowy, które walką ośmnastowiekową zakrwawiły planetę, ale zarazem stały się nauką, doświadczeniem i dowodnie wykazały, że tylko tam, gdzie Całość, Boży Duch jest, a gdzie Dyssekcyja, tam martwość, ból, nędza człowieczeństwa, niezycie, chorobliwość, obłąd etc. etc.

Nasz wiek już to zewsząd w sumienie swoje chwyta, przeświadcza się o tem, i to rodzi tę potrzebę, tę nadzieję, to oczekiwanie, uno-



szące się nad ziemią, jakby dzień powtórnego stworzenia się zbliżał, i znów Potęga Boska unosiła się nad wodami, mając je oddzielić od Lądów.

— Ile razy tu użyłem słowa Kościół, nie masz rozumieć Ideału Kościoła Katolickiego, czyli prawdziwego Kościoła Katolickiego, któremu Pan obiecał, że ogarnie całą planetę. Ten właśnie będzie powszechną zgodą szczególnych tych części; ale zawsze przez to miano rozumiem Historyczny Kościół, który objawiał sobą nieraz już swój Ideał, ale też i nieraz swoją słabość ludzką, o ile ludzie go za środek użyli dla dopięcia swoich interesów i słabostek świeckich, rozumiejąc zatem przez to Lambruschinadę, Capuecinadę, Loyoladę, Inkwizycję, zaślepienie, fanatyzm, podłość — a to się tyczy reprezentantów Idei, to się tyczy urzędników, w jej biurach ziemskich pracujących! Wierzę z głębi Ducha w Kościół Katolicki, który kiedyś obejmie ziemię całą i narody wszystkie — będzie jedno z Ludzkością, a Ludzkość jedno z Chrystusem. Protestantyzm zniknie — Katolicyzm trwać będzie na wieki! bo przeciwko powszechności, jeśli prawdziwie powszechną, któż protestuje?

# O TRÓJCY W BOGU

## I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.

W stosunku do nas w tem Łaska Boża, że nas Bóg stworzył, to jest, że nam bytu udzielił. W tem Rozum i Logika Boża, że nas nie od razu doskonałymi i dopełnionymi stworzył, czyli skończonymi istotami, ale, owszem, nieskończonymi nas stworzył, bo od samego początku poczynającymi z możliwością postępowego rozwijania się, przytem w o l n y m i, więc tem samym zmuszonymi zasługiwać się, to jest siebie samych dotwarzać, by rość ku Niemu. W tem nareście Miłość Boża, że nas ostatecznie zbawi, czyli że w miarę zasługi naszej, bytu nam odmierzać będzie, czyli, co jedno jest, że nas opatrnie doprowadzi do żywota wiecznego, który jest niebiańską wszystkich władz naszych harmonią, dostrajającą się coraz wyżej, który jest postępem, nieprzerwanym już śmiercią, który jest przemianiem się następnem, coraz przedziwniejszem duszy, i ciała, przy wszelkiej świadomości i z własnej woli Ducha, do którego dusza ta i ciało należą.

Z łaski więc Bożej osiągniemy byt, którego wyrazem w nas jest ciało.

Z Rozumu Bożego osiągnięciem świadomość tego bytu, wiedzę jego niezbędnych warunków, praw i celu, czyli duszę; bo czemuż dusza, jeśli nie myślą i wiedzą? A o czemuż myśl myśli, jeśli nie o bycie?

Z miłości wręście Bożej dojść mamy do najściślejszego pojednania się bytu z myślą, zmysłowości z idealnością, ciała z duszą, czyli stać się Duchami żywymi, nieśmiertelnymi, przeznaczonymi do Anielstwa i wszystkich innych przetworzeń się duchowych, w nieskończoności żywota, tu, i tam, i wszędzie!

Z tego trojakiemu stosunku Boga do nas i naszego nawzajem do Boga — Trójca Święta wynika. Pierwsza Jej osoba odpowiada Wszechbytowi, którego przymiotem Wszechmoc. Druga — Wszechmyśli, której przymiotem Wszechświadomość, czyli Wszechrozum. Trzecia — Wszechżyciu, czyli Wszechdu-

cho wi, którego przymiotem Wszecmiłość. Na obraz tej Trójcy Bożej kaźden z nas jest także Trójcą kaźdochwilną, kaźdy z nas jest bytem, myślą, życiem, czyli Duchem współcześnie, a zarazem i przeto właśnie, że Duchem, jest osobistością całką, czyli J a ż n i ą, tąż samą i jedną! W Trójcy Bożej osobą Łaski dla nas jest pierwsza osoba, Ojciec, Stworzyciel, później nazwan Jehową, który stwarza nas, bo stwarza — Łaska albowiem to, co danem dla niczego, tylko dla tego, że danem. J e s t o n a, b o j e s t. To samo o sobie sam wyrzekł Jehowa—to samo kaźden byt, który istnieje już, a nie pojął się jeszcze, wyrzeby musiał — więc gdyśmy Go nie pojmowali, tak do nas mówił Jehowa!

O s o b ą R o z u m u, dla nas, przyczynowości i wynikliwości, nakazującą nam pracę i zasługę, czyli kształcenie się i postęp, jako drogę logiczną, konieczną, jedyną do niebios, to d r u g a o s o b a, to Wszecwładność i Wszecmyśl Boża, Słowo odwieczne (Logos), które, wcielone, nazywa się: Chrystus — i Chrystus też właśnie objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne zasługi i postępu na to, by ród ten mógł dojść do Anielstwa. Chrystus już nie tak, jak Jehowa, jest, bo jest tylko, bez wyrażenia kaźnego powodu, kaźnej przyczyny, ni pochodzenia. Owszem, ród ciągnie z Ojca, a upadkiem ludzi spowodowan, na to, by ich wyzwolić, odkupić i zbawić, zstępuje w świat. Już tu objawia się powód, już tu logiczna konieczność, zasada wszelkiego rozumowania i wszelkiej Filozofii.

Wreszcie o s o b ą M i łości dla nas, spójnią żywą Ł a s k i bez powodu, z R o z u m e m, powód zawierającym, to Wszeczżycie Boże, kojarzące Wszecbyt z Wszecmyślą w Bogu, to trzecia osoba Trójcy Bożej — D u c h Ś w i ę t y. On w stosunku do nas wyraża najprzedziwniejsze zlanie się do harmonii B y t u, któryśmy dostali z Łaski, i p r a w a postępu i zasługi, które nam Rozum Boży przyniósł.—To zlanie się zaś harmonijne, oczewiście, że naszym jest objawieniem, bo kiedy byt otrzymany doskonale rządzm i ujmujem w prawo zasługi i postępu, cóż my osiągniem? Oto najwyższą harmonią, cel nasz ostateczny, żywot wieczny nasz, czyli uzupełnioną miłość Bożą ku nam i w nas! Zatem Duch Święty, wyrażający Wszeczżycie w Bogu, dla nas wyraża Wszecmiłość i zbawienie. Oczewiście, że nie może inaczej, jak zarówno z dwóch poprzednich osób pochodzić—z Ojca i z Syna, z Wszecbytu i Wszecmyśli, z Jehowy i z Słowa, bo jest właśnie ich zlewem, ich przepajaniem się wiecznem, ich wzajemną jednością—zupełnie tak samo, jak w nas Duch nasz jest przepojeniem się bytu i myśli naszej, ciała i duszy naszej, tak samo, jak w nas ży w o t w i e c z n y będzie przepojeniem się

najwyższem Łaski, którą od Ojca wzięliśmy, i własnej zasługi naszej, której nam konieczność Syn wskazał.

Nie inaczej myślał o trzeciej osobie Sobór Nicejski, kiedy w wyznaniu wiary, pod nią dopiero umieścił wszystkie nadziemskie nadzieje i Anielskie następstwa ludzkości: uświęcenie ludzkich dusz, natchnienie proroków, jedność Kościoła powszechnego, zmartwychwstanie ciał, żywot wieczny i obcowanie Świętych — Chrystus też wyrzekł, że temu, kto bluźni przeciwko Duchowi Świętemu, odpuszczonem nie będzie, choćby bluźnierstwa przeciwko Ojcu i Synowi odpuszczono. Zatem w początku Łaska, a w końcu miłość. Łaska tylko być może dla nie będących jeszcze. Miłość być tylko może dla będących już, ale Jej godnych, ale na Nią zasłużonych; pośredku zaś i jako przejście konieczne od Łaski do Miłości, od Bytu pierwszego do najwyższego życia — Rozum. W stosunku do nas Rozum Boży znaczy logikę żywota naszego, pracę, trud, zatem i cierpienie, i męczeństwo, słowem zaslugę. I oczywiście, by stworzonych z Łaski przeprowadzić do godności Duchów niebiańskich, do Anielstwa, do żywota wiecznego, trzeba koniecznie było ich zasługi i stopniowego postępu, czyli trzeba było, żeby im jej niezbędność Rozum Boży objawił i nakazał, bo inaczej Łaska byłaby bezrozumna i Miłość w końcu też ślepa, też bezrozumna, a zatem nie byłaby Miłością żadną, tylko znowu Łaską. Więc nie byłoby żadnej odmiany ni rozwoju od pierwszej do ostatniej, żadnego przetworzenia, żadnego biegu życia, dziejów, ni ludzkich, ni żadnych innych, wolnością swą poruszających się w czasie, byćby nie mogło. Na początku, w środku, w końcu, tożsamość jedna, martwa, bezbarwna, nieskończona — jeden tylko stan, a jeśli go nazwiem Rajem, więc jeden Raj nieprzemienny, niewinny, ale głucho, nieżywo, zwierzęco niewinny — byt tylko sam bez rozbudzenia się myśli — ciało bez duszy. Przejście więc, a przytem rozdarcie i walka wewnętrzna, a stąd ból, a nawet i grzech, o którym święty Augustyn wyrzekł, że był najszcześniejszą winą (felicissima culpa), nastąpić musiały. Tem rozdarciem, tą walką, tym bolem ozwało się życie, bo Bóg jest Bogiem nie martwych, ale żywych, pośrednikiem zatem w istocie w tem przejściu między Łaską a Miłością, Rajem a Niebem, czyli wiekami Jehowy a Ducha Świętego, między stanem bytu cielesnego a stanem pełni żywotnej, Duchowej. Łącznikiem i usprawiedliwicielem ich obu musiał być Rozum Boży, który, wcielony i objawiony w rodzie ludzkim, duszę i rozum ludzki obudził! Stąd Chrystus jest zbawcą, odkupicielem, pośrednikiem i, tylko przechodząc przez Niego, można dostąpić zbawienia. Jest

prawdą, jest światłem słonecznem ziemi i w najwyższym znaczeniu drogą, jak sam wyrzekł o sobie. Tą drogą tylko dostać się można do Miłości ostatecznej, — a że w stosunku do nas, ta droga jest trudem, cierpieniem, zasługą, zatem Chrystus musiał ją odbić, wyrazić, uczynnić, niejako upłaskorzeźbić życiem Swem i śmiercią Swoją. Wszystek trud i ból przejścia od Łaski do Miłości, od Raju, niepowrotnego już, do Nieba, nienadeszłego jeszcze, w Nim przedstawion i ukazany. Dla tego nie przechadzał się z pułkami Anielskich Duchów po planecie tym, nie grzmiał w Majestacie potęgi Bożej, ale zawsze działał po ludzku, podnosząc w sobie wszystkie ludzkie przymioty do Boskości i, takim sposobem, doprowadzając naturę człowieczą w sobie do zlewu harmonijnego z naturą Bożą, niejako ułatwiając jej przykładem przejście do wyższych przeznaczeń, wykazując jej dowodnie, dobitnie, żywo, słówni a najbardziej czynem, że powołaną jest do przebóstwienia się, skoro zgodzi się i przystanie w wolności swej do woli Boga. Dla tego nie zwycięstwem, ale przegraną ciąglą zwyciężał wszędzie — cierpliwością, umiarkowaniem, panowaniem sobie nieskończonem, łagodnością i tkiwością, a w pewnych razach stałością tak olbrzymią, że na gniew wygładała święty, wszystkimi sposoby, których skutek, oddalony a niezawodny, a których ujęcie i przeprowadzenie zowie się mądrością, która nie opuszcza, która dźbła zbiera i z nich buduje piramidy, bo wie, że siła jej myśli wieczność przetrwa, gdyż myśl jej prawdą jest, a jej urzeczywisczenie — dobrem, a kształt jej ostateczny niebieską pięknoscią. Nigdy inaczej nie działał, nigdy się nie spieszył, nawet na śmierć, nigdy dla ludzkiego oka nic nie czynił, jedno wszystko na zasianie ziarn swych w ludzką duszę, na to, by później w rzeczywisty kwiat wzrosły i owoc rzeczywisty przyniosły; nigdy, jak bohater, nie szukał, ni wzywał niebezpieczeństwa, aż dopełnił posłannictwa swego, aż to uwyraźnił, co miał uwyraźnić, uczynił, co miał uczynić; nawet unikał kilka razy schwywania i śmierci, na pokazanie ludziom, że i najwyższa ofiara, gdy niedopełniona w chwili, w której istotnie jest najwyższą, z powodu, że uzupełnia i zaokrągla pełne działania życia, właśnie najwyższą nie jest, i staje się tylko przełamanym, ale nie do Boga, przez śmierć dociągniętym żywotem. Życie Chrystusa jest Arcymistrzostwem życia. Nieskończenie łatwiej umrzeć podobnie, niż podobnie żyć, i dla tego też nikt po śmierci zaraz nie zmartwychwstaje i przemienionego, anielskiego ciała nie przybiera, bo zmartwychwstanie i przemienienie duchowe nie od śmierci, ale od życia zależą. On jeden tylko, bo żył ciągle, jak ofiara paląca się, i po takim żywocie Bożym wśród ludzi, skonał wśród Aniołów, po ludzku, krzyżowo. Wszędzie w Nim, w każdej Jego chwili, i czynie, i słowie znać połączenie obu natur, przelewanie się

ciągle jednej w drugą—jednym słowem znać to przejście, o którym mówimy: przejście od cielesności do pełni ducha, czyli od natury ludzkiej do Bożej! Lecz że wskazywał także i objawiał, do czego wiedzie ono przejście przez Rozum drogę, że stawiał miłość ostateczną celem tej drogi, że ogłaszał żywot wieczny i niebiański za wynik jej konieczny, musiał też i wynik ten, czyli Niebo, wyrazić i uwydatnić w poczęciu się niepokalanem, w Transfiguracyi na Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu, w tych nadludzkich cudownościach a rzeczywistościach anielskich. Kiedyś wykaże się i już w Nim objawionem jest, że prawem, czyli przymiotem natury Ducha jest Cud, a raczej, że to, co my zwykliśmy nazywać Cudem, wprost i przyrodzono wynika z wykształcenia się Ducha, z podniesienia się jego, ale we wszelkiej rzeczywistości, ku Bogu. Podniesienie się zaś takowe zależy na wykryciu woli Bożej — na to praca, na poznaniu jej — na to rozum, i na uznaniu jej i zlaniu własnej woli z nią — a na to wolność nasza. By go pełniej ukochać, znać go pełniej musimy, a poznawszy, odkrywszy, dorobiwszy się zasługą pracowitą Jego, ukochawszy Go zatem mocniej, bo wszystko, co z niego odkryjem, coraz wyższą pięknoscią, mądrością i dobrem, musim wolną wolę naszą stosować do Jego Woli. Z Jego zaś woli Wszchemoc Jego płynie — o ile więc z częstką tej woli się zlejem, o tyle udziału w tej Wszchemocy dostaniem. Im szerszy zakres, tem i udział większy. Udział takowy, do pewnej pełni doszły, zwiemy Cudem!

By pojąć, o ile można, czem Chrystus, trzeba, o ile można, pojąć, czem Bóg i czem druga osoba w Trójcy Bożej. Bóg sam w pełni swej uważan jest Wszcheduchem, we Wszcheduchu wszystko się zawiera, co tylko jest, co tylko być może. Ponieważ wszystko, więc można o Nim powiedzieć, że nic takiego, czemby On nie był, ale że zarazem i odrazu jest wszystkim, więc znów nic takiego, nad czemby i za czemby On nie był! Musi więc być Wszchrzeczą, musi być Wszchprawem Jej, musi być zarazem Wszchosobistością tej Wszchrzeczy i tego prawa, czyli ich jednością i życiem, a tem samem jakoby sercem wszystkich serc, duszą wszystkich dusz — Ja środkiem wszystkich Jaźni. Wszchrzecz odpowiada Wszchbytowi, Wszchosobistość Wszcheduchowi. Czemże będzie Wszchmyśl, ta druga osoba Trójcy Bożej? Czemże w istocie Wszchmyśl w Bogu, jeśli nie wiedzą doskonałą Boga o sobie? jeśli nie prawdą żywą Boga w stosunku do siebie? jeśli nie metodą, że tak się wyrażę, nie sposobem, nie prawem, według którego Bóg się rządzi i żyje, a więc wsze stwo-

rzenie się rządzić ma i żyć, na podobieństwo Boga? Owóż, jeśli to prawo, ten sposób, to pojęcie, które Bóg ma o Sobie, i które samo jest Bogiem, jeśli to Słowo wiekuiste spłynie do ust ludzkich i przez nie drugim ludziom się objawi, a nie tylko spłynie do ust tych, ale zupełnie wcieli się w osobistość, kształty człowiecze noszącą — jeśli ta osobistość przeprowadzi to prawo przez wszystkie stosunki ziemskie, w żadnym szczególnie żywota, ani w żadnym śmierci od niego nie odstępując, jeśli ta osobistość człowiecza, zawsze i wszędzie, w każdej chwili i zdarzeniu, pokucie i próbie, o godzinie tryumfu i o godzinie ucieczki, w każdym natchnieniu, w każdym słowie, w każdym przepisie danym, modlitwie przepisanej, przypowieści opowiedzianej, w każdym wydarzonym trafunku, w każdym działaniu, w każdym czynie dopełnionym, we wszystkich swych jakichbądź uczuciach, myślach, przywiązaniach i wstrętach, uniesieniach i powagach, odpowiedziach i zapytaniach, walkach i odpoczynkach, w każdej potocznej i każdej najważniejszej okoliczności, słowem, we wszystkim, cokolwiek głosiła i cokolwiek dopełniała, nie będzie nigdy czem innym, jedno tem prawem, tą Wszeczmysłą, tą wieczną prawdą, tą drugą Osobą z Trójcy Bożej uwidomioną, przebywającą, żyjącą i umierającą na ziemi — jakżeż mianować oną osobistość ludzką i za cóż ją mieć?

Nie będzież że ona we wszelkiej prawdzie i rzeczywistości Bogiem, tym samym co na Niebie, tylko, że nie na niebie, ale na ziemi? Nie będzież że ona drugą Osobą Bożą, weszłą w jaźń człowieka i jaźnią ludzką przyrosłą do drugiej osoby?—Jakżeż by tem być nie miała, kiedy tem, a nie czem innym właśnie jest — jest Bogiem, ale Bogiem śród warunków ludzkich, nie śród nieograniczoności Boskiej, bo jest zarazem i człowiekiem. Bóg wcielony w człowieka, człowiek przebóstwion w Boga, jedno i drugie zarazem i w pełni, oto Chrystus, oto Bóg-człowiek! W istocie tylko druga Osoba Trójcy to jest Wszeczmysł, czyli pojęcie, zrozumienie wszystkiego, mogło się tak wcielić i ukazać widomie na świecie.—Oczywiście, że ani Wszecchbyt, którego przymiotem Wszechmoc, ani Wszechduch, który w każdej chwili wszędzie wszeczyje, nigdzie nie ujętliwy, ni ogarnion, ni objęty, tego nie mogli.

Chrystus też nie stwarzał dróg mlecznych wokoło planety, stojąc na nim, ani też nie był jako technienie, jako napływ, jako wiew skądś, niewidomy, a uczuty tylko, rzeczywiście kształt i jaźń człowieka miał — we wszystkie więzy ciała ludzkiego się wwięził. Widzieli Go i dotykali się Jego, słyszeli Go własnymi uszami, przytrzymali rękoma, żelaznymi gwoździami, istnie żelaznymi, ramiona Jego, istnie ludzkie, przybili do krzyża.—Druga tylko O s o

ba, której przymiotem zrozumienie wszystkiego, tak wcielić się mogła i ukazać—bo *Wszechmyśl*, choć do pewnego miejsca przywiązana, w danej chwili może *wszechmyśleć* i *prawdę* znać!

*Wszechidealność* czyli *Wszechmożność* wszystkiego, ta tylko osoba z trzech osób Trójcy zdoła zstąpić w człowieka i człowiekiem być.—Chrystus był nią uczłowieczoną—nią żyjącą na ziemi — nią, która wszędzie jest *prawdą*, tak w Bogu, jak w światach wszystkich, a zatem wszędzie *Bogiem*. Tym sposobem w Chrystusie stało się na wieki połączenie natury *Wszechducha* niestworzonego i *Ducha* stworzonego. Choć wniebowstąpił, nie odrzucił on, według Kościoła, ciała człowieczego, nieskazitelnego, które tu po zmartwychwstaniu był przybrał. W tem znak, że na wieki wieków łączy sobą i w sobie obie natury: nieskończoną i skończoną, Boską i człowieczą. Słowo: *człowiek*, wogólnem znaczeniu tyle znaczy, co *Duch stworzony*, doszły do pewnej miary, do pewnej pełni w poznaniu *Wszechducha* i siebie — pod to znaczenie podciągnięte być mogą wszystkie dalsze stopnie duchowe, od nas ku Bogu idące—Anieli, Archanieli itd., itd., są to tylko rozwoje i przemienienia następne ludzkości—możnaby więc powiedzieć, że wszystko dalsze jest zawsze człowiekiem, tylko, że następnie wniebowstępującym. Otóż Chrystus na wieki pozostaje zarazem *Bogiem* i owym *człowiekiem* wniebowstępującym.

On na wieki łączy obu natur i pierwowzorem tej łączni, owego wniebowstępującego człowieczeństwa.

Zaprawdę On zawsze na prawicy Ojca — lecz być na prawicy Ojca, to nie siedzieć w niewzruszoności—jeszcze raz: to ciągle wyżej wstępować, i ciągnąć za sobą wszystkie Duchy i światy, by wniebowstępowały wraz! I czyż to właśnie nie jest wiekuistą *Wszechmyślą* Boga o *Wszechświecie*, o *Wszechbycie*, by wszystko, co z niego, szło ku niemu, a idąc, coraz bardziej nabierało samoistności i *Jaźni*, coraz bardziej zarazem i *było* sobą, i *było* w Nim?—Któż taką *możność* wymyślił tym, których nie było jeszcze, nim stworzeni są?—Czyż nie Bóg?—a to *wymyślenie*, a ta *myśl*, to *prawo*, według, którego to się stać może, to właśnie w Bogu *druga Osoba*, a ta *druga Osoba*, wcielona w ludzką naturę, to Chrystus!

Na czemże więc to *prawo* wiekuiste, jedno i toż samo we *Wszechduchu* i we wszystkich duchach stworzonych, *prawo* *wszechżycia* i *życia* zależy? — Oto na udzielaniu *ciągłym*



siebie drugim. Osoby Trójcy udzielają się sobie wiecznie nawzajem. Bóg wszystek udzielił się i udziela wciąż czemuś drugiemu, czyli stworzył i wciąż stwarza świat—stwarzać albowiem, to udzielać się czemuś, co nie jest, ale co będzie, kiedy mu się udzieli; każdy czyn nie czem innym. W świecie stworzonym, wszystko trwa, rozwija się, żyje wewnętrzną mocą tego samego prawa. Nieustannie w tem, co martwą naturą dotąd zowiemy, cząsteczki ciał jednych udzielają się drugim, a na tym powszechnym przelewie zasadzon wzrost każdego ciała z osobna.

W Ludzkości stan społeczny, którego uświęcenie i wywyższenie celem Ludzkości, stan społeczny, mówię, jest właśnie tem udzielaniem się sobie duchów ludzkich nawzajem. Wszędzie i zawsze kto daje ten odbiera—kto kocha ten wzmagą się—kto z siebie się wylewa, czyli stwarza coś na zewnątrz, ten w tej samej chwili wyżej stwarzany sam!—Im Duchy wyższe, tem widoczniejsze działanie tego prawa w nich, tem wyraźniej, prędzej, dotkliwiej życie w nich wykwiata za jego dopełnieniem, i to słuszna, bo tem tylko wyższe one, że od dawniejszego czasu go dopełniać zaczęły.—W niższych zaś okręgach udzielanie się bywa często cierpieniem, a najwyższe udzielenie się nazywa się poświęceniem, ofiarą, wręście i śmiercią! Udzielić się drugim na ziemi, to na pozór umniejszyć się, ubyć, osłabnąć, utracić coś z siebie, zniknąć nawet zupełnie—ale to złudzeniem tylko. Ta znikomość sama znikomą jest, bo w istocie tym tylko sposobem Duch żywy rośnie i nieskończeni się! Chrystus wyraził to owemi słowami: „Kto postrada duszę, ten tylko ją odnajdzie“.

Bóg przecież udzielił się światu, przelał się weń i wciąż tak czyni—a ubyłoż Boga? a osłabnąłże? — Gdyby osłabnął, gdyby się umniejszył, nie mógłby wciąż powtarzać tego samego, to jest wciąż stwarzać i wciąż już stworzone utrzymywać przy życiu. Owszem—prawdziwą naturą Ducha, im więcej stwarza, twórczejszym być. On każdym czynem swym silnieje, przez to, co wyda z siebie, mnoży się sam—tem, nie czem innym nieskończoność jego!—Wypowiedział zatem Chrystus prawo Wszechducha i Wszechżywota, czyli *W s z e c h m y ś l* Boga—a będąc zarazem nią samą, uczynił ją na ziemi tak, jak na ziemi najwyżej i najpełniej uczynić ją tylko można—udzielił się najprzedniejszym ludzkim udzieleniem się, bo przelał się w ludzkość najpracowitszym żywotem i najboleśniejszą śmiercią! Ale też wnet ukazała się prawda *p r a w a*, które jest życiem prawem — bo zmartwychwstał widomie i widomie wniebowziętym jest.

Otóż jako roślina przez światło koniecznie przejść musi, by wyrość i dostąpić kwiatu, tak samo koniecznie i każdy człowiek, i ludz-

kość zbiorowa, cała, przejść musi przez Chrystusa prawo i uczynić je w sobie, by dostąpić zbawienia.

Zbawieniem zaś dla człowieka każdego jest żywot wieczny, stan Anielski w wyższym świecie niż dzisiejsza ziemia—dla ludzkości jest Królestwo Boże na ziemi, czyli stan Chrystusowego społecznienia.

Bez tej ludzkości na ziemi, nie przeszedłszy przez ono Królestwo tu, żaden Duch na ziemi nie dostanie się do żywota wiecznego. Bo czemuż ludzkość, tak ukrólestwiona? Oto stanem zbiorowym wszystkich pojedynczych ludzi, dowodzącym, że już dojrzeli na Aniołów! — Każdy więc przez Chrystusa nieodzownie przejść musi. Kto odrazu przezeń nie przejdzie, to jest nie uczynni jego w sobie, nie stanie się, jak on był, onem prawem żywym na ziemi—a któż od razu podola?—ten musi tego warunku dopełnić gdziebądź i jakbądź — może kilkokrotną śmiercią i kilkokrotnym nawrotem do żywota na ziemi—może stanami pośmiertnymi, przegradzającymi żywot ziemski czy od innych ziemskich, czy też od wiecznego; stanami niewytlómaczonemi nam należycie dotąd. Kościół w przeczuciu swem takowe stany *Czyścem* nazywa. Może oboma tymi sposoby każdy będzie musiał przed sądem ostatecznym tego planety dorabiać się swojej, że tak powiem, *Chrystusowości*. Stan zaraz następujący po śmierci musi być odwrotnicą zupełną stanu przed śmiercią, to jest życia na planecie, w promieniach słońca. Musi tam być coś księżycowego. Noc miesięczna zwykle nas wprowadza w dziwną tęsknotę do umarłych, i sami w jej świetle wyglądamy na błędzące i wpół tylko żyjące istoty—na sny jakiegoś nas samych.

Oczywiście, stan pośmiertny, wiodący od jednego życia ku drugiemu, czy to ku powtórnemu ziemskiemu, czy też już ku wiecznemu, w którym to wiecznem śmierci nie będzie, a nastaną ciała nieskazitelne, coraz wyżej przemienialne, nie może na żaden sposób, przejściem będąc między dwoma żywotami, być tym samym stanem, co stan żywota!

Musi to być pośredni, połowiczny, niedopełniony stan. Wszelkie albowiem *przejście* jest rozdarciem, rozstrojem, w pewnem znaczeniu *oderwaniem*, a *abstrakcją*, jest niejako wiedzą i myślą rzeczywistości, do której dąży się, a zarazem niemocą jej dopełnienia. Zatem jest niejako myślą oderwaną od bytu, *prawem* oderwanem od tego, czego jest prawem, choć nigdy zupełnego takiego oderwania być nie może i niema, jedno w przybliżeniu i przez porównanie — powstanie stąd coś żałośniego i błędzącego, coś szukającego ciągle, a nie mogącego nic znaleźć, nic urzeczywistnić. Nieopisana tęsknota, rzewność nieskończona, a przytem czezość i nuda, i smutek powinny

się tu objawić — może przytem, jako odpoczynek i wytchnienie, sen, w którym marzeń wiele, owłada nieraz owymi błakającymi się. To pewna, że z tej strony grobu widomim się ciałami, że byt nasz pierwszy uderza w oczy; z tamtej więc, podczas onego przejścia między jednym a drugim żywotem, musi się przeciwnie dziać: nie byt nasz z nas się wychyla naprzód i wyraźni, ale przeważa dusza niewyraźniona, albo raczej słabo tylko uwyrażniona, czyli, że kierunek myśli musi wtedy brać górę nad kierunkiem bytu w nas, i z tym bytem nie składając harmonijnego, pełnego Ducha, przemieniać naszą istotę w coś niezmiernie wątłego na czas i cierpiącego tkliwie. Wszelka tam twórczość, wszelki czyn albo niepodobny, albo nieskończenie trudny.

Chęci tylko tam są, żądania tylko, wspomnienia tylko, skruchy, łzy, zgryzoty, wyrzuty, nadzieje, błędne przecucia, wszystko, co tylko urodzić się może w duszy, ale nie przejść w ciało i rzeczywistość. Stąd wynika, że trudnem musi być dla umarłych całkowite przystąpienie do nas i zupełne uwidomienie się przed nami — dla tego najczęściej tylko wpływami na naszą duszę, niedobitnie, błędnie znać o sobie dają — lub w snach się nam ukazują.

Sen albowiem jest stanem zbliżającym nas do nich — ciało nasze obumiera, wola gaśnie, czynu wszelkiego możność nam odjęta.

Myśl tylko myśli i biernie z czuciem połączona marzy o rzeczywistości; połowyśmy siebie samych — duszami od ciał odstałemi. Wtedy przychodzą do nas owe połowy pośmiertne Duchów, niegdyś nam znanych — przychodzą lub my do nich idziem! — Sen, którego najwyższym wykwitem magnetyczny stan jaśnie widzenia, dotąd grubą okryty zasłoną — ale niezawodnie jest on obrazem na ziemi ubytku w nas bytu po śmierci, jest Widmem zagrobowej widmowości, odwiedzającym nas za życia. — Magnetyzm, czyli objawstau duszy oderwanej od ciała, a do najwyższej potęgi swej doszłej w takim oderwaniu, jest za dni naszych rozpoczynającą się nauką, która rozświeci nam świat umarłych. Kierunek kaźden oderwany, choć nie jest pełnem życiem ni Duchem, jednak posiada pewną potęgę charakterystyczną, sobie tylko właściwą — wyraża niejako w przesadzie i nadużyciu prawdę swoją wieczną i dla tego czasem tak ją odbijając olbrzymie wywiera wrażenie. Któż naprzykład kierunkowi bytu, oderwanemu od myśli, w świecie, który zowiem materyalnym, zaprzeczy potęgi?

Czyż w hukach grzmotu, czyż w gwałtach burzy, czyż w majestacie mórz, czyż w skrzącym wzroku orła, czyż w gibkości ruchów tygryskich, czyż w locie pędzącego konia, niema elementarnej potęgi, która wszelką ludzką pod tym samym względem przemaga? W prze-

ciwnym więc kierunku, w myśli oderwanej od bytu, musi także właściwa temu kierunkowi znajdować się moc—ta moc nie wystąpi czynnie, na zewnątrz, jak w królestwie ciał, w naturze—ale biernie objawi się wewnątrz, bo myśl jest wnętrzem, a sen, magnetyzm i śmierć należą do Królestwa dusz.—Nic uczynić, ale wszystko sobie wyobrazić, wszystko myśleć myśl zdoła.—Świat zewnętrzny wrażenie na nią wywrze silniejsze, kiedy mniej bytu zrosłego z nią, bo ona oddziaływać nie może nań, tylko go czuć i przyjmować go w siebie.—Stąd mar i obrazów snujących się nieskończona moc, i tych wewnętrznych obrazów nieskończony blask lub też piekielny koloryt. Jak przestrzeń cała obrazowo przesunąć się może przed nią, tak i czas wszystek z wiekami swymi—i wyda się jej wtedy, że przez tysiące tysięcy lat cierpi; a że znowu jednak nigdy całkowitego oderwania niema, bo to byłoby nicością, że nigdy myśli bez pewnego bytu, duszy bez pewnego ciała niema, jedno to ciało niezmiernie blahem być może, oczywista, że ono ciało podzieli niejako losy przeważającej duszy, wielkiej może szybkości, lotności, przenikliwości dostanie, jednak przy tem zawsze uczuje się marnem, niezdolnem do żadnej pracy ni czynu, uczuje, że nie jest pełnią żywą i całą. Mniej więc wszystko to już się nam przydarza w śnie i jasnowiedzeniu magnetycznem. To jasnowiedzenie kiedyś ściślej nas połączy z umarłymi, da nam wiedzę pełną o nich i ułatwi nam sposób przyniesienia im ulgi, pociechy, pomocy. Niezawodnie oni jej potrzebują, bo zawieszeni między dwoma rzeczywistościami, jedną rozpamiętywują, a spodziewają się drugiej. Żałują za winy przeszłe, których jasne poznanie mają, lecz nie mogą ich zetrzeć. Sposobią się do przyszłego żywota powzięciem zamiarów lepszych, ale tych znów nie mogą urzeczywiszczać. Więc są jakby nie byli. Będąc, czują, że nie są. Dość w nich bytu na uczucie—nie dość na działanie i tworzenie. Kto wie, czy się mogą oprzeć rozmaitym siłom natury, owidnokrażniającym ich? czy elektryczne prądy, czy wichrów rozpasanych wiew nie porywa tu i owdzie ich kształtów słabiuchnych? I tak miotani, myśleć tylko mogą i wzdychać, nie więcej! O! szczęśliwe Duchy innych Ludzkości, które już oblokły szaty żywota wiecznego w wszechświecie!.. którym już nie potrzeba kłaść się do kolebek i kłaść się do trumien, ani między ostatnią trumną a następną kolebką przemyśliwać w trosce, w mdłościach, w bezsile! U nich, dosznużonych i doksztalconych już, przedziwna jednia i myśli i bytu, wyborny nastrój całości. Z tej harmonii wieczna twórczość wieczny czyn wypływa i to przyczyną, że śmierć od nich odpadła, że nie jest już im koniecznością każde wyższe stanowisko, do którego podnieść się mają, długo przed myślą w ać w sobie—ni też niższe, opuszczone, załem odpokutowywać. I namby śmierci nie było, gdy-

byśmy tego nie potrzebowali. Stan umarłych jest stanem ciągłego namysłu, rozważaniem czynu przeszłego i kartowaniem czynu następnego. Musi zatem niezawodnie wyrób jakiś rzeczywisty, wyrób, który zdać się ma ich Duchowi później, odbywać się w tym pośmiertnym pół-żywocie. Urodzą się na nowo w taki sposób, z takimi zdolnościami, jakie przemyślali, przeplakali, przewestchnęli, przemodlili, przenaściejowali lub przedpokutowali w sobie przez ten czas *Czyścić o w y*. Ale dopiero się wtedy urodzą, gdy nabędą siły do urzeczywistnienia tych myśli, do przetworzenia ich we władze i zmysły, które są kształtami żywotnego wcielenia. My, żyjący, zapewne im do tego pomódz możemy. Energia żywotna nasza, zapewne skutecznie działać może na nich, jej pozbawionych, bo *ż y c i a* prawem, że się udzielać musi, chce, może! Tu wykazuje się, jak dalece wyższe pojęcie katolickie od protestanckiego, kiedy zaleca modlić się za umarłych, czyli *w p ł y w a ć* na nich. Kościół w pogrzebowych modłach zawsze prosi dla nich o *r e q u i e m a e t e r n a m*, zdaje mi się, że powinienby prosić tylko o requiem do czasu, bo właśnie *s p o k ó j*, jakoby sen poważny, a miły, w świecie dusz, w świecie umarłych, błogim byłby do życzenia stanem. Kiedy zaś prosi się Boga o wiecznego coś dla kogo, to należy tylko o *ż y w o t* prosić *w i e c z n y — o v i t a m a e t e r n a m*, a to nie spokój i nie sen—to coś zupełnie różnego i nieskończenie wyższego, piękniejszego, lepszego! Ale do tego dojść tylko można razem, razem z wszystkimi żyjącymi i z wszystkimi umarłymi. Dzień pierwszy tego żywota — to dzień sądu z wszystkich sądów historii ostatniego, dzień ostatni planety. Kościół wie o tem dobrze, bo sam twierdzi, że dopiero na dniu onym, ciała nieskazitelne, Chrystusowemu ciału wniebowziętemu podobne, obloką żywych i umarłych. Niepojętna więc, czemu tak często miesza jedno z drugim, nad trumnami tych, co odeszli nie do świata jeszcze przeanielen, ale dopiero do świata dusz. Bądź-co-bądź, módlmy się z Kościołem. O módlmy się za nich! o mówmy do nich! o pamiętajmy o nich! i my kiedyś pójdziem, kędy oni dziś! Ale gdzież się te ich smętne odbywają koleje? gdzież? bo juści *m y ś l i* zupełnie oderwanej od *b y t u* nie masz i być nie zdoła, jakkolwiek kierunek bytu, zwątlon i umniejszon, trwa jednak i bytuje w umarłych. Zatem miejsca im potrzeba, innego niż nam, ależ miejsca zawsze! Czy nie w atmosferze planety lub czy nie na satellicie planety, na tym księżycu o posępnych a tkliwych promieniach, mieszkanie ich do czasu? dom ich, krążący dokoła domu, w którym ród ludzki obraca się koło słońca? dom ich, jak oni, w półżywy, blady, magnetyczny? Przyjdzie chwila, w której to się wyjaw i odkryje, bo wszystek związek i zgodność wszystka między *p r a w e m*, wyrzeczonem przez Chrystusa, a na-

turą, czyli bytem istotnym Wszechrzeczy, stanie się nam pojętną jasnością, odtajemniczoną prawdą, jakoby matematyczną pewnością. Będzie to właśnie uznana zgoda między *Wszec h m y ś l ą* i *Wszec h b y t e m*, i to uznanie stanowić tem samym będzie dzień *D u c h a Ś - g o*, dzień pocieszyciela owego, który ma uwielbić Chrystusa. A czemu Chrystus uwielbion być może, jeśli nie pojęciem zupełnem *ś w i a t ł a* przez *c i e m n o ś c i*, *s ł o w a*, które było *N i m*, przez ludzi, i utworzeniem przez to pojęcie nowego świata ludzkości, Królestwa Bożego, które wszystkie stosunki, dotychczasowo niechrystusowe, między ludźmi uchrystusuje i tem samym zbliżać będzie Duchom wszystkim ludzkim dzień najwyższego ich rozwoju, a po dniu onym następny, *ż y w o t a w i e c z n e g o*? Chrystus nic nie dowodził, nie przeprowadzał wiary przez wszystkie okręgi nauki i kształtów społecznych. Jest w nim moc wyższa nad wszystkie dowody. Jest ciągła twórczość Boskich czynów, — Bóg siebie inaczej nie dowodzi, jedno stwarzając wyborne i żywe dzieła. Pracy ludzkiej pozostawionem zostało wykazać dobitnie, dowieść sobie samej w całej naturze, we wszystkich dziedzinach życia i śmierci, we wszystkich okręgach umysłu i we wszystkich społeczeństwach, konieczności *p r a w a C h r y s t u s o w e g o*. Będzie to niejako *o b j a w i e n i e m o b j a w i e n i a*. Wtedy wytłómaczonym Chrystus zostanie; nie już ślepa wiara, ale wiedza jasna będzie go wiedzieć, a tak go wiedząc, wykona! I to będzie właśnie wylewem na ludzkość *D u c h a Ś - g o*, który ułatwi wiekom przez zrozumienie, dopełnienie Chrystusa, czyli przejście przezeń na ziemi, na to, by do nadziemskich dostać się okręgów!

**UWAGA.** Kiedy się mówi o Trójcy Bożej, nie należy zapominać, że w każdej z jej osób obie pozostałe się znajdują: we *Wszec h b y c i e* — *Wszec h m y ś l*, a zatem i *Wszec h ż y c i e*, we *Wszec h ż y c i u* — *Wszec h b y t* i *Wszec h m y ś l*; stąd ich wieczna współczesność, stąd ich doskonała równość, stąd nie trzy Bogi z nich, tylko jedna wola we trzech osobach i jeden Bóg! W istocie, jakżeż jedną w oderwaniu od drugiej pomyśleć? — zupełnie niepodobna. *Wszec h b y t* bez *Wszec h m y ś l i* byłby chyba kamieniem, a skoro z *Wszec h m y ś l ą*, wnet z nich wynika i *Wszec h ż y c i e*. *Wszec h m y ś l* bez *Wszec h b y t u* byłaby chyba cczą abstrakcją, czemścis, co niczem. *Wszec h ż y c i e* bez tamtych dwóch także niczem, bo ono właśnie z nich wypływa, będąc ich łącznią i zlewem. Ono ma je w sobie i samo o tyle sobą jest, o ile je ma. Zupełna więc równość tych osób i wieczne zachodzenie jednych na drugie. Dopiero ich oderwanie się od siebie i występywanie osobno zdarza się w historii, odbywającej się w czasie. Wtedy już w stosunku do dziejów świata, niejednocześnie w świat wstępują. Jest

wiek, w którym Jehowa, jest drugi, w którym Chrystus, jest trzeci, w którym zupełne zlanie się pierwszego z drugim, czyli Duch Ś-ty bardziej się objawia. Ale to zawsze jedna wola i jeden Bóg!

W trójcy ludzkiej, pojedynczej, każdego z nas, podobnie nie jednocześnie i nie równo każda z osób jej, a zatem i ta jedna wola, i ten jeden Duch się objawia. Owszem, bywa walka i rozdarcie między nimi. By dostąpić do D u c h a, trzeba rodowi ludzkiemu przez tysiączne i straszne przechodzić koleje, a jak jemu, tak i każdemu ze składających go osobników. B y t, czyli ciało, klóci się w piersiach naszych z m y ś l ą, czyli Duszą; D u c h, długo uspijon, niedokształcon, choć wciąż się przez tę walkę kształci, podobny do akordu, który musi z tych dwóch nut powstać, a nie może. Jednak i w trójcy ludzkiej nigdy i nigdzie ciała bez duszy lub duszy bez ciała, lub duszy i ciała, któreby zupełnie nie kształciły już Jaźni osobistej, czyli Ducha, nie masz. W naturze jeszcze bardziej oderwane i oddzielone od siebie, tej Trójcy, osobne kierunki—Ducha, choć on wszędzie i wszystkiego podstawą, prawie nie znać. Wszystko się przedstawia pod postacią Wszechbytu, z przewagą Wszechbytu, jakby przydaszone Wszechbytu ciężarem, a Wszechmyśl i Wszechduch jakby ukryte, jakby w letargu; w człowieku zaś wszystko się przedstawiało pod postacią Wszechbytu i Wszechmyśli, walczących z sobą i rozdzierających się nawzajem, a Wszechduch tylko był jakoby utajony, jakoby w letargu. Jednak i w naturze nigdzie B y t u czystego, oderwanego zupełnie, pozbawionego myśli i życia, nie spotkać, bo taka a b s t r a k c y a istnieć nie może. Byłaby śmiercią istotną, a widzimy, czujemy i myślimy, że wszystko żyje. Najgłuchszy, najślepsy, najmartwszy kamień ma w sobie siły idealne (gdyby tylko siłę ciężkości, czyli atrakcyi) i wielkiego organizmu żywego planety jest cząstką. A dąży do tego, by stać się, po wielu przetworzeniach, Duchem i życiem. Myśl tylko i życie w nim przedstawione pod wyłączną postacią B y t u! Taki stan właśnie pierwszym początkiem stworzeń, pierwszym szczeblem ich, ale już zawierającym możliwości wszystkie dalszego rozwoju. Bo jużciż wszystko D u c h e m i ż y w o t e m, jedno w rozmaitych stopniach i kształtach. Można by powiedzieć nawet, że tylko Duch, tylko Duch jeden jest, a że b y t i m y ś l, to wewnątrz niego rozdziałające się dwa kierunki, z których on sam się składała, wciąż się na nie rozkładając. Można by przyrównać te dwa kierunki do oddechu. Wyziewanie byłoby B y t e m, wzięwanie m y ś l ą, a D u c h, to owa pierś jedna, co oddycha podwójnym kierunkiem. Te dwa kierunki w Bogu są zarazem Trójcą i najabsolutniejszą jednią w człowieku, są one rozdzielone i przeciwpostawione sobie, ale na to, by się wypróbować w walce i przez walkę powrócić do siebie samych, to jest do D u c h a. W naturze nie tylko

rozdzielone, ale utajone, przeciążone przewagą jednego tylko kierunku, t. j. bytu początkowego, który jeszcze się nie pojawił sam, więc myśli nie rozbudził w sobie. Lecz, jak z świata natury wyrasta J a ż ń człowieka, tak z świata Ludzkości wyrasta J a ż ń Anielska dalszych wyzszych Duchów ród, a rody te coraz wyżej wracają ku Bogu! Zatem wszędzie ta sama Trójca i jeden Duch!

Oczewiście, że nie jedna osoba oderwana z Trójcy Bożej, ale wszystkie trzy razem, czyli Bóg sam, Duch Boży wszystek, świat stworzył. Pisma słowa są: „I Duch Boży unosił się nad wodami“. Tylko w stosunku do nas stworzonych i zaczynających stąpać po drodze historii, ukazał się Bóg nasamprzód pod postacią pierwszej z osób Trójcy swej, t. j. pod postacią W s z e c h b y t u (Ojciec, Jehowa, ten który jest, bo jest); inaczej być nie mogło, bo cóż same Duchy ludzkie stworzone nasamprzód w sobie poczuły, czyż nie nadany im byt? Zatem odniosły go do źródła wszelkiego bytu, do W s z e c h b y t u, do pierwszej osoby. Takim sposobem koniecznie w stosunku do stworzenia drugą osobą Trójcy musiała wystąpić W s z e c h m y ś l, czyli S ł o w o (Logos), bo w istocie, wzięwszy W s z e c h b y t za pierwszą osobę, W s z e c h m y ś l z niego się rodzi, jak syn, koniecznie, jak syn z Ojca, bo nad czemże-by myślała m y ś l, gdyby nie nad tem, co ją poprzedza — nad bytem? coby wiedzieć i rozumieć mogła, gdyby nie to, co przed nią istnieje, co właśnie jej danem do wiedzenia i rozumienia, t. j. Byt? Wreszcie obu tych poprzednich osób wzajemne zlanie się, to jest W s z e c h d u c h, czyli D u c h Ś w., ma się objawić stworzonym, skoro sami dojdą do pojednania w sobie b y t u swego z m y ś l ą s w ą, ciała z duszą i dlatego już ta trzecia osoba nie rodzi się z syna, jak syn z ojca, ale zarówno pochodzi z Ojca i z Syna, z W s z e c h b y t u i W s z e c h m y ś l i, będąc właśnie ich przepojeniem się, czyli Miłością wzajemną. Takim sposobem w końcu zawraca się znowu do tego, co było na początku, w tych słowach: „I Duch Boży unosił się nad wodami“. To słowo miga tylko i wraz jak błyskawica przepada na wstępie pierwszym Genesis, ale też, jak błyskawica z Wieczności, rozświeca wszystkie tonie czasu. Dla nas stworzeń postępowych, zatem podnoszących się, z trudem i powoli, dla nas nie obejmujących wszystkiego od razu jedno następnie przesuujących się piętrami dziejów i kategoriami wyobrażeń, W s z e c h d u c h ukazał się nasamprzód W s z e c h b y t e m, powtóre objawił się W s z e c h m y ś l ą i tą drugą osobą s w ą wcielił się w Chrystusa; dopiero po tych dwóch koniecznych rozwojuach ma znów W s z e c h d u c h e m się wyjawić przed nami. Lecz dla siebie samego on był zawsze sobą samym, Bogiem jednym, całym, Duchem przenaświętym, tym samym, który na początku początków świata „unosil się nad wodami“.



Naturą Wszechducha jest zawierać w sobie Wszechbyt i Wszechmyśl, wiecznie wyłaniać, wyradzać je w sobie i z siebie, z nich się składać i na nie się rozkładać i znów składać się z nich. My z Boga tylko znamy Wszechbyt, tylko znamy Wszechmyśl, ale Wszechducha, którego one są kierunkami, czyli osobami dwoma, nie znamy. Wszechbyt i Wszechmyśl po świecie rozlały byt i myśl—tem samym stworzyły świat i wciąż go stwarzają. Wszechbyt przez proroków się objawiał pod nazwiskiem Jehowy, Wszechmyśl się objawiła w Bogu-człowieku, w Chrystusie, ale Wszechduch dotąd się nie objawił, jedno przez te objawienia, które są tylko jego kierunków objawieniami, a zarazem możnaby powiedzieć, że co chwila się objawia, bo świat i my dziełem jego jesteśmy, bo w bycie każdym drga jego Wszechbyt, bo w myśli każdej drga Wszechmyśl jego, bo w życiu wszelkiem drga jego Wszechżycie.

On właśnie jest Boga osobistością tą, która wiecznie za światem pozostała, tą, która wiecznie stwarza wszystko, co tylko stwarza się, tą, której myślą nie pojmiem, bo myślą tylko myśl pojąć można, której czuciem samem nie uczujem, bo czuciem tylko byt uczuć można, ale w którą wżyć się, wstworzyć się sami musim, bo we Wszechżycie tylko wżyć się można. Wżyć zaś, wstworzyć się w co, nazywam przez czyny, które są naszymi tworam i (kreacjami), łączyć się z Czem! Czyn jest znakiem, wynikiem życia! Życie objawia się przez czyn. Najwyższego życia czynem jest czyn najwyższy, czyli stworzenie świata. Z tem najwyższym życiem my tylko analogicznym czynem łączyć się możemy, tylko tworząc, czyli czyniąc wciąż, a gdy nasze twory, czyli czyny, dochoǳić będą pewnego stopnia pełni, gdy w przybliżeniu jakimśkolwiek staną się na podobieństwo czynu najwyższego, czynu Bożego, czyli w nich będzie harmonia bytu i myśli, czucia i rozumu, kiedy tak tworząc i czyniąc, sami staniem się Duchami żywy mi, wtedy stworzym w sobie tem samem pełne obcowanie z Duchem Bożym, czyli dostaniem się do stosunku dotkliwego, rzeczywistego, cochwilnego, z Wszechduchem; zarazem uczujem go w pełni, pojmiem go w pełni i wraz z nim, to jest z wolą Jego, w jedni, czynić będziem. Kiedy mówię w pełni, zawsze rozumiem w pełni przybliżonej, bo to tylko pełnią w porównaniu ze stanem naszym dzisiejszym, zawsze zaś ta pełnia będzie niedomiarą w porównaniu z wyższym stanem, z wyższą pełnią, ku której kierować się będziem, nieustannie rosnąc w Bogu, ale nigdy Go nie dorastając, bo On, jako Wszechduch i Wszechżycie, wiecznie, co tylko jest i być może, przerasta i oblewa w koło sam!

Dotąd nie pojmuję dobrze znaczenia słowa stwarzać. Twórczość jest koniecznym wynikiem i przymiotem natury Duch a. Kto Duchem, ten tworzy i w istocie z niczego, bo tylko z siebie, a z siebie tworząc, mnoży się i silnieje sam. Już dziś, my słabi i nikczemni, na tej ziemi stwarzamy coś: oto postanowienia nasze, z których czyny nasze wypływają; prawdziwymi stwórcami jesteśmy tych postanowień, które zgadzają się, albo też nie zgadzają się z prawem bożem, z wolą bożą. Tem samem, żeśmy wolni w woli naszej, w okręgu woli tej stwarzamy sami z siebie coś takiego, czego nie było przed nami, czegoby bez nas być nie mogło. Światy złego moralnego w taki sposób stwarzane bywały i bywają dotąd, ale to ujemne stwarzanie—to krzywa twórczość, to wszechmoc, że tak powiem, działająca w Nicość, zatem Bez m o c raczej. Kiedyś my inne światy, światy dobra i piękna stwarzać będziemy, i to będzie naszym najwyższym stosunkiem do Boga. Jak On nas stworzył z niczego, to jest wylał z siebie, tak my znów doszli do pewnego stopnia D u c h o w o ś c i żywej, wylewać jego p r a w o będziem z siebie i niem urządzać i stroić zewnętrzną naturę, na nowe lutnie, że tak się wyrażę, naciągając dawne życia struny. Według Jego woli świętej, z naszą zrosłej, będziem snuć z siebie samych następne dzieje żywota naszego wiecznego i wszystkie zewnętrzne kształty nasze, a tych naszych kształtów przeciągnięciem i zwierzchnią obwijką będą światy Wszechświata. My będziem ich wewnętrznemi żywotami, ich bijącemi sercami. One naszymi czynami, one szatami Boga, tkanemi przez nas, a im lepiej i głębiej go poznamy przez ten czyn i twórczość tę naszą, tem O n jeszcze się nam bardziej odkryje pięknym, mądrym, nieskończonym, zatem jeszcze dalszym, choć już będziem dotkliwie w nim, jeszcze bardziej niedosięgniętym, choć co chwila dosięgany, zatem wiecznie trwającym w stosunku do nas Ideałem, pomimo, że i rozwinę wokół nas r z e c z y w i s t o ś c i ą, zatem nieustawiającą ż ą d z ą naszą, zatem i nigdy nieustawiającem ni mogącym zakończyć się życiem naszym. I to we wszelkiej prawdzie jest Miłością wieczną! Bóg albowiem jest możnością wszystkich możności, rzeczywistością wszystkich rzeczywistości. On Wszechduchem przytomnym we wszystkich duchach stworzonych, tem przytomniejszym w nich, im one bardziej silnieją, im zosobiszczają się bardziej, im wolniejszymi i twórczejszymi się stają, bo wtedy podobniejsze do niego, a on tem samem bardziej w nich. Nieśmiertelne osobistości, wzmagające się coraz bardziej, Jego osobistości nie szkodzą, i owszem. Ale trudno jasno pisać o wszystkim, co dotyczy W s z e c h d u c h a i W s z e c h ż y c i a, bo dotądśmy na planecie tym, my Duchy nieuspokojone, my Duchy rozdarte i rozdwojone, biedne, cierpiące, do wieków życia niedoszli, bytu tylko i myśli, ciała

i d u s z y wieki przebyliśmy. Harmonijny Duch tylko o Wszechduchu powiedzieć może coś pewnego i niezawiklanego. Rozdarty zaś tylko przeczuwać błędnie potrafi co spokoj, nastrój, miłość i z nich wypływający t w ó r c z y c z y n. Lecz i takie przeczucie już dobrem jest, już zatłoną w nas iskrą Wszechżycia! Zatem w Bogu początkiem i końcem, Alfą i Omega, wstępem i dopełnieniem, jest W s z e c h d u c h, pierwszą zaś stroną Jego, ukazującą się stworzonym ludziom, jest Wszechbyt, czyli pierwsza osoba Trójcy — To co jest, bo jest i nie więcej, Jehowa. Z niej, jak z Ojca, rodzi się druga strona W s z e c h d u c h a, druga osoba Trójcy, W s z e c h m y ś l, która rozumie, c z e m j e s t T o, c o j e s t, a zatem tłómaczy i objawia istotę Ojca swego, i znów w rozwoju historyi ludzkości następuje tu zawrót do tego, co było przed początkiem stworzenia, do W s z e c h d u c h a, czyli Trzeciej Osoby, o której, jako o D u c h u Ś w i ę t y m powiedziano, że zarówno od Ojca i Syna pochodzi i oczywiście, że zarówno, bo dla nas składa się z nich, gdyż dopiero przez nich do niej dochodzimy, a dla siebie rozkłada się na nich, bo przez nich niejako zstępuje w świat, gdy go stworzy.

Jednym z najdobitniejszych dowodów, że wszystko duchem i życiem, że wszystko pełną Trójcą, a nic niema, coby się tylko z jednego z jej kierunków składało, to to, że nawet w naszym rozumowaniu o świecie, o rzeczach stworzonych i o nas samych, nigdy zupełnie rozgraniczyć nigdzie i oderwać tych osób nie możemy, wiesz, wszędzie, na pomoc bytowi myśl, na pomoc im obojgu życie wzywać musim i nawzajem! A jeśli usiłujem koniecznie inaczej uczynić, jeśli, zamiast D u c h a i ż y c i a, za podstawę wszystkiego uznajem czy byt oderwany sam, czy m y ś l czystą samą, mimo najlogiczniejsze i najdzielniejsze rozprawy, dochodzimy do najnielogiczniejszych i najnikczemniejszych wyników ostatecznych, do śmierci widnokrzęzłej, do Ateizmu, do zaprzeczenia nieśmiertelności naszej, do nieuznania osobistości w Bogu, do przesłepienia wolności, i w Nim, i w nas samych, a wszystko jedno, czy ciąg rozumowania oprzem na b y c i e, czyli też na m y ś l i czystej. Zawsze jeden wypadek sprzeczny z powagą, godnością i wiecznem natchnieniem duchowem rodu ludzkiego. I to bardzo naturalną rzeczą, bo chcąc trafić do ż y c i a, nie trzeba, od trzeciej jego części zacząwszy, jej tylko się pilnować, ją tylko widzieć wciąż, ją tylko rozwijać, o drugich zupełnie zapominając. Filozofia francuska tylko bytu oderwanego, t. j. materji, niemiecka tylko myśli oderwanej, t. j. Ideałności czystej się trzymały. Obie doszły nie do Wszechżycia, ale do Wszechśmierci. Jednak świat żyje, jednak my żyjemy: życie potężniejsze niż systemata. Coby powiedzieć o muzyku, któryby, albo odrzucając wszelki general-bas, tylko kla-

wisze martwe rozważał, lub też, nigdy nie przypuszczając istnienia żadnych klawiszy, generał-bas tylko w milczeniu rozbierał i tę lub tamtą abstrakcją nazywał Muzyką? — trafiłże-by kiedykolwiek do prawdziwej muzyki? Jedno z dwojga-by mu wypadło zawsze: albo pisk, miasto dźwięku, nieznośny i wiecznie fałszywy, albo też zupełne milczenie. Muzyki zaś żywej, istotnej nigdyby się nie dopracował. Zupełnie tak samo się stało z Materyalistami i Idealistami: pierwsi klawiszów się tylko pilnowali, drudzy generał-basu tylko i za ostateczny wynik wypadł im chaos lub nicstwo.

Otóż i w tem dowód, że osób, w trójcę połączonych, nie sposób oderwać od siebie. Wszędzie, czy w głębiach naszego rozumu, czy na powierzchniach zewnętrznej natury, one, że tak powiem, szukając się żądają się, domagają się siebie nawzajem i dopiero żyją pełno, gdy się połączą i zleją razem. Wszelka martwość, wszelki ból, wszelkie rozdarcie wynika z mniejszego lub większego ich od siebie odłączenia lub między niemi rozstroju—wszędzie, zawsze złać się pragną w jedno życie, w jednego Ducha! Jedna wiecznie w drugą się przelewa i przeinacza, by t rozkwita w m y ś l, m y ś l wciela się w b y t, i życie nastaje! Z kończyn przeciwnych Wszechświata biegną ku sobie te kierunki: nieraz zdawałoby się, że się spotkawszy, pasują się z sobą, lecz to pozór tylko, bo jeśli walczą, to nie walka rozbratu — owszem—to walka poprzedzająca zgodę, to tylko przejście wiodące do celu wyższego! Ale skoro ten cel wyższy, nibyto ostateczny, otrzyman, skoro stanowisko pewnej pełni duchowej osiągnięte, całość harmonijna, stąd powstała, odkrywa natychmiast, że wyższa jest jeszcze M y ś l od rzeczywistości, której się dobiła, czyli rodzi się natychmiast w tej Całości duchowej pojęcie idealne dalsze, niż jej terażniejszość, i w stosunku do tego pojęcia sama uznawa się znów b y t e m tylko i jako b y t pragnie się z tą m y ś l ą, z t e m p o j ę c i e m, rozbudzającym się coraz bardziej w niej, złać do pełnej miary, czyli znów stać się innym, wyższym Duchem! Nigdy więc nie przestają ukazywać się i rozwijać się nawzajem one osoby Trójcy wiecznej, w Duchach czas zaludniających. Skoro Trójca w jakim Duchu się dopełniła przez pracę, walkę i rozwój następny, wnet znów się rozkłada na siebie samą, by dążyć wyżej. D u c h, który z b y t u i m y ś l i wyniknął, znów b y t e m się czuje i myśl rodzi z siebie i zlewa się z nią w pełniejszy D u c h a, i tak bez końca, a coraz doskonalej, wyborniej, olbrzymiej! Na ziemi i we wszystkich okręgach niższej Duchowości takie spajanie się b y t u z m y ś l ą, takie rośnienie coraz wyższe, jakieśmy już wytknęli, najczęściej rozdarcia i walki postać nosi: stąd ból, stąd w niższych, dziecinnych, nie-

miarowych jeszcze organizmach śmierć, która przegradza jedne stany Ducha od drugich. Niezmiernie też powoli i nieznacznie zwykle odbywa się takie podnoszenie się i postępowanie już nastających do pojęć nieureczywiszczonych jeszcze i ureczywisczenia ich przez zlanie się onych bytów z niemi w Ducha pełnego! Wieki upływają, wieki cierpienia, wieki niedochodzących prób, wieki ślepego boju, rozstrojnych działań, na każdym stanowisku takowem. Jednak im więcej się ich przebędzie, tem wzrost łatwiejszym i prędszym się stawa. Nie innym prawem i żywot wieczny rządzon, z tą jednak różnicą, że w nim nieskończenie łatwo i szybko Duch łączy się z coraz wyższem pojęciem, nie walczy już rozdarty sam w sobie, ale, wciąż myśląc wyższe dobro i piękno, natychmiast je wykonywa czynem. Na ziemi przemiana każda pasowaniem się i bólem, tam zaś łączeniem się namiętnem i najwyższą rozkoszą, tu rość najczęściej tyle znaczy, co konać, często tyle, co umrzeć. Tam zawsze znaczy tyle, co wniebowstępować.

Taką więc kolejną coraz wyższemi Duchami stają się niższe, uznawają się bytem w stosunku do myśli, która, możnaby powiedzieć, objawieniem następnem i postępnem rodzi się w nich, bo Myśli naturą, że zawsze, jako objawienie, jakby Chrystusowość jaka, zstępuje, i uznawszy się takim bytem, zlać go, czyli podnieść go do tej myśli pragną. Gdy to pragnienie, czyli pomysł urzeczywistnią, znów Duchowej pełni pewnej, wyższej dostąpili! Ale żaden Duch ze stworzonych Duchów na jakiembądź stanowisku nieśmiertelnego rozwoju swojego W s z e c h d u c h e m nie zostanie, Bogiem nie będzie. Może tylko stać się jednym z Bogów, którymi zaludnione niwy żywota wiecznego. Bóg a Bogi — to różnica bezmierna i prawdziwie nieskończona, bo tej różnicy nigdy końca być nie może; choć Bogi w każdej chwile coraz bardziej się stają na podobieństwo Boga! Lecz podobieństwo do Boga zależy na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć swoją osobistość, zatem różnicę jej od Jego osobistości. Bliżkość do Boga więc na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć dalekość swą od niego! Bo wtedy w istocie rozumie i czuje Duch, co to Harmonia Wszechświata, czyli wtajemniczon jest w tajemnicę stworzenia, a tem samem w prawdę wieczną i w czyn wieczny. Więc, o ile je zna, łączy się z niemi, obcuje z niemi i sam je sobą wyczynia. To właśnie jest bóstwem dla Ducha! Moznaby powiedzieć, że się karmi Bogiem, i że przez ten pokarm własna jego J a ż ń silnieje; zatem jeśli silnieje, nie przepada w osobistości Bożej i z nią się nie zlewa w nierozdzielną jedność — martwą i głuchą. Jedność Ducha stworzonego z niestworzonym Wszechduchem

żywą jest, a nie umarłą jednością, ona żywot coraz silniejszy nadaje. Im bardziej się z B o g i e m łączysz, tem sam bardziej sobą jesteś, bo gdyby inny był tego łączenia się skutek, tobyś nie ku życiu szedł, ale ku śmierci, i Bóg w końcu końców byłby twoją ś m i e r c i ą w i e c z n ą. Bóg tymczasem wcale przeciwnie twojem ż y c i e m w i e c z n e m jest. Im więcej masz z Niego, temś sam bardziej s o b ą s a m y m, a zarazem i bardziej w N i m. Zarazem i dalszyś od przepadnięcia na głucho w N i m, i bliższyś Jego tem, że jaśniej Go widzisz i święciej wolę Jego wykonywasz. On znówu jest T y m, z którego im więcej dawa, więcej pozostaje. I ty Jemu wicznie się poświęcasz, i On tobie dawa Siebie wicznie. Lecz ty Jemu co innego poświęcasz, niż to, co On tobie daje. Cóż ty Jemu oddajesz wciąż?—oto wolę twą wolną, która właśnie jest t e m, co stanowi twoją J a ż ń, twoją o s o b i s t o ść; nakłaniając ją do zgody z Jego wolą, poświęcasz ją Jemu i tym tylko sposobem, straciwszy siebie, siebie odzyskujesz, to jest wzrastasz w b y t y i m y ś l i, czyli w c i a ła i d u s z e, coraz d o s k o n a l s z e. Czemu te ciała twe i dusze twe, tak nabyte poświęceniem się woli twojej wolnej Jego woli? Czyż one twemi są? nie, one zaczerpnięte w przepaściach Jego Wszechbytu i Wszechmyśli. Byt twój kaźden z Jego Wszechbytu, myśl twa kaźda z jego Wszechmyśli. Zatem, jako ty Mu wciąż osobistość twoją poświęcasz, a tem samem i odzyskujesz a spotężnioną, tak O n znów tobie, jeśli tak godzi się mówić, poświęca swój Wszechbyt i Wszechmyśl, a poświęciwszy, odzyskuje niejako w tem, że tyś Mu piękniejszem i szlachetniejszem wyrósł stworzeniem, że w tobie świat Jego wypiękniał, zakwitł zarcydziałował się cudnie. On nigdy O s o b i s t o ści Swej tobie nie poświęca, nigdy woli Swej przenaświętszej. To ty Jemu czynisz; ale wicznie ci Wszechbyt Swój i Wszechmyśl, czyli ciało i krew Swoją oddaje na pokarm i tak wicznie, wicznie, i to stanowi Miłość Jego wieczną ku tobie i twoją ku Niemu, bo między tobą a Nim i Nim a tobą wicznie krąży przelew udzielającego się żywota. Ty, że Mu oddajesz wolę swą, czyli osobistość, rośniesz, wzmagasz się, silniejesz następnie i ciałem i duszą. On przeto, że tobie oddaje z Wszechbytu i Wszechmyśli swej część, tem trwa, żyje, coraz wyższy świat stwarza i wyższym udziela się Duchom; więc, coraz bardziej obcując z wyższymi Duchy, jak Pismo św.—mówi, rosnącej chwale się swojej przypatruje. Ale ta rosnąca chwala, to nie próżność, to nie umarła litera chwały. W tem wyrażeniu Pisma zawiera się całe Wszechżycie Boże! Gdybyś był dla Niego niczem, lub tylko miał być marnego uczucia chwały zadowoleniem, nie byłbyś! Skoroś jest, skoro On cię stworzył, w istocie tyś na chwałę Mu stworzon. Ale

ta chwała znaczy, że *Wszechducha* życiem jest wieczny *Wszechczyn*.

Zapewnie, mógł się bez niego obejść w swej niezależności, ale nie mógł w swej wolności, to jest nie mógł, skoro obrał to, co najwyborniej się zgadzało z Nim samym, z *Wszechmyślą* Jego o sobie samym. Prawem wtedy stał Mu się *Wszechczyn*, a tyś właśnie tym żywym *wszechczynem*, wraz z nieskończonością bliźnich ci Duchów. Im piękniejcie bardziej, tem więc *Wszechczyn* *Wszechducha* piękniej! tem bardziej przez was dzieło Jego bóstwa nabiera, więc tem bardziej On odpoznawywa się w was i może kochać was więcej; nie dla was więcej, bo was od początku najwięcej kocha, ale dla siebie więcej, i w tem życie Jego! Jeszcze raz powtarzam: Wy Mu *Wolę*, to jest osobistość swą wiecznie poświęćcie, On wam nigdy swej osobistości, ni woli swej, ale wieczny *Wszechbyt* swój i *Wszechmyśl* swą, byście ciała mieli i dusze coraz wyborniejsze. Teraz więc zrozumiejcie, co w ostatecznym znaczeniu Ciało i Krew Pańska udzielana wam. Zaprawdę, ciągle wy się *Nią* poicie i karmicie: Pan żyje tem, że je wam daje, wy tem, że je bierzecie od Niego, i znów wy tem żyjecie, że *wolę* swą, czyli osobistość, poświęćcie Panu, a Pan tem trwa niejako, że ją od was bierze. Wiecznem udzielaniem się i *czynem* żyje i trwa, i nieskończeniu się *Duch*. Tylko z tą różnicą, że *Osobistość* *Wszechducha* udzielić się nie może nikomu, kiedy *Duchów* osobistości stworzonych udzielają się wciąż *Wszechduchowi*, poświęcając *wolę* swą woli Jego, lecz zarazem też przez to samo wyższej dorabiając się *Osobistości*! Bo nic z tego, co dasz Bogu, nicością Ci *placonem* nie jest. Za niższe, coś oddał, wyższe natychmiast oddanem ci. Znów tu słowa Chrystusa brzmią w pamięci: „gdy duszę stracisz, dopiero ją wtedy odzyskasz.“

Tu się nam jeszcze kilka słów nasuwa o *Żywocie* wiecznym.

Zmysłowy kierunek ducha ludzkiego upatruje zawsze Niebo w przeszłości i zowie je *Rajem*, bo *Raj* był niebem dla ciała ludzkiego. Umysłowy zaś kierunek *Ducha* upatruje *Raj* w przyszłości i zowie go *Niebem*. Niebo średnich wieków, kończące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest *Rajem* *myśli*. *Duch* zaś wszystkich, *Jaźń* cała ludzka, powinna się starać, by ten *Ideał* przeszłości i ten przyszłości zlały się w jedno, wiecznie terażniejsze życie! Owa terażniejszość, zarazem rajska i niebieska, cielesna i duszna (bytowa i myślna) zacznie się przy *ciał* *zmartwychwstaniu*, w dniu, którym dokonują się losy człowieczeństwa. To właśnie to, co nazywamy *Anielstwem*. *Raj*, czyli doskonałość ciała, należy zlać z niebem, czyli z doskonało-

ścią myśli, a wypadnie doskonałość Ducha człowieczego, jako człowieczego, i nastąpi wnet przemienienie jego, czyli Przeanielenie! Stan, w którym każda chwila terażniejszości ma być świętą, wielką, już wielmocną! Raj był apoteozą ciał, Niebo dusz, Duchów zaś przebóstwieniem będzie żywo t w i e c z n y, przemieniający się jeszcze i to bez końca, ale już świadomie i wolnie, co chwila szerszy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej uczuty, mędrzej pomysłany, w urodziwszych kształtach upostaciowany. Raj był niebem na ziemi, Niebo Rajem za ziemią, za światem gdzieś. Żywot wieczny rajem i niebem jest zarazem, wszędzie, gdziekolwiek wszechświat, wszędzie gdziekolwiek Duch Pański, jest rzeczywistością ciągłą w nieskończoności, podzielonej na skończone chwile, byty, stany, które przelewają się w siebie, coraz chyżej, a ciągle postępowo. Każda granica ledwo się zjawi, już ją Duch przekroczył. Każda miara ledwo nastanie, już w wyższą przechodzi, a to przy zachowaniu nigdy już niczem nieprzerwanej świadomości owego podnoszącego się ducha! Żywot wieczny jest stwarzaniem ciągle samych siebie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga, jest miłością naszą, rozwijającą się coraz olbrzymiej ku Bogu i Boga przez to samo ku nam, bo historia i rozwój wszystkich światów, wszystkich Duchów, to rozwój ich miłości ku Bogu. Coraz głębiej i goręcej zakochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym i nadwiecznym zarazem. W Tym, który najrozmańszą powszechnością i wiecznym przedmiotem, a zarazem najbardziej ześrodkowaną osobistością i wiecznym Sobą samym, wieczną Jaźnią, wiecznym podmiotem jest—w Tym, który wygląda, jako Byt, ledwo co obudzonym Duchem, jako prawo tego bytu rozbudzeńszym, a jako Jaźń życia wszechświatowego, jeszcze bardziej rozbudzonem.

Im Go lepiej znają, tem więcej kochają, im więcej kochają, tem znają lepiej, im głębiej znają, im mocniej kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego, czyli tembardziej czynią a tem samem kształcą, budują, tworzą siebie samych, coraz doskonalej i wyżej. Jak posągi Boże rosą w Bogu na wieki. Podnosić się i rość co chwila jest prawem ich żywota! Z miłości swej do Boga wciąż sami się przeradzają, rodzą się na nowo z siebie samych, wstępują w górę.

Oto ślub nieskończoności. Oto niepokalane poczęcie powtarzające się wciąż. Oto rodzące się postępowo Syny Boże, z Boga i z siebie samych. Oto Aniołów, Archaniołów, Serafów i Duchów wszystkich, coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Ni do grobu schodzą ich kształty, ni też ze zgniłości wschodzą do kolebki. Ale wiją się i rozwijają się i przetwarzają z mocy wewnątrznej, z ducha własnego



który się już posiadał i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie, swobodnie i zgodnie z wolą Bożą działa i cudowni się. Cud stał się ich sposobem bycia.

Natura nasza ziemską dotychczasową raczej jest cudem niesforności i gmatwaniny, a to, co zowiem cudem, raczej naturą naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga ten do Boga i ten kiedyś, wcześniej czy później, być musi, po Bosku.

„A będziecie jako Bogi“ rzekł wąż; biedny wąż—może myślał, że kłamie ludziom, a on im przepowiadał rzeczywisty ich cel. I wyszli z Raju ludzie!

I wyszli i poszli i dójdą!

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI.

# FATA MORGANA.

## SZKIC HISTORYCZNY.

---

### I.

Bodajbyście wisieli na haku, złodzieje!  
Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy,  
Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy!

tak sarkał szlachcic starej daty w satyrze Naruszewiczowej na cech pisarski, ani czytając modnych elukubracyi całkiem, jakby niejeden potomek jego z poezją „Młodej Polski“ czynić gotów. Otóż ponieważ członek tego cechu, co gorzej, w samej „Bibliotece Warszawskiej“, podobnego ciężkiego grzechu, takiegoż ubliżenia sławie narodowej się dopuścił, wypadnie mu się usprawiedliwić, uzasadnić i obronić, choćby miał z błędów w gorsze brnąć błędy.

Uśmierciłem powtórę „królową *Wandę*, co niechciała Miemca“, dowiódłszy, że o Wandzie i jej wzgardzeniu Miemcem nigdy tradycya polska niczego nie wiedziała; że wszystkie nasze poezye, dramaty, romanse, polskie, niemieckie a nawet w litewskim języku pisane, za Fatą Morganą gonią, za wymysłem kronikarza, za czemś, co nigdy życia realnego, ani w tradycyi, nie miało! Uczona kombinacya, a raczej gruba pomyłka mistrza Wincentego, który najmylniej i najdowolniej w świecie Wisłę „Wandalem“ ochrzcił i z nazwy rzeki fałszywej jeszcze fałszywszą „Wandę“ sobie dla swych dziejów wykrzesał — oto fundament bajeczki, co od dawnych piór kronikarskich do coraz nowszych przechodząc, coraz nowe, jak każda baśń, przybierała szczegóły. I od prostej nazwy szczepu niemieckiego, od bitnych Wandalów, co to aż w Afryce wyginęli, urosła nam ta Polka, co Niemców nie chciała — jakby na ironię.

Bajkę utworzyli i rozszerzyli kronikarze; powieściopisarze i poeci, szczególnie dramatyczni, ją uświęcili. Niemcy mieli już w roku 1702 obszerny o niej romans; ówczesny romans niemiecki bawił się bowiem wyłącznie w egzotyzm, w archeologię i etnografię i rozbijał się po całym świecie za tematami, sięgając aż do Syamu, np. w „Azyatyckiej Banizie“, najsłynniejszym z tych romansów à la Jules Verne i Ebers. Nie dziw więc, że i Wanda niemieckim romansistom się spodobała i z księgozbioru dziwaka Uphageza dziś w Gdańskiej bibliotece miejskiej czytałem „Die durchlauchtigste polnische Wenda“. O niemieckiej tragedyi Zacharyasza Wenera nie myślę prawić, gdyż i nasze domagały-by się wtedy uwag obszerniejszych, choćby ów w „Bibliotece Warszawskiej“ ponownie wydany fragment Krasieńskiego, albo Legenda Wyspiańskiego, albo w „Chimerze“ niedawno umieszczona powtórna przeróbka Norwida. I odwiódłoby to nas zupełnie od właściwego zadania, od poświęcania nowych ofiar na ołtarzu krytycznym i od zadośćuczynienia za nie.

Na ołtarzu, na którym już Wanda spłonęła, czeka bowiem ten sam los i jej rówieśniczkę, słynniejszą nawet, Czeszkę *Libuszę*. Bo i Libusza, jak Wanda, nie z tradycją, z dziejami tembardziej, nie ma do czynienia, i ją tylko samowola, wymysł marny późnego kronikarza do życia powołały i najwyższy już czas dla niej zstąpić napowrót w nicość, rozwiać się Fatą Morganą, nie panoszyć się w świetle dziennem.

Libusza słynniejsza na świecie, niż Wanda, chociaż nie używa się jej nazwiska, jak naszej Wandy, między Czechami, i w kalendarzu ani po metrykach niema jej śladu. Tragedya Grillparzera i opera Smetany nadały upirowi temu blasku i życia; epopea, znanego nam przez Miriama, poety czeskiego, modernisty, Zeyera, jego „Wyszehrad“, chociaż w skromniejszym, bo tylko czeskim zakresie, z trybutów sztuk pięknych, u jej ołtarza złożonych, może najcenniejszy. Nawet nasza dawna literatura, która Wandy, Wędy (na mężczyzn) nie tknęła, Libuszę się zajęła: jedno z najwdzięczniejszych dzieł Waclawa Potockiego, to właśnie sielanka o Libuszy. Ale nietylko Polak, ile wiem pierwszy, ponętny ów temat obrobił, Polak, a przynajmniej pochodzący z Polaków, pierwszy całą tę bajkę wymyślił, bo z polskich rodziców, niewolą do Czech zagnanych, pochodził ów dziekan kościoła praskiego, Koźma, kronikarz czeski, co Libuszę zmyślił.

Kto z nas nie zna owego „podania“? Księżnę, rządzącą krajem łagodnie, sądzącą sprawiedliwie, znieważono, gdy wyrok słuszny wydała, bo pomścił ulegający w sądzie niesłuszność sprawy obelgą, miotaną na kobiety o długich włosach, a rozumie krótkim; ona wyiera więc na męża i króla, Przemysła, od pluga i roli. To jądro

bajki;—późniejsi rzecz znali dokładniej, i „braci“ zwaśniionych wymieniali po nazwisku, Chrudorza i Stiaglawa, i rok jej śmierci wiedzieli, 738 po Chrystusie, chociaż z tą samą racyą i 738 przed Chrystusem wystawić mogli. Ba, w dziewiętnastym wieku odnaleziono nawet i pomnik czeski, z dziesiątego czy jedenastego wieku, opisujący jakąś prozą wierszowaną w języku najstarożytniejszym, niestety tylko ułamek, ową scenę między „braćmi z rodu Tetwy Popelowa“ (książąt Łobkowiców) i poczynający się ową piękną apostrofą do mętnych fal Wełtawy. Pomnik ten, najstarożytniejszy ze wszystkich słowiańskich, rzucono do skrzynki listowej w Pradze i co za szkoda, że go poczta praska adresatowi (założycielom Muzeum czeskiego) istotnie doręczyła! Dziś zabytku tego w witrynach Muzeum już nie pokazują, co dziwna rzecz, i ten pomnik, taki prawdziwy, jak i jego bohaterka, i pomnik, i bohaterka jego, to jedna Fata Morgana, jedno fałszerstwo banknotów, nie państwowych, lecz historycznych i literackich.

Zapyta nas jednak zdziwiony czytelnik, cóż nas te czeskie rzeczy, te podrobione antyki praskie dziś jeszcze obchodzą? Otóż obchodzą nas i bardzo, w świetle następującego niżej wykrycia i nasza własna dawna „tradycya Piastowska“ jaśniej, dokładniej się zarysuje, i o początkach dziejów własnych nowego nieco się dorozumiemy. Uśmiercając na zawsze Wandę i Libuszę, winniśmy lukę tę czemśkolwiek innem zapełnić, wynagrodzić straty naszych epików, dramatyków, ba, i malarzy obrazów historycznych—bo gdzież nie wisi lub nie wisiał ów sztych Wandy, żegnającej się z swojemi ksieniami!

O podrabianiu rzeczy czeskich czytelnik dawno już słyszał; wiemy, że te poezye epiczne, pogańsko-chrześcijańskie: i Sąd Libuszy, czyli „rękopis zielono-górski“, i Ballady i Romanse „rękopisu Królowo-dworskiego“, młody Czech, Hanka, z towarzyszem w roku 1815 zfabrykowali; że udało im się zmistyfikować cały świat uczony i literacki, od Goethego począwszy. Nie czyni to Goethemu żadnej ujmy—daliż się i Mickiewicz z Puszkinem złowić na niby słowiańską „Gusłę“ sprytnego francuzika. Już to w latach około 1820, od pamięci niegdyś Ossyanowej, tak wszelakie podrabiania kwitnęły, że nawet i prawdziwe rzeczy, np. staroruskie „Słowo o pułku Igorowym“, za podrobione uważano, i pierwszy nasz tłumacz polski „Słowo“ dziełem hr. Musina Puszkina ohrzczył. Dziś wiemy lepiej, że „Słowo Igorowe“ prawdziwe, a owe czeskie rzeczy, to fabrykat Hanki, a chociaż fabrykat ten wywarł wpływ doniosły w czeskiem odrodzeniu narodowym, wpływ nawet dobroczynny, w końcu wykazuje się, że, jak w każdym fałszu, tak i tu „miłe złego początki“, ale obliczywszy szkody i straty ostateczne, niedoboru w żaden sposób nie pokryjemy.

Lecz cóż ma fałszerstwo Hanki do czynienia z podaniem samem o Libuszy, zapisaniem przecież na początku jeszcze dwunastego wieku przez człowieka, bardzo pobożnego, bardzo poważnego i bardzo patriotycznego, świadomego całej przeszłości i wszystkich tradycji ojczystych? Rzeczywiście, na pozór bardzo daleko od Hanki do dziekana Koźmy: siedm wieków ich dzieli; nie czas jednak rozstrzyga; pobudki były u obu te same i wyniki też się nie różnią, chociaż formę nieco odmienną przybrały. Zresztą oni nawet i czasem nie tak od siebie odbiegli, skoro w pół drogi między nimi staje Hajek, kronikarz, facecyonista od obu nie gorszy, i tak poprzez wieki podają ci trzej sobie ręce, zgodni bracia w wynajdywaniu bajek, w wydawaniu ich za prawdę dziejową czy tradycyjną, w tumanieniu czytelników i historyków.

Cóż upoważnia nas do wytaczania już staremu Koźmie, kreślącemu z zapalem około roku 1120 dzieje narodowe, najcięższego, jaki historykowi można zrobić, zarzutu, że zmyślał całkiem dowolnie? Nikt bowiem podobnego zarzutu Koźmie dotąd nie czynił. Wiedziało się powszechnie, że lubi on swe wiadomości okraszać, retorycznie je rozszerzać, zapożyczać się w cytacye z ulubionych pisarzy średniowiecznych, z Boeciusza lub z Seduliusza, że półgębkiem omawia lub całkiem pomija rzeczy niewygodne czy nieprzyjemne dla Czecha albo dla księdza żonatego. Wiedzano np. oddawna, że jego opowiadania i szczegóły o złotym wieku czeskim, albo o czarnoksięskich sztuczkach sióstr Libuszy, to wyjątki tylko z autorów „klasycznych”, lecz nigdy dotąd nie zakwestyonowano jego dobrej wiary w spisywaniu samej tradycyi, rodzimej ludowej, np. o Libuszy czy o Przemysle; wobec późniejszych bajkopisarzy, szczególnie wobec Hajeka, uchodził Koźma, jak niegdyś nasz Kadłubek (Wincenty), za wzór rzetelnego spisowacza powieści ludowej, niby jak drugi Nestor, zbierający co się jeszcze z ust starców zebrać dało, i tylko po swojemu, po literacku, prawdziwą tradycyę rozwidniający czy upiększający. I było to takim pewnikiem, że świeżo, bo w r. 1902, w wydawnictwach znanego historyka-ekonomisty berlińskiego, Gustawa Schmollera, wydał profesor najmłodszego z uniwersytetów niemieckich (monasterskiego), prawnik, Hans Schreuer, obszerne badania nad dziejami czeskiego ustroju państwowego „za czasów bajecznych”. Praca to bardzo sumienna i ciekawa; wychodzi z arcsztucznego założenia, że ludowa tradycya, w szczegółach fantastyczna, o realne stosunki pierwotne w końcu opierać się musi, że więc te stosunki znakomicie odzwierciadlać może, że ich z poza splotów legendowych może lepiej dojrzeć potrafimy, niż z historycznych opowiadań kronikarzy, wystawiających dawne dzieje po swojemu, nie w świetle prawdziwym. Dla-

tego to wielkie znaczenie tradycyi z jej ideałami ludowemi. Więc objaśnia on każdy szczegół owej tradycyi Koźmowej; opiera na nim wywody socyologiczne i etnograficzne; objaśnia je paralelami z dziejów obcych instytucyi pierwotnych i śledzi przeobrażenia ustroju społecznego i państwowego, jakie ze szczegółów tradycyi, związanej z Krokiem, Libuszą i Przemysłem wywnioskować się dają; stara się nawet w bajce o państwie panińskim i zakusach Własty, dążącej do wiekuiestego ujarzżenia mężczyzn, owych do niczego nie przydatnych kozłów brodatych, wyłowić i wyłuszczyć prawdę dziejową, stosunki najpierwotniejsze. Polecamy tę pracę uwadze naszych badaczy na polu ustrojów pierwotnych, i byłaby ta praca nienaganna, rozświetlała-by walnie pierwotne dzieje słowiańskie, stopniowe wyłanianie się państwa centralnego z najluźniejszych związków familijnych, rodowych i plemiennych — gdyby założenie jej było słuszne. Lecz tak nie jest, i wyniki tej pracy to znowu tylko Fa'ta Morgana, bo p. Schreuer operuje z materyałem, nie tradycyjnym, jak dotąd zawsze mniemano, lecz zupełnie zmyślonym, z bajeczką uczoną, gabinetową, bynajmniej nie z prawdziwą ludową tradycją.

## II.

Cóż opowiada Koźma? W ten sam sposób, co on, zabierają się i nasz mistrz Wincenty, i ruski Nestor do dzieła. Ośmiu ludzi ocalało było niegdyś w korabiu Noego; siedmdziesięciu dwu budowało potem wieżę Babel i stąd pochodzą owe siedmdziesiąt dwa języki na świecie. To podstawa pojęć historycznych średniowiecznych; z niej to należało wyprowadzić Słowian za Dunaj albo Czechów na górę Rzip. Więc gdy się ludzkość rozrosła, a języki pomieszały i nie ludzi do kupy nie zwierano, rozpraszali się oni, gdzie kogo oczy niosły, i od nich to poszły dzisiejsze ludy i ich siedliska. Tak się i Czesi do swej ziemi dostali. Ponieważ zaś wiedziano, że istotnie od nazw wodzów i ich rodów nazywano całe plemiona i ludy, ponieważ np. wiedziano, że wielki lud Luciców (Słowian brandenburskich) nazywał się tak od rodu „Luta“, więc żadnego nie kosztowało mozolu dorobić i do nazwy Czechów praojca „Czecha“, od którego-by się lud tak nazywał. Skoroż był praojciec, heros-eponim ludu, więc nikt inny, tylko on musiał lud swój w sadyby od niego przezwane wprowadzić. Wskazała więc Koźmie logika średniowiecznego kronikarza, że to „Czech“ lud swój

do „Czech“ wprowadził i z góry wyniosłej, panującej nad urodzajną równiną, z owego Rzipu, całą okolicę objął w posiadanie. Oto związek dziejów czeskich; stworzyło fantazyę tę tylko nazwisko ludu samego — materyał czem bliższy i ponętniejszy, tem bardziej zwodniczy, dziś w oczach naszych już niemożliwy. Później nawet pokazywano miejsce, gdzie owego „Czecha“ pochowano.

I zaczęły się od „Czecha“ złote wieki czeskie: wspólne pożycie; nie wiedziano co moje, co twoje, i w takim guście Dorado, znane nam i Koźmie nie z tradycyi, nie z etno- i socyologii, lecz z Metamorfoz Owidyusza. Złote wieki zniszczyło złoto, cheiwość i gwałty, nastąpiły swary i sprzeczki, kończące się na razie jeszcze sądami polubownemi. Sędziowie pierwsi nabierali znaczenia, powagi, wpływów, od nich to poszli pierwsi naczelnicy rodów i plemion. Tak było więc i u Czechów; nazwy tych sędziów przechowały naturalnie najstarsze czeskie grody, od ludzi przezwane. I odszukał Koźma taki gród prastary, Krakowiec, prawdopodobnie pod wpływem niegdyś czeskiego, potem polskiego Krakowa, i tylko fałszywie, może umyślnie, aby nie wywoływać tego, zbyt rażącego, podobieństwa, K r o k i e m, zamiast K r a k i e m, takiego pierwszego, najbardziej wpływowego sędziego-patriarchę czeskiego przezwał. Jak o polskim Kraku, tak i o czeskim Kroku nie było jednak co do opowiadania — lud o nich nic nie wiedział, tak samo i w Kijowie o Kiju nic już sobie nie opowiadano: gołe nazwiska osobowe powydobywali z nazw miejscowych i Wincenty, i Koźma, i Nestor; żaden z nich nie miał odwagi późniejszych dynastów z tymi praojcami powiązać. Koźma zaopatrzył więc swego Kroka choć w córki — a nazwy ich powydobywał znowu z grodów starych, z Lubuszyna, z Tetina, z mogiły Kazinej, położonych w Czechach środkowych, w prastarej, od zdbików przezwanej ziemicy, w „Stibecznem“, lub niedaleko od niej i Pragi, i Wyszogrodu — Chrościenia. Oprócz starych grodów, posiadał kraj stare kopce czy mogiły, często bezimienne, czasem nazwane; mogiły ręką sypane, więc u nas „rękawkami“ nazywane; jeszcze w XVII wieku wiedziano w Krakowie o takich „rękawkach“ pod Krakowem — potem ich nazwa na zabawy ludowe, z nimi łączone, przeszła. Tak to ujrzał się Krok u Koźmy ojcem trzech córek, ale niegrzeczny Koźma, ksiądz dziekan żonaty, porobił z owych pańienek niewinnych najstraszniejsze czarownice, — dlaczego, później zobaczymy. Czarownice podzieliły się sprawami rządowemi; wykonywała władzę najmłodsza z nich, Lubusza, tu przynajmniej ksiądz dziekan kurtoazji wobec dam ustępstwo uczynił; tamte starsze sztukami „Kolchickiemi“ pomagały. Lecz rządy niewieście musiały się ludowi rychło uprzykrzyć; byłibyśmy oczekiwali, że pokazała się w końcu nieudolność, bo słabość ręki ko-

biecej w walce orężnej przeciw nieprzyjaciółom, ale Koźma tak w owym adwokackim ustroju pierwotnym zastrzegł, że wybrał jako ostateczny szkopuł dla rządów Libuszynych rozprawę sądową, nie mając jeszcze groźnych sąsiadów na zawołanie; a przytem i sztukę zmyślenia dopiero później, jak wszystko inne, ulepszone; Koźma znał jeszcze trochę wstydu, dopiero Hajek i Hanka bez niego się obcho-dzili.

Następuje więc u Koźmy owa scena sądowa, ze zwrotami dra-stycznymi, jakby u Boccaccia lub w Komedyi Lubomirskiego z XVII wieku. Lubusza, bo tak, nie Libusza, brzmiała u Czechów przed XIV wiekiem jej nazwa—oświadcza się wobec niewdzięczności poddanych z gotowością przyjęcia sobie męża, a nadania im pana, i każe scho-dzić się nazajutrz, aby wybrali pana, jej męża. W nocy czaruje wraz z siostrami; rano jeszcze raz, daremnie, przemawia do ich przekona-nia, wskazuje groźną pod panem przyszłość, opowiada im obie z Ezo-pa-Phaedra wyczytane bajki o żabach i bocianie, o gołębiach i sokole: a'le gdy głuchy na bajki lud obstaje przy żądaniu pana, ogłasza im dokąd się udać mają, do Stadic nad Bieliną, do Przemysła, orzącego tam na polu. Wysłańcy ruszają za przewodem jej konia i znachodzą owego rolnika; ten przystaje, woły znikają cudownym sposobem; Przemysł na żelaznym pługu spożywa chłopski posiłek, z prętu, wsta-wionego do ziemi, jedna różdżka zakwita i plon nosi, inne usychają. Wracają wszyscy razem, witani przez księżnę i jej dwór. Potem wieszczka-księżna (siostry, niepotrzebne od samego początku, Koźma pouśmiercał) każe jeszcze Pragę założyć i wieszczy, że zakwitną z niej cudowe do nieba różdżki (św. Waclaw i Wojciech—że ona po-ganka, zapomniał w ferworze swym Koźma), przytem etymologizuje ona bardzo niezręcznie, bo zamiast od prażenia, wypalania lasu, wy-wodzi ona nazwę Pragi od progu (prah po czesku), przed którym prze-cież i możni głowę skłaniają,—nie wysokie widocznie były dawne trzemy. Dalej niema co więcej Koźma o parze owej opowiadać; umie-rają jedno po drugim, a potem wylicza on następców Przemysło-wych, aż do Borzywoja, co chrzest z rąk Metodyusza roku 894 przy-jął i z którym się dzieje prawdziwe zaczynają. Wplata tylko dwie hi-storye, jedną w skromnych rozmiarach, wywołaną nazwą grodu, Dziewina, prawiącą o fraucymerze Lubuszy, całkiem do niezawisłości się rwącym, lecz przez młodzieńców niebawem poskromionym; co w Justynie o amazonkach wyczytał, zaaplikował do Czech. Druga hi-storya, bogatsza w szczegóły, z walk międzyszczepowych wyjęta i niezręcznie do wymyślonego umyślnie Ne lana (nie kłojącego, nie walczącego; kłóć, kolba mówiło się o harcach iycerskich) przysto-



sowana, mogiłą Turską, ostojedztwem Czechów, dębem Durzyńca i najzwyczajszymi szczegółami o czarownicach-strzygach wypełniona,

Dwieście lat po Koźmie inny kronikarz, w czeskich rymach, tak zwany Dalemil, te same „dzieje“ opowiadał, ale szczegółów dał więcej; mianowicie rozszerzył do rozmiarów potwornych ową walkę dziewczą, mordowanie młodzieży męskiej fortelami i podstępami; Przemysł, taki czarownik, jak nieboszczka małżonka, wie naprzód, kiedy na powodzenie w walce z Włastą i jej wojskiem liczyć może, więc trzyma się na uboczu, aż jego pora nadchodzi, i jak nieumotywowane były pierwotne zwycięstwa „ksieñ Lubuszynych“, tak nieumotywowana teraz ich klęska. W dwieście lat dalszych, u Hajeka, urosła cała historia do takich już rozmiarów, nasiąkła tyłu datami i nazwiskami, i szczegółami, że żaden romans prześcignąć by tego nie zdołał, i czerpaliż pełną dłonią Brentano i Grillparzer z tych baśni tysiąca i jednej nocy.

Oto podanie o Lubuszy, albo w nowszej formie czeskiego języka, Libuszy. Pominęliśmy kilka szczegółów, o chodakach Przemysłowych, które on z sobą zabrał i na pamiątkę wywyższenia swego, aby następcy w zbytnią dumę się nie wzbijali, w skarbcu na Wysogrodzie chować kazał, gdzie je jeszcze sam Koźma oglądał; albo o tem, jak już Koźma, albo jeszcze bardziej ów Dalemil, wyniosły szlachcic czeski, z przykrym faktem, że Przemysł był, bądź co bądź, chłopem prostym, pogodzić się starał. I cóż o tem wszystkim myśleć? Już w XVIII wieku zasługą Dobnera odrzucono „powagę“ Münchhausena-Hajeka; potym i Dalemilowi kredyt odjęto; nikt jednak nie wątpił dotąd, że Koźma szczerą prawdę mówi, to jest, to powtarza, co sam czeski lud niegdyś o początkach książąt swoich opowiadał, że to opowiadanie tylko retorycznie zabarwił, rozszerzył, ułożył. Tak dotąd traktowano Koźmę; jego Przemysł i Lubusza uchodzili za bajecznych czy historycznych, ale w każdy sposób za tradycyjnych przodków domu panującego, jak u nas Piast i Rzepica, tylko stanęli od razu wyżej, bo sami, nie ich potomkowie dopiero, panowali. Dziś natomiast możemy dowieść, że to wszystko wymyśl Koźmy; że nigdy sam naród czeski swoich panujących, ani od Przemysła ani od Lubuszy nie wywodził; że więc dynastia „Przemysłowiców“, albo „Przemysłidów“ najdowolniej tak nazwana; chociaż co na to podręczniki szkolne powiedzą?

## III.

Cóż zaszło takiego, że od razu Koźmie dla czasów pierwotnych wszelkiego kredytu odmawiamy? Dotąd uważaliśmy go za rówieśnika Galla naszego, i jak nikt nie podejrzewał podania o Piaście, praszczurze Mieszki, tak uchodzili i Przemysł-Lubusza za praszczurów Borzywoja i św. Waclawa i owej Dobrawy, co nam Mieszkę ochrzciła. U nas mniemano powszechnie, że dopiero mistrz Wincenty własną fantazyą nadrabiał i z Krakowa i Wandala—Wisły, Kraków i Wandę wymyślał. Otóż pojawiło się u Czechów nowe źródło historyczne i zepchnęło od razu Koźmę z poziomu Galla naszego na poziom Wincentego, to znaczy: wierny skarbnik podań narodowych okazał się od razu fałszerzem na skalę większą niż Wincenty! A co najlepsze przytem, nowe to źródło bynajmniej nie nowe: wydał je już gorący patriota-jezuita czeski, Balbin, w XVII wieku, wydawali po nim inni, aż do dni naszych.

Lecz zaszła pomyłka: Balbin jeszcze słusznie uważał to źródło, żywot św. Ludmiły i św. Waclawa, za rzecz dziesiątego wieku, starszą od kroniki Koźmowej, o lat stotrzydzieści niemal; lecz winą Dobnera, a szególniej ojca sławistyki, Dobrowskiego, zepchnięto prastare to źródło aż do wieku XIV, uznano za późną kompilację, przywłaszczającą sobie najniesłuszniej pozory wielkiej starożytności, i chociaż je w zbiorach źródeł drukowano, pomijano najciekawszą i najważniejszą i najdawniejszą rzecz czeską, jako niezasługującą wcale na wiarę; nie cytował jej żaden historyk, nikt nie uwzględniał; perłę odrzucano na śmietnik.

Z ukrycia wydobył ją świeżo młody historyk czeski, dr Pekarz; on udowodnił napowrót, że Balbin miał słusność, że ta legenda, to rzeczywiście dzieło dziesiątego wieku, z którego Koźma korzystał — nie odwrotnie!

Alte to byłyby rzeczy zajmujące jedynie Czechów i historyzofię czeską i nie usprawiedliwiałoby się jeszcze ich wytaczanie i przed szersze forum polskiej publiczności.

Lecz rzecz jest tak pouczająca; pokazuje, jak powstają bogate na pozór i niby prastare tradycje tak naocznie; dotyczy pierwocin słowiańskich; patrona naszego (katedra na Wawelu jest kościołem św. Waclawa); w konsekwencyach swoich staje się tak donośną nawet dla naszej własnej tradycyi piastowskiej, że nie sposób jej pominąć mil-

zeniem, tem bardziej, skoro dr Pekarz właśnie tej kwestyi prawie nie tknął wcale, o którą nam tu chodzi wyłącznie.

Już sam autor owej legendy nam nie obcy, przecież to rodzony brat owej Dąbrowy, co nam Mieszkę ochrzcił! Bolesław Srogi, zabójca św. Waclawa, brata własnego, syna, który mu się w noc zabójstwa (jak opowiadano później, niesłusznie), urodził, za ekspiacę częściową zbrodni Kaimowej do klasztoru przeznaczył i mnich „Christianus“, bo takie przybrał w zakonie, u benedyktynów ratysbońskich, nazwisko, bawiąc w kraju, za podniętą św. Wojciecha, biskupa praskiego, żywot św. Waclawa i babki, Ludmiły, wypisał, niezadowolony tem, co inni, obcy, o Waclawie pisali, czerpiąc od świadków naczynych jeszcze i z tradycyi rodzinnej; dziełko poświęca Chrystyan biskupowi praskiemu, Wojciechowi, z prośbą, aby choć w kościołach dyecezyi praskiej je czytano i przepisywano. Prośbie jego stało się zadosyć; były i są dotąd odpisy pracy jego w Czechach; jeden, bardzo stary dostał się wcześniej i do Niemiec.

Napisał zaś mnich Chrystyan żywot obu świętych około roku 993 i jeżeli kto, to on właśnie, sam z rodziny panującej pochodzący, z tradycją obeznany, winien za świadka „koronnego“ uchodzić, za najwiarogodniejszego i najpewniejszego. I wysuwa się czeskie źródło, jak po wczesnych stykach z zachodem z góry wnosić przynależało, na czoło słowiańskich: teraz już nie Koźma, społeczny Gallowi i ostatecznej redakcyi tak zwanego Nestora w XII wieku, ale sam Bolesławowic z końca X wieku rozpoczyna dziejopisarstwo słowiańskie: tylko żywoty św. Cyryla i św. Metodyusza są u Słowian jeszcze starsze, ale one trzymają się ściślej przedmiotu, nie wybiegają poza wązkie jego granice. Bolesławowic Chrystyan, sam Czech, nie może się ustrzedz pokusy, aby oprócz żywota Ludmiły i „Więclawa“ — bo taką jest pierwotna, czeska i polska forma tej nazwy; „Waclaw“, tylko późniejsza, czeska, naszą dawną wyrugowała — nie wtrącić czegoś więcej o Morawie i o Świętopełku, i apostołach słowiańskich, o Pradze i o Borzywoju. Obszerność, z jaką on leżące całkiem poza obrębem żywotów dzieje Morawskiego kościoła opowiada, pozwala wnioskować, że i tradycjom czeskim nie poskąpił miejsca, że zapisuje wszystko może ważniejsze, co o nich wiedziano.

Cóż więc wiedział syn „srogiego“ księcia, co to pierwszy gwałtem i zbrodniami, przebiegle i mądrze, całe Czechy zjednoczył i zebrał, o przeszłości „dynastyi“ i kraju?

Opowiedziawszy o Świętopełku morawskim, o kłątwie, jaką król i kraj na siebie ściągnęli i o skutkach jej oplakanych, o spustoszeniu doszczętnem i wzgardzie jakich Morawy do dni naszych (około

990 roku) ulegają, o pomście boskiej nad tymi służebnikami Beliala, przechodzi on do Czechów:

„Klęskami moru dotknięci nieszczęśni owi Słowianie Czesi, mieszkający na północy, bez prawa, bez księżęcia czy pana, bez miasta, jako dzikie zwierzęta, tułając się w rozsypce czas długi, ogolocili się z płodów ziemnych i dóbr wszelkich. Udali się więc do jakiejś wieszczki, wymagając od niej ducha rady i odpowiedzi wieszczbiarskiej. Otrzymaawszy ją, budują miasto, zowią je Pragą. Potem ustanawiają sobie za rządcę swoich włości, znalazłszy bardzo dowcipnego i mądrego męża, znającego wybornie zajęcia rolnicze, wedle opowiedzi owej wieszczki, Przemysła, dawszy mu za żonę ową wzmiankowaną wieszczkę-dziewicę. I tak wreszcie od klęski i wielorakiego moru wyzwoleni, ustanowili sobie wodzem czy księżciem Borzywoja, sami służąc jak i dawniej bożyszczom biesowym i szalejąc w niecnym ofiarach. On więc, księżę Borzywoj, w kwiecie wieku i kształtów młodzieńczych, zaszedł raz w sprawie swojej i ludu sobie poleconego do księcia swego lub króla „Światopełka“ i t. d.— następuje tradycyjne opowiadanie o ochrzczeniu jego przez Metodyusza, gdyż Światopełk poganina Borzywoja do stołu wraz z chrześcianami nie przypuścił, lecz kazał mu z innymi poganami, jak psu, przed stołem na ziemi usiąść.

Oto i wszystko, cò prawnuk tego Borzywoja, w sto lat po owym wypadku, o początkach narodu swego opowiadać umiał i tylko to jest całą tradycją i prawdą, i tylko tyle wiedział pierwotnie i Koźma, korzystając z tego źródła wyłącznie. Pierwotna tradycya nie wiedziała o żadnym Czechu, Kroku ani o Lubuszy; wiedziała, że naród nie znał nigdy życia osiadłego; że wskutek tego narażony był na wszelakie katastrofy, głównie głodowe; że gdy sam sobie radzić nie umiał, głosu wieszczki usłuchał—wieszczka była dziewicą, służąc bogu, przez bóstwo opętana, nazwiska jej, jak na podanie przystoi, niewiedziano,— i stała sadybę, Pragę, sobie zbudował, niby z koczowniczego życia do osiadłego przeszedł. W dalszem wykonaniu programu owej wieszczki porzucił lud czeski ów tryb bezprawny, bez pana i zwierzchności, bez ładu i składu i wybrał najdoświadczonego rolnika, Przemysła, na rządcę swoich włości, kazał mu ową wieszczkę pojąć za żonę, niby w nagrodę za wieszczbę, a raczej ponieważ bożek służbę swą zmieniał, wieszczka po pewnych latach kapłaństwo innym zdawała, sama za mąż wychodziła. Takie ustalenie nowych norm społecznych, życie osiadłe i przemysłne, rolnicze, zabezpieczyło wreszcie byt owych pogan, którzy, dojrzaawszy w owej szkole przemysłowej, już nie na rządcę pól tylko Borzywoja obrali, lecz sami się jego opiece i władzy polecili, jako panu najwyzszemu w kraju.

Tyle tylko opowiadał ów książę-zakonnik o przeszłości swego narodu. Cóż z tego zrobił Koźma? Jak Wincentemu nie wystarczała krótka względnie informacja Galla i on ją etymologiami i baśniami o Wandzie i Kraku i Lestkach rozpychał, podobnie nie mógł się rozkochany również w anegdotach i podaniach Justynowych Koźma zadowolili kilku rządzkami Chrystyana—należało je koniecznie rozszerzyć, chcąc Czechom nie omierzić, lecz upiększyć i wystawić okazałej ich przeszłość i początki. Do tego zaś nadawała się wszędzie i zawsze jedna i ta sama droga.

Nestor, chcąc coś powiedzieć o początkach Kijowa, o których nikt nie już nie wiedział, sięgnął do topografii, z nazw wzgórz i rzeczek kijowskich, ze wzgórków Szczekownicy i Choriwnicy, z rzeczki, Łybedi (łabędziej), porobił bez skrupułu najmniejszego rodzeństwo, braci Szczeka i Choriwa i siostrę Łybed', co zbudowali gródek i na część najstarszego brata, Kija. Kijo'em go przewali. Wedle tej samej recepty nieomyłnej sfabrykował Koźma przeszłość czeską, wywiódłszy ją w kilku kondygnacyach. Na samym dole umieścił owego praojca, Czecha; on-to w bezludny dotąd kraj swoich wprowadził; drugą kondygnacyę zaludnił istotami, nazwanemi od najstarszych, już na pół zapomnianych, grodów i kopców. Język sam dawał mu nieomyłne wskazówki: polski Kraków i czeski Krakowiec dały mu Kraka Krokka, a Lubuszyn i Tetin, od imion żeńskich, Lubusza i Teta, urobione, dały mu jego córki. Tu wplótł teraz opowieść Chrystyana, tylko, niestety, co w opowieści Chrystyanowej ma sens i znaczenie, traci je u niego. Chrystyan mówił najśluszniej o wieszczce nie nazwanej, której się naród trapiiony klęskami nieurodzaju, głodu, moru radzić musiał; ona wieszczyla, naród do wieszczby się stosował i Pragę wybudował. Koźma tymczasem złapał się we własne sidła, bo najniepotrzebniej z wieszczki zrobił córkę i następczynię Krocka; musimy przecież pytać, jeżeli jego Lubusza, nie prosząc nikogo o pozwolenie czy radę, Lubuszyn wystawiła, czyżby ona taksamo i Pragi nie potrafiła wystawić? Tu uczuł się Koźma skrzepowanym wyraźną Chrystyana wzmianką o wieszczbie i Pradze i musiał wprowadzić cały ten niepotrzebny dla siebie aparat—niezbędny u Chrystyana, bo wieszczka sama, nie księżna, nie panująca, nie może przecież grodów budować, może tylko ich budowę polecać i wieszczyć: widać jeszcze w słowach jego ambaras, jak się kłamca sam wkiła. Że Lubuszy tę rolę przeznaczył, łatwo zrozumieć; nazwisko „ciotki“ (Tetka, Tetia) na panującą się nie nadawało, Lubusza brzmiała poprawniej, ceremonialniej. Skoro zaś z niej zrobił panującą, resztę musiał dokomponować, a nie było to trudne. Żeby baba długo rządzić miała—któż to widział? Więc hajże na Soplicę

z długimi włosami i wymyślił niezadowolnienie ludu, wybuchające w owej scenie sądowej. Lecz znowu popełnił grubą niekonsekwencyę; u Chrystyana wieszczka wieszcy o mężu-rolniku, którego rozporządzeniom naród swe włości poddać winien, jeśli na przyszłość coraz nowym katastrofom nie ma ulegać; u Koźmy bróździ coraz rola panującej wróźbiarki; raz mówi ona do ludu, wybierzcie sobie panującego, potem przypomina sobie, że to ona ma go dopiero wywróżyć i sprasza lud na drugi dzień na ten akt, przygotowując się do niego z siostrami—czarownicami przez noc całą. Bardzo słusznie dodaje Koźma, że nie wiemy, co ona przez tę noc za czary sprawiała. Ta doniosłość roli, o której pierwotne podanie, jedynie prawdziwe, nic nie wiedziało, zawikłała Koźmę w sprzeczności;—czujemy coraz, jak zbyteczną jest rola panującej, która niczego rozkazać ani przeprowadzić nie umie, która jedynie jako wieszczka może być na swoim miejscu. Również nie przeszło Chrystyanowi przez myśl z Przemysła zrobić pana, wojewodę czy wielkorządcę Czech—zanadto dobrze znał Chrystyan dzieje Czech, by taka myśl w nim mogła powstać.

Bo jakież były dotąd te dzieje czeskie? Koźma, w półtora wieku później piszący, mógł o prawdzie dziejowej zapomnieć; znając od półtora wieku książąt, panujących niepodzielnie nad całemi Czechami, przeniósł mimowolnie, jak Gall i mistrz Wincenty, i Długosz, późniejsze stosunki na czasy pierwotne; u Koźmy już Borzywoj był panem całych Czech, byli takimi jego poprzednicy i sam Przemysł, a przed nimi Lubusza. Chrystyan wiedział doskonale, że ta powszechna władza książęca była świeżym stosunkowo nabytkiem, że to dopiero jego ojciec Czechy jako tako połączył, że dawniej takich książąt, panujących nad całemi Czechami, wcale jeszcze nie bywało, ale nie leżało to w interesie własnej dynastyi wznawiać owe dawne dzieje, wypominać wyraźnie pierwotną niezawisłość zupełną od właściwych, praskich Czechów, owych Łęczan, Dudlebów, Charwatów i jak się rozmaite „czeskie“ plemiona, niezawisłe, walczące stale pomiędzy sobą, nazywały. Chrystyan nie miał nawet odwagi połączyć Borzywoja, swego Pradziada, z Przemysłem: wiedział on przecież, że taksamo, a może i z lepszym prawem, mogliby się do owego pokrewieństwa przyznawać i inni, np. Sławnikowice lub panowie Pszowscy (Mielniccy później), z których rodu prababka Ludwika pochodziła; on wiedział przecież najlepiej, że lud czeski mógł Borzywoja z Pragi wypędzić i do własnej ojczyzny Strojmira z Niemiec, wygnańca, powołać; on wiedział, że jeszcze w niedalekim Kurzymie książę grodu i ziemicy dzieluy opór wnukowi Borzywoja stawiał, broniąc

swej niepodległości. Prawdzie holdując, powiedział on tylko, że naród, przez przemyślnego Przemysła, przez jego znawstwo rolnictwa od katastrof głodowych wybawiony, na drogę jakiegoś dobrobytu wprowadzony, później i księcia sobie wybrał, mianowicie Borzywoja, bo lud obierał książąt, oni się jemu nie rodzili. Koźma dopiero, rozumując logicznie, pomyślał sobie, czytając Chrystyana: chyba ten Borzywoj będzie potomkiem Przemyslowym, a ponieważ chronologia fatalnieby szwankowała (skok od potopu do roku 894, do chrztu Borzywojowego, był nadto wielki), oddalić Przemysława kilku pokoleniami od Borzywoja; nie zrobił Borzywoja, co by było najprostszym, synem Przemysła, lecz wymyślił między oboma szereg panujących, o których jednak, jako „o próżniakach i pasibrzuchach“, nie powiedzieć nie umiał, skoro ich sam wymyślił, z nikąd o nich niczego nie wiedział. Tu się jednak znowu fatalnie wymysły jego wydały.

Już od roku 805 bowiem rozprawiają państwowe źródła niemieckie, choć nieraz w znacznych odstępach czasu, o Czechach; toczą się przecież walki wojsk Karolowych i Ludwikowych, wyprawy margrabiów i również w żelazo zakutych, wojowniczych biskupów. I nieposzlakowane źródła niemieckie, kroniki państwowe, w klaszterach francuskich czy lotaryńskich spisywane, zadają kłam wszystkim wymysłom Koźmowym. On marzy o jakimś księciu, panującym nad Czechami, tymczasem np. roku 845 przyjmuje w Ratysbonie czterem księżąt czeskich chrzest i nigdy, przez cały dziewiąty wiek nie spotykają się Niemcy z żadnym księciem czeskim, zawsze tylko z większą liczbą książąt czeskich; tak np. w roku 872 porażeni zostali Czesi zupełnie, pod książętami swymi, Świętosławem, Mojsławem, Spycimierzem, Hermanem (niemieckie nazwiska pojawiają się wcześniej) i Witosławem, lecz w spisach Koźmy nie pojawia się żadne z tych nazwisk. Jeszcze w roku 895 mówią źródła niemieckie wyraźnie o „wszystkich książętach czeskich“, nie wiedzą o żadnej „monarchii“, o wyniku późniejszego rozwoju, rozwoju X wieku.

Chrystyan nie miał więc żadnej przyczyny sięgać wstecz poza panowanie Borzywoja; rządząca dynastia wywodziła się od tego, który się, może pierwszy z rzędu licznych, równie uprawnionych książąt, wyróżniać zaczął; może właśnie owa klęska roku 872, pochłaniająca książąt kilku, ułatwiła mu później zjednoczenie choć kilku dzielnic. Przemysł nie jest więc protoplastą owej dynastii i Borzywoj, to nie jego potomek; Przemysł to tylko przemyślny, jak nasz Lestko łściwy (chytry i przebiegły), chroniący naród od głodu przez racjonalną gospodarkę, jak ten od napadów obcych.

Późniejsi dopiero czytelnicy i kopiści „legandy“ Chrystyanowej, wiedzący z Koźmy o Lubuszy, o Przemyśle, jako protoplaście rodu książęcego, nie mogli się pogodzić z brzmieniem prostych słów Chrystyanowych, więc naprzykład dopisywali do wzmianki o „wieszczce“ jej imię „Lubusza“, i co najważniejsza, zmieniali zdanie o Przemyśle i Borzywoju; oni-to połączyli obu związkiem krwi, pisząc teraz tak: „Czesi wybawieni od klęsk, od czasów wzmiankowanego księcia (Przemysła), z potomstwa jego wybierali sobie władców czy wodzów, służąc pogańskim bożkom itd., aż nakoniec władza nad tem państwem przeszła na jednego, nazwiskiem Borzywoja, p o c h o d z ą c e g o z t y c h s a m y c h k s i ą ż ą t“. Lecz ów najstarszy odpis, przechowany w Niemczech, owych dodatków i zmian ustrzegł się najzupełniej i on to staje „koronnym“ świadkiem przeciw kombinacyom Koźmowym i później, od niego dopiero wyszłej, „tradycyi“.

Po takiej niezbędnej poprawce stają dopiero źródła słowiańskie najdawniejsze, czeskie, polskie i ruskie na jednej linii. Na Rusi wtargnięcie obcych, Normanów, wygluzowało wszystko z pamięci i tradycyi narodowej: wobec potężnych postaci Olega wieszczego, walcznego Igora, mściwej Olgi, awanturniczego Świętopelka, nie miał naród co opowiadać o takich książątkach plemiennych, jakimi byli ów Mał drzewiański i Kij polski.

W Polsce i u Czechów nie zagłuszył żaden obcy najazd wspomnień przeszłości, więc kolatały się wzmianki o prastarych czasach, kiedy to wieszcz lub znaki z niebos powoływały Przemysłów, i Piaстів, i Lestków do roli dziejowej, od pluga i zagrody. I za rolę, jaką chłopek polski i czeski odtąd miał dźwigać przez wieki, ostawało jedyną jego pociechą wspomnienie, żeć to on niegdyś w Przemyśle i Piaście, to jest, że jego tylko praca około roli dźwignęła porządek istniejący, że różnic w narodzie niegdyś nie było, że „starych“ wybierano, że nie rodzili się oni książętami, lecz jak Borzywoja lub Siemowita, powoływał ich naród, który, niezadowolony, i innych powołać mógł, jak np. Strojmira przeciw Borzywojowi.



## IV.

Tu jednak nasuwa się groźna wątpliwość, co do prawdziwości tradycyi polskiej Piastowskiej. Sam broniłem jej prawdziwości; byłem przekonany, że słowa Galla wyrażają istotną „tradycję”, odwieczną, o pochodzeniu dynastyi, że spis ksiąg od Mieszki wstecz Siemomyśla, Lestka i Siemowita do Piasta i Rzepicy, jest autentyczny. Przyznaję jednak teraz, że wiara moja zupełnie się rozchwiała; obawiam się, czy i tu nie zaszła jakaś zmiana, czy i to nie złudzenie raczej jakiejś Fata Morgana, niż żywotna, istotna tradycya polska. Tradycya czeska bowiem w ręce rolnika Przemysła składa ocalenie narodu od klęsk i katastrof głodowych, czyż i tradycya polska nie twierdziła czegoś podobnego i o Piaście, to jest, że jak ów się Przemysławem okazał naprawdę, tak ten, wedle imienia swego, przepiastował i wypiastował swój naród; gdy zdawało się, że miało mu zabraknąć napoju i jada, cudem niby jego zasoby się powiększały. Więc Piast nie od piasty czy tłuczyka przezwany, od kształtu i ciała, lecz jak Przemysł, od powołania i zadania swego; on — nie syn jego dopiero, był tem dla swego ludu, czem Przemysł dla czeskiego: lecz w takim razie genealogię Piastowiców, jak i Przemysłowiców, jako bajeczną, usunąć należy; tak zwani Przemysłowice zaczynają się dopiero od Borzywoja, tak zwani Piastowice dopiero od Mieszki; łączenie Borzywoja i Mieszki z jakimiś poprzednikami, z Przemysłem w końcu i Piastem, byłoby więc dowolnem, nie tradycyjnem; byłoby tylko kombinacją kronikarzy, Koźmy i Galla (tak zwanego źródła jego polskiego), nie podaniem ludowem. I rzeczywiście, analogie innych ludów słowiańskich, szczególnie zachodnich, których dzieje już od końca ósmego wieku śledzimy, pouczają nas, że taki Piast — chłopiec kruszwicki w piątej generacyi od Mieszki, taki Przemysł w byle jakim stopniu od Borzywoja, jest wymysłem późnym: naród czy lud, opowiadał o Przemysłach i Piastach, to jest o *a l e g o r y c h* raczej niż o *s o b a c h* — niema też po nich nigdzie żadnego śladu!! po Lubuszy przynajmniej Lubuszyn pokazywano, po Przemysle (prócz chodaków w skarbcu książęcym) i po Piaście najlżejszej wzmianki historycznej nie dochowano; niema grodu Przemysła, nawet ani Piastowa, ani mogiły, czy kopca po nich. Powtarzam więc: czescy, Przemysławowice nie pochodzą od Przemysława; ani lud czeski, ani dynastya jego nie twierdzili tego nigdy; wymyślił to dopiero Koźma oko-

ło roku 1120 (jak późno zjawia się nazwa Przemysła w rodzie książęcym, natomiast tylko Bolesławów, Wraclawów, Jaromirów itd., albo Ulrychów i innych). Polscy „Piastowcy“, również nie pochodzą od żadnego Piasta; wymyślono to dopiero w XI lub XII wieku; prosty lud czeski i polski zato opowiadał sobie o Przemysłach i Piastach może nawet o Popielach (jak się opowiada o czasach „za króla Cwiczka i brata jego Gwoźdźcia“; „przy carze Grochu, gdy gruzdy z pieńkami wojowali“—mówi chłop rosyjski); wciągnęli tych „królów“ do dziejów dopiero kronikarze, gdy całość po raz pierwszy składali. Przytem pozwolono sobie w szlacheckiej Polsce poprawkę tradycyi: nie Piasta, ale syna Piastowego dopiero, który zasługami osobistemi makułę rodową ścierał, wysunięto na czoło, uspokoiono sumienie szlacheckie, trapione zmorą chłopskiego pochodzenia swych książąt.

Dzieje czeskie i polskie zaczynają się dopiero od Borzywoja i Mieszki; byli oni książętami rodowymi, jacy bywali od niepamiętnych czasów w Słowiańszczyźnie zachodniej; u Obotrytów i Weletów (olbrzymów)—Lucieów od ósmego wieku, u Morawian od dziewiątego wieku (od Mojmira), imiennie ich wyliczają źródła niemieckie; oni obaj wylaniają się pierwsi nad resztą książąt: Borzywoj zaczyna, Mieszka kończy może ów proces zbierania drobnych, luźnych wrogich plemion czeskich czy polskich w większą całość. Obok tych postaci realnych, historycznych i dziejów oficjalnych, drzemiała sobie w wyobraźni ludowej historia kądzielna o Przemysłach i Piastach, o wróżbach i cudach, o zakładaniu grodów i ustalaniu form życiowych; okruchy tej kądzielnej historii wplótł Chrystyan w legendę, a Gall w kronikę, chociaż rodzina tak zwanych Piastów sama, jak i „Przemysłowcy“, nigdy nazwiska Piasta nie przyjęła, a nawet z Siemowitami i Siemomysłami spotykamy się u niej dopiero późno: górują za to Mieszki od kuzynów północnych, Bolesławy i Władysławy od czeskiej, Kazimierze od pomorskiej koligacyi przezywani, imiona historyczne, oficjalne, nie kądzielne. Baśń kądzielną połączyli z historią realną dopiero kronikarze sami, Koźma i Gall, gdy chcieli udawać, że wiedzą coś o dawnych czasach; lecz połączenie to jest nienaturalne, sztuczne, dowolne—niczego nie poucza; prawdę ze źródeł niemieckich współczesnych wyczytujemy.

Dlaczegoż kładziemy taki nacisk na dowolność, niehistoryczność, nieludowość tego, co Koźma, Wincenty i Gall opowiadają? Czynimy to wobec powtarzających się bez końca zakusów u nas i u obcych wydobywania z tych plotek kronikarskich jakiegoś materiału mitycznego, czy historycznego. Nietylko nasi i czescy uczeni, i niemieccy w coraz nowy sposób żuźle te w jakieś złoto przetapiają. Niedawno (1899 r.), wydał rektor uniwersytetu praskiego (niemiec-

kiego), Bachmann, obszerne, bardzo uczone, bardzo gruntowne, dzieło o historii czeskiej, opanował całą literaturę olbrzymią, powydawał nawet studia do niej drobniejsze, pomocnicze, naprzykład o Koźmie, —i cóż widzimy? Oto i on traktuje naprzykład Piasta-Lestka całkiem na seryo, razem z Przemysłem i Samonem, owym kupcem frankońskim, co wielkie państwo zachodniosłowiańskie pierwszy założył, opędzając się skutecznie obu wrogom: Awarom i Frankom. Ów Frank nazywał się Samonem: p. Bachmann i inni uczeni uznali w tem nasze słowo s a m, że niby s a m, samowładnie pierwszy zaponował—i przysiągłem sobie odtąd, ś. p. ks. Dębołęckiego nigdy więcej nie napastować o Babilon, co on Babim Ionem wyłożył. Znaną baśń o podziale Polski między dwunastu synów Lestkowych uważa Bachmann za prawdę; to odgłos polski, twierdzi on, historii Samonowej, który między synów z dwunastu swych żon państwo podzielił i tak osłabił że rychło całkiem zanikło. Nawet podania Wincentego o powinowactwie naszych „Popielów“ z Juliuszem Cezarem i o wyposażeniu jego siostry Bawaryą i „Serbią“, przekuwa Bachmann, bystry, przeczorny historyk, na prawdziwą monetę. Szkoda, że nie powołuje się przytem na wyraźne świadectwo Wincentego, jakoby nasz Lublin i Lubus od Julii i Juliusza się przeżywały; przecież jedno tak samo prawda, jak i drugie—niestety my wiemy, jak wszystkie te bajki, ta Fata Morgana się tworzy. Kronikarz ma ambicję swego ludu; chce dowieść, żeśmy przecież nie sroce z pod ogona wypadli; mierzyliśmy się niegdyś z Gallami, z Aleksandrem Wielkim, z Juliuszem Cezarem... a dowody? dwieście niemal lat przed Wincentym już Tietmar, biskup i kronikarz, miasta słowiańskie od Cezara wywodził—byliż przecież Rzymianie nad Elbą, ergo i miasta zakładali, naprzykład Juliu (Wołyń), na Pomorzu od Juliusza nazwany; jeszcze dawniej Franków i Sasów z konia trojańskiego wywodzono. Nigdy się na to nie zgodzimy, aby z takich baśni szkolarskich wylawiano okruchy jakiejś prawdy, choćby podaniowej.

Ogółem w dawnych dziejach pierwotnych rozwiewa się po dokładniejszym zbadaniu wiele w Fata Morgana, co dotąd lub do niedawna za pewnik uważano. Jeszcze Szujski odtwarzał z Długosza mitologię polską—nie będziemyż więc Słowackiemu zarzucali, że Lelum Polelum (okrzyki pijanych, jak d a n a z m o j a d a n a itp., używane też w formie I l e l i, P o l e l i) w dobrej wierze w koncepcyje heroiczne przekształcił. Dziś wiemy, że owo bóstwo Długoszowe, ów Jowisz „Jesse“, „Łado“, „Mars“ itp., to Fata Morgana, to przyspiewy do pieśni świątecznych, i że próżno on się silił wypełnić lukę, pozostawioną przez Wincentego u nas, przez Koźmę u Czechów. Przed krytyką pierzechają owe uludy.

A jest ich dosyć i było do niedawna jeszcze więcej. Czego za dawnej romantyki, za Zaleskiego Bohdana, ba nawet dziś za „Młodej Polski“ nie wyprawiają z „wieszczym Bojanem“—Zaleski sam „Bojaniczem“ się nazywał, ani przypuszczając, że mongolem się chrzcił, bo ten Bojan to tytuł chański, i mówią u nas stale o bajanie awarskim, zamiast o bojanie. Więc mogą nasi poeci mongolszczyźnie dać pokój, zostawmy go Kijowowi i drużynie książęcej czernihowskiej.

Czegoż pouczają ostatecznie nasze wywody? Wiedzieliśmy wszyscy, że „podanie“ albo „bajka“ rośnie jak lawina, z drobnych początków oblepia się coraz nowymi dodatkami. Niktby historii czeskiej z „Libussy“ Grillparzera albo Brentana nie badał, ależ to przynajmniej poeci— a „poetów dwadzieścia, dwudziestu malarzy i myśliwych dwudziestu, razem kopa łgarzy“ wedle dawnego przysłowia. Ależ ci poeci czerpali z Hajeka, historyka, lecz i to łgarz na wielką skalę a nie lepsi i ci, z których on znowu czerpał. Tak zwany Dalemil skromny gdy o Przemyśle prawi, doda, na przykład, że wieś *St a d n i c a*, gdzie orał, nazwana od tego, iż przystanął tam biały rumak Lubuszy, wiodący deputację do pana i męża i za to rozzuchwalił się strasznie, gdy o wojnie dziewczęcej, o odwadze i przebiegłości Własty prawić zaczął, stracił wszelką miarę łgarstwa. To się dawno wiedziało, teraz pokazało się, że i Koźma, o dwa wieki wcześniejszy, łgarz jeszcze tęższy, z naszym Wincentym o rekord ubiegać się może; ba, podejrzewamy teraz skromną tradycję u Galla, jej wiązanie Mieszki z Piastem zakwestyonowaliśmy na seryo. Bo nauczył nas Chrystyan, jak prawdziwa tradycja, nie podkraszona, nie naciągnięta, wygląda co za straszny odskok między mądrym, trzeźwym podaniem u Chrystyana, a fantastyką Grillparzerową, lecz mimo to przeskoku żadnego nie ma. Malutki, skromniutki wątek Chrystyanowy spadł lawiną olbrzymią na niwy nasze, lecz w słońcu krytycznym roztajał śnieg—niesłychaną metamorfozą słów skłisał do rozmiarów muchy.

I jeszcze czegoś innego uczy podanie Chrystyana, bo dowodzi nadzwyczaj krótkiej pamięci u ludu. Nie zadziwi to tego, kto zważy, że odwieczne kopce i wały lud okopami szwedzkimi przeżywa, z wydarzeniami stosunkowo świeżemi je łączy. Otóż Czesi już w dziesiątym wieku nic a nic o tem nie pomnieli, że do Czech, nie tak strasznie dawno przecież, z innych stron przywędrowali; Chrystyanowi się zdaje, że Czesi tubylcy odwieczni. Tylko w pierwszym zdaniu dzieła jego przeziiera coś innego; zaczyna on bowiem wzmianką o Morawii, ziemi słowiańskiej, jakoby w dawnych czasach za doktora Augustyna chrześcijaństwo była przyjęła—czytał on chyba w klasztorze ratysbońskim żywot świętego Ambrożego, przypisany

Augustynowi, gdzie mowa o tem, że królową Markomanów na Chrześcijaństwo Ambroży nawrócił; w rękopisie mogło stać Marahanorum (Morawian) zamiast Markomanów, gdyż Markomanowie rzeczywiście niegdyś w Morawii siedzieli. Zawodzi więc zupełnie pamięć ludowa; nie zawodzi za to język; Czesi i Polacy naprzykład już w dziesiątym wieku nic a nic nie wiedzieli o owych Awarach i ich Bojanie, a mimo to po ciemieżcach tych do dzisiejszego dnia pozostała u nich nazwa o l b r z y m ó w, dawniej o b r z y m ó w to jest o b r z y n ó w; u Czechów jeszcze dokładniej, o b r o d Awara rzeczony. Zapomnieliśmy natomiast o nazwie K u n ó w (Hunnów), tylko w nazwach miejscowości Kunowa itp., ocalałej — obok Pieczyniegów, Gałędzi, Prusów, Jaćwieży itp.

Lecz jeszcze czegoś osobliwszego poucza ta historia kądzielna: stanowi ona najcenniejszy przyczynek do psychologii narodowej; wykazuje rażącą sprzeczność z historią kądzielną szczepów germańskich. Wojownicze i zaborcze ideały germańskie występują w owych potomkach boskich, w owych walkach i podstępach, wypełniających tradycje germańskie, gockie, langobardzkie i inne: coraz u nich mowa o wędrowności, napadach, zapasach — inny świat spokojny i łagodny, osiadły i rolniczy, widnieje w tradycyi słowiańskiej. Mają ją tylko Czesi i Polacy; ruską przerwała inwazyja normandzka, spadkobierczyni gockiej czy langobardzkiej, z jej ideałami walk i zaborów. A utzymała się ta tradycya słowiańska u ludu — wbrew nowym ideałom, postaciom, poglądom, stającym na jego czele, wbrew Mieszkom i Bolesławom Srogim, porywającym cichą, senną, potulną Słowiańszczyznę z uśpienia i letargu na nowe nieodzowne tory, jeśli nie miała uleść ta Słowiańszczyzna, jak niegdyś Awarom od wschodu, tak teraz Frankom i Sasom, od zachodu, — lecz wbrew czasom zmienionym unosiła się fantazyja ludów słowiańskich ku złotym wiekom, kiedy to Przemysł skiby w Stadnicach wywraçał, a Piast pod Kruszwicą głodnych i spragnionych poił i karmił.

Nie przemawiały więc do tej fantazyi wcale zmienione z gruntu okoliczności. „Wiciędz“ czy „woj“, w „szłomie“ (helmie) z kosztownymi, srebrnymi lub nawet złotymi „bugami“ na ramionach, z krótką „sudlicą“, czy długą, włokącą się zanim, „włócznią“ w ręku, ze „szczytem“ zawieszonym, z mieczem przypasanym, ba nawet w kolczugę zbrojny — odziany i żywiony przez księcia, coraz liczniejszy a więc i uciążliwszy ludowi, z którego danin książę swych wojów utrzymywał, wywoływał chyba reakcyę w przeciwnym kierunku, zwracał fantazyę do czasów, kiedy najstarszego nad plemieniem, od sochy, od jarzma wołów roboczych powoływano, aby radził i sądził, i nie dał sobie lud wydrzeć z pamięci, że on to, nie przypadek urodzenia, „książąt“

stanowił; jeszcze Chrystyan wiedział, że Borzywoja „obrano“, że nie miał on żadnych praw dziedzicznych; i Siemowit tak samo, wbrew prawom dziedzicznym „Popielów“, na czoło plemienia stawał. Ale w grozie nowego ustroju, wyęzającego siły narodowe do celów dalekich, dziejowych, zagłuchła powoli pamięć narodowa i ocalały jej strzępy w kilku opowiadaniach, które kronikarze, wnosząc do dziejów, od niepamięci ostatecznej ocalili, chociaż je właśnie wnoszeniem do dziejów typu całkiem odmiennego zupełnie spaczyli.

Na sam koniec jednak należy się pewne usprawiedliwienie Koźmy, któregośmy dotąd ta bez ceremonii fałszerzem, zmyślaczem przyzywali: przyznał się przecież on sam do zmyślenia; wszystko, co on przed Borzywojem i rokiem 894 opowiada, pozostawia wyraźnie uznaniu czytelnika, czy ten to za prawdę, czy za bajkę, „facta an ficta“, uważać zamierza, ciągnie więc wyraźną granicę między owemi baśniami a następującą historią. Nie czynią tego u nas ani Gall, ani Wincenty, splatają najściślej i jedno, i drugie; cóż mówić o późniejszych, o Dalemilu, Hajeku i Hance—fałszerzach ex officio, zapalonych! Dodajmyż zarazem, że Koźma dla całego X wieku niemal żadnych wiadomości obfitszych nie posiadał; od chrztu Borzywojowego przeskakuje on niemal od razu do zabójstwa św. Wacława, a nawet o Bolesławie Srogim ma strasznie ogólnikowe pojęcie i na ciekawe, rozstrzygające, stosunki czesko-polskie pada u niego nadzwyczaj mało światła. Ta znaczna próżnia co do X wieku powinna była z góry uprzedzić czytelnika co do wartości podań jeszcze dawniejszych; nie było ich, więc należało je stworzyć: nadawały się do tego znakomicie, prócz samej nazwy szczepu, prastare nazwy grodowe około Pragi; te nazwy razem z ową lakoniczną wzmianką u Chrystyana o wieszczce i Przemysle, oto cały zasób, z którego Koźma ukuł pierwotne dzieje czeskie, dzieje jego wymysłu, nie podania ludowego!

## V.

Nie wolno się krytykowi zadowolić samem niszczeniem przesądów i bajek, rozwiewaniem Faty Morgany; i on jak Pankracy winien pracować, „by w dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży — inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest“. Jeżeli więc dzieła Chrystyana używaliśmy jako taranu, aby rozbić wiarogodność Koźmy, a nawet Galla, co do początków

„Przemysłowiców“ i „Piastowiców“ mniemanych, to podda nam ono również, dla czasów tak odległych, dla dziesiątego wieku czeskiego, a więc i polskiego, szereg najcenniejszych szczegółów i wskazówek, pogłębi nam, uprzystępní, i uwidoczni zarazem tło, na którym odbijają się świetlane postaci Dobrawy i Świętosławy, kobiet - bohaterek, z krwi i serca, nie upiory Lubuszy i Wandy, rycerze śpízowi, Mieszki i Bolesławy, pchający na nowe tory świat polsko - czeski, nie łyozani i łapciaści Przemysli i Piaści.

Prawda, nawet dzieło Chrystyana, chociaż tak wczesne, nie wolne sobie od domieszki legendowej, jaki j sama treść jego wymagała, — ależ które średniowieczne dzieło legend się ustrzegło? oto i rówieśnicy Chrystyana, starszy, Widukind korwejski, i młodszy, Tietmar merzeburski, niemi swe dzieła zagęszczają — Tietmar nawet słowiańskie podania o wielkiej potędze i naglem zniknięciu na zawsze Świętopełka wielkomorawskiego poprzemował.

Lecz nawet jawne rysy legendowe Chrystyana bardzo ciekawe, bardzo pouczające. Oto jeden, źródło albo wzór może podania o „Wandzie“ i „Miemcu“.

Księciu praskiemu przyszło się zmierzyć z księciem kurzym-  
skim—jeden z owych zapomnianych zresztą epizodów procesu zbiera-  
rania, jednoczenia ziemi czeskiej. I nie mógł Waclaw, praski woje-  
woda i książę, pokonać przeciwnika, bo ludny był gród Kurzym-  
ski i mężny jego wojewoda. Więc, aby przelewu krwi koniec uczynić,  
miał rozstrzygnąć pojedynek między księciem praskim a kurzym-  
skim, jakby między sobie całkiem równymi, kto nadal panem wszystkich  
będzie. Lecz gdy kurzym-  
ski przeciw Waclawowi stanął, olsnął od  
widoku krzyża, jaśniejącego cudownie nad czołem Waclawowem,  
więc się ukorzył, broń rzucił, do nóg przypadł—bo jakżeż można tego  
zwyciężyć, komu Bóg Sam do pomocy stawa? I podniósł go Waclaw,  
i ucałował go, i użyczył mu dozgonnego władania nad Kurzymem.  
Wedle tej to legendy skalkowała może fantazyja polskiego ludu po-  
danie, które Wincenty na jakąś Wandę i jakiegoś Niemca najnie-  
zręczniej przeniósł, bo nie wiąże się porządnie jego opowiadanie, bo  
krzyż, sprawiający ów cud, niczem u Wincentego nie wyrażo-  
ny, wiszący w powietrzu niby, musiał Wincenty odrzucić skoro o po-  
ganach opowiada, i straciło opowiadanie na jasności. Nie umie Win-  
centy powiedzieć, czem ta Wanda na przeciwników oddziałała, że do  
ostatecznej rozprawy wcale nie przyszło, i samobójstwa Niemca nie  
potrafił on umotywwać. Podanie Wincentego zrozumiemy tyl-  
ko na tle chrześcijańskim, takim, jakie legenda Waclawowa przy-  
puszcza.

Innych legend Waclawowych, krążących niemal wyłącznie około zrzucania oków i wydostawania się na swobodę upragnioną—zobaczymy niebawem, dlaczego nie myślimy przytaczać; zbyt one jednostajne. Lecz wspomnijmy o dawniejszych, o podaniach Borzywojowych. Mniej ciekawe pierwsze, dlaczego to Borzywoj, dziad Waclawów, chrześcijaństwo przyjął; skalkowane ono wedle podań starszych i obcych o księżęciu słowieńskim (korutańskim), Ingonie, co służył chrześcian u stołu, a ich panów-pogan, jak psy za stołem sadzał, uważając za niegodnych obcowania z chrześcianami, tem ich do przyjęcia chrztu nakłaniał. O wiele ciekawsze podanie o Borzywoju i Strojmirze, bo widzimy naocznie, jak to u Czechów, a tak samo było i u Polaków, wiece narodowe rozstrzygało, książąt samo zsaadzało i obierało, i jak to na na takim wiecu jednomyślności się domagano, a jeżeli jej nie osiągnano namową i prośbą, to gwałtem i przemocą ją przeprowadzano. Bo oto opowiada podanie:

Borzywoj, ochrzczony z drużyną, wrócił z Moraw do Pragi; lecz odstępstwem od wiary przodków naród przeciw sobie oburzył i wiece skazało go na zsadzenie i wygnanie, albo i na śmierć—niebezpieczeństwu uszedł książę, schroniwszy się do Moraw na dwór Świętopelków. Wiece natychmiast, bo przeminęły na zawsze, od dawna, owe dawniejsze ustroje bez książąt, wysłało posłów do nowego księcia czeskiego, Strojmira, którego ród widocznie w walkach wewnętrznych pokonany i wypędzony do Niemiec, był wyszedł; tu między Niemcami wychowany, zapomniał jednak Strojmir po czesku. O tem nie wiedziano w Pradze i dopiero sprowadziwszy Strojmira sami jego wyborcy oskarżali się nawzajem, że mają księcia, nierozumiejącego ich mowy, gdy on sam dla nich „niemym.“ Skorzystali z tego pozostali liczni zwolennicy Borzywojowi; zaczęli kumom podszeptować niechęć przeciw przywódcę, srożyć się groźbami przeciw niemu, aż należało znowu rzecz na wiece przedłożyć, uchwalić, co teraz czynić wypada, jak dalej pokierować losami księstwa. Stronnictwo Strojmirowe, chcąc na wiecu zgnieść przeciwników na zawsze, jęło się fortelu: przybyli na wiece z ukrytymi broniąmi (na wiece tylko z kijem w rękę przychodzono) i umówili się, że skoro się stronnicy Borzywojowi na ich zdanie nie zgodzą, na hasło „Przemieńmyż się“, rzucą się z bronią w rękę na bezbronnych i pozabijają ich. O fortelu jednak dowiedzieli się Borzywojowcy i uczynili toż samo, poprzywdziewali kołczugi,—zaopatrzyli się w miecze. Więc gdy po próżnych namowach Strojmirowiec podniósł okrzyk: nuże nasi, przemieńmyż się, przekłóli go Borzywojowcy—dobrześ bratku zawołał, natychmiast się przemienisz,—i rzucili się na tamtych, zmusili ich do ucieczki i samego Strojmira wygнали z Czech, po-



czem do Moraw po Borzywoja posłali i na stolcu książęcym ponownie osadzili.

Za Borzywoja właśnie upada jednak znaczenie wieca; wzmagają się widocznie potęgą wielkksiążęca, a z nią i znaczenie ściślejszej rady książęcej, przybocznej niby, złożonej z najznakomitszych w kraju. Ta radzi np. po śmierci synów Borzywojowych, aby babka Ludmiła wychowała niedorosłych wnuków, Waclawa i Bolesława, i wzbudza przeto zazdrość i nienawiść matki, Drogomiry, przeciw Ludmile, wybuchającą w końcu w spisek na jej życie. Ludmilę kazała Drogomira zabić nie dla wiary, lecz dla panowania — ona pochodziła wprawdzie ze stron pogańskich, od Stodoran (w późniejszej Brandenburgii), lecz sama była chrześcianką naturalnie; księżęta czescy i polscy zenił się nieraz między odrzańskimi i hawelskimi Słowianami i trzecia żona Chrobrego, Emnilda, była córką takiego księcia słowiańskiego, Dobromira. Późniejsza legenda dopiero z Drogomiry poganę uczyniła, co niemożliwe, skoroż i teść, i cała rodzina mężowa chrześcianami od dawna byli. Lecz po zabójstwie Ludmiły objawiły się rychło niesnaski między zabójcami samymi, Tuną (nazwisko niemieckie) i Gomonem i Drogomirą; ona ich poróżniła i wygnała, lecz kraju nie uspokoiła; rozdziela się więc rada książęca i spokój dopiero Waclaw przywrócił, wygnawszy matkę, chciwą rządów — lecz po uspokojeniu wszystkich mogła ona wrócić do trzemu swego Praskiego, ale nie do rządów jednak dawnych, gwałtownych.

Chociaż łaska Boża nad Waclawem widomie spoczywała, nie znalazł on u ludu, a mianowicie u rady, miru: już matka i rada trwożyli się jego zakusami zakonnymi, zatapianiem się w księgach, postami i modłami; Czechy wymagały innego księcia, takiego, jakim się potem brat-morderca, Bolesław Srogi, rzeczywiście okazał. Rysów usposobienia tego nie myślimy przytaczać, znajdziemy je w byle jakiej legendzie, np. w żywocie bł. Kingi, chodzenie boso po śniegu, kamieniach, aż stopy krwią ociekają, noszenie włosiennicy pod ubiorem książęcym, przygotowanie opłatków i wina do mszy św. własnoręcznie z użętych kłosów i zgniecionych gron i t. d. Jesteśmy jednak w wieku dziesiątym, więc odnajdą się inne znamienne rysy: książę liczy się przecież z wymogami ogółu, więc musi brać udział w biesiadach, i nieraz głowę zbytnim trunkiem rozmarzy, więc potem zerwie się w nocy, pobiegnie do kościoła, księdza szatą swą obdarzy, aby Chrystusa zań o ten grzech przebłagał. Ale biesiady te nieraz były bardzo podejrzone, tchnęły pogaństwem, kalali się ludzie potrawami i napojami, przeznaczonemi na oflary pogańskie, więc uchylał się od nich książę, pod byle jakim pozorem. Również uchylał się od sądów, gdy wyrok śmierci zapadał, pomny słów Chrystusowych: nie

sądźcie, aby was nie sądzono; chociaż wyroków samych obalać nie mógł, powyrwcał przynajmniej szubienice i poburzył więzienia; nie oszczędził też żadnej świątynicy pogańskiej. Na wykroczenia i odstępstwa od wiary i jej przepisów ostro nastawał, i jeżeli inaczej nie mógł odstraszyć, zapraszał przestępców do stołu swego i przy stole okładał ich batami! (baty Chrobrego w łaźni, rodzinna to więc tradycja). W końcu zamierzał spuścić władzę młodszemu bratu a samemu w Rzymie w mniuchy się postrzydz—budowa kościoła świętemu Witowi praskiego opóźniła, a bratobójstwo uprzędziło wykonanie zamiaru.

I otoczenie dostroił on do ideałów własnych. Głównym jego powiernikiem był Podziwin, rzadca jego dworu, który sobie podwładnych, nie tak „dworności“, jak chrześcijaństwa uczył, że aż do kuchcików każdy niemal psalmy śpiewać, do mszy służyć, a nawet psalmy pisywać umiał. Lecz gdy Podziwinowi pana zabito, zawrzała w nim mściwa natura rycerska—był przecież żołnierzem i nie przeniósł pokusy: wróciwszy pokryjomu z Niemiec, gdzie się przed zabójcą Bolesławem ukrywał, pomścił śmierć Waclawową choć nad jednym z głównych jej winowajców. Ubrojony wtargnął znienacka do domu jego, a właśnie w łaźni on leżał. Przywitał go ten słowami „zdrów bądź bracie, zdrów“, jak się u nas witają; lecz Podziwin zawołał: „zdrowie moje Bóg opatrzy, twojego zdrowia ja cię tu zaraz zbawię i zginiesz w piekle.“ I wyjął miecz, zabił go, a sam uciekł; lecz wysłańcy Bolesława wytropili go w lesie blizkim i natychmiast go powieszono. Trzy lata wisiał trup bez wszelkiej skazy i zbieleły mu zupełnie włosy i urosły paznogie i broda; w końcu kazał go Bolesław tamże pogrzebać, lecz później, gdy nad grobem się modlono i ofiary składano, przeniesiono ciało jego na cmentarz świętowiecki i pogrzebano tak, że tylko mur dzielił zwłoki Świętego Waclawa i sługi jego wiernego.

Inne szczegóły wprowadzają nas zato całkiem w osobliwszy tryb życia dziesiątego wieku, późniejszym czasem już zupełnie niezrozumiały. I tak np. chrzest dorosłych. W kościele zachodnim bardzo wczesnie rozpowszechniał się chrzest niemowlętek, ale pierwotny kościół, w który wstępowali dorośli poganie, kapłani pogańscy nawet, takiego chrztu nie znał; nim swego chrztu, znaku zbawienia, udzielał, wymagał ten kościół dłuższego, stopniowego przygotowania kandydatów—katechumenów, przez kilka lat; później ten termin aż na kilka tygodni skrócono i tak przygotowanych, „skruszonych“, gromadnie w pewne święta, na Wielkanoc i Zielone Świątki, chrzczono. Dla nauki katechumenów powstała cała odrośl literatury patrystycznej, najsłynniejsze z niej katechezy Cyryla Jerozolimitańskiego, które u nas biskup Uchański z cerkiewnego tłumaczenia na polskie (oko-

ło 1560 roku) przekładał—rękopis zachował się w bibliotece unwersytetu warszawskiego. Już w XII wieku zaginęły ostatnie ślady owego osobliwszego chrztu dorosłych; w kazaniach, które książdz Maciej z Prochowa roku 1407 przepisał, czytamy np. słowa: dzisiaj niedziela zowie się przewodnią, w licznych księgach łacińskich zowie się białą... ponieważ dorosli w d o m e l n i (nie rozumiem tego wyrazu, który może katechumenów tłumaczy) chrzcili się w pewne czasy. Wcześniej małe, np. ośmioletnie, dzieci do chrztu takiego (w post wcale nie chrzczono dla tego) przygotowywano, ucząc je na początku postu pacierza i Credo, a potem, po jednym lub dwu tygodniach ich z tego egzaminując. Musieliśmy to przydługie objaśnienie wypisać, aby czytelnik zrozumiał o co chodzi.

Opowiada bowiem Chrystyan, że jeżeli w takie „scrutinia“ (egzamina wiary) przed chrztem powszechnym brakło katechumenów młodzieży, książę Waclaw, żeby kościołowi i chwale Bożej na niczem nie zbywało, „posyłał na targ i kazał dla siebie kupować chłopców, ilekolwiek ich na sprzedaż wystawiono, i w kościele stawiał. Otóż i świadectwo jeszcze czegoś innego: o targu niewolników w chrześcijańskich już Czechach—wiemy z innych, nawet arabskich źródeł, że właśnie Praga była słynnym targiem ludzkim, że żydzi głównie handel ten prowadzili, a że Słowian niewolnicy się rekrutowali, nie darmoż przecież w językach germańskich i romańskich jedno słowo Słowianina i niewolnika (Sklave, éslave) oznaczało. Nie zadziwimy się też, dla czego św. Waclawa właśnie niewolnicy najczęściej i najskuteczniej wzywali: w stronach czeskich zaprzędanie w kajdany i niewolę najogólniejsem bywało nieszczęściem. I tak poświadcza legenda, od niechcenia, ubocznie, kwitnący stan handlu ludźmi, nie tylko prastary chrzest dorosłych.

Ten Kościół dziesiątego wieku nie nakładał jeszcze na księży obowiązku celibatu, więc jest mowa w legendzie o synie księżym; nie wykluczał laików od kielicha—Ludmiła przyjmuje podczas mszy św. ciało i krew Chrystusową; książę i duchownych obdarowywa niewolnikami i t. d. A jak Kościół, tak i państwo zachowują starożytne rysy. Ktoby powątpiewał, czy Mieszko polski ubierał i odziewał swoją drużynę, o czem przecież źródło arabskie wyraźnie wspomina, dowie się z legendy, że (starszy) jego rówieśnik w Czechach, „wojsko swoje nie tylko w najlepszą broń, ale i w ubiory opatrywał“—późniejsze średniowiecze nie podobnego nie znało, rycerz sam się uzbrajał; pierwotna gospodarka książęca natomiast drużynie stałej, załozde grodowej i t. d. wszystkiego dostarczała sama, później dopiero wojów ziemią, z której się żywili i służyli, uposażano.

Co jednak najbardziej zastanawia: stanowisko „Przemysłowica,” zakonnika łacińskiego, wobec obrządku słowiańskiego. I u nas wre jeszcze spór między historykami, co do doniosłości i znaczenia dzieła braci soluńskich, Cyryla i Metodego, na ziemi polskiej. Jedni przeczą wszystkiemu; drudzy, od Maciejowskiego począwszy, aż do zgasłego niedawno, przedwcześnie, historyka młodego, budzącego najwyższe oczekiwania, Gumpłowicza, przeceniają chyba rozszerzenie liturgii słowiańskiej w Polsce; Gumpłowicz żywotność jej jeszcze w XI i XII wieku przyznawał, konflikt św. Stanisława i Bolesława Śmiałego i o nią zaczepiał; akademik petersburski, profesor Sobolewskij, najdawniejszemu pomnikowi cerkiewszczyzny na ziemi polskiej, dla Polaków przepisanie przeznaczał. W dziele Chrystyana, poświęconem twardemu Rzymianinowi, biskupowi wtedy praskiemu, Wojciechowi świętemu, uderza nieklamana sympatya ku wielkiemu dziełu Metodego i Cyryla. Chrystyan właściwie o niem nie potrzebował ani wspominać, w żywocie Ludmiły i Waclawa, w katastrofie na tetyńskim grodzie i przed kościołem Bolesławskim, obrządek ten najmniejszej nie odegrał roli; żywoty, pisane przez obcych, np. żywot pióra Gumbolda, zachowują też o tem najgłębsze milczenie. Dzieło Chrystyana mogło i powinno się zaczynać cd opowiadania o Borzywoju, poprzedzają je jednak cztery ustępy, w treść wcale bogate, o Morawii i Świętopelku, o Cyrylu i Metodym, o liturgii słowiańskiej, o jej celu i jej zwycięskiej obronie przeciw niechętnym. Wedle Chrystyana, Cyryl, Grek rodem, w literaturze greckiej jak łacińskiej biegły, gdy Moravian Chrystusowi pozyskał, wynalazł dla nich za łaską bożą osobny alfabet i przełożył Stary i Nowy zakon i wiele innych rzeczy z greki i łaciny na mowę słowiańską i ustanowił prócz tego, aby msze i hory kanoniczne po kościołach w ludowym języku rozbrzmiewały, „co się aż do dziś w stronach słowiańskich od bardzo wielu zachowuje, najbardziej w Bułgarii, i stąd pozyskuje się wiele dusz Chrystusowi”. W Rzymie badają Cyryla, jakim prawem, wbrew przepisom Kanonicznym, to ustanowił; — on się w końcu tłómaczy, że nie byłby tego uczynił, gdyby inną jaką drogą mógł trafić do ludu twardego karku i największej niewiedzy — ale na tę Bóg go naprowadził i nią-to Jemu wielu pozyskałem. I Rzym potwierdził prawomocnie, aby w owych stronach msze i hory kanoniczne w słowiańskim języku śpiewano. W dalszym ciągu znika wprawdzie zupełnie kwestya językowa; konflikt i katastrofa między Metodym a Świętopelkiem, nie na jej tle się rozgrywają; nie wspomina Chrystyan, że i św. Waclaw cerkiewszczyzny się wyuczył, że jego i babki żywoty i w Czechach po cerkiewnemu spisano. Już sama wybitna rola, przeznaczona właśnie Metodemu, świadczy o tem, jak się książkę —

zakonnik na tę liturgię zapatrywał, choćby o jej wprowadzeniu ponownem nie marzył wcale—a on nie był jedyny między „Przemysłowicami“, co takie żywił uczucia.

O nadzwyczajnej prostocie owych czasów, o dzikiej srogości ludzi świadczą również wymownie owe karty; nie zadowalają się księżę czy rada zabójstwem Ludmiły czy Waclawa, rzucają się na sługi i przyjaciół, zabijają wszystkich, grabią; za winę jednego pociągają cały ród, niby solidarnie, do straszego obrachunku. I chrześcijaństwo ich niemniej pierwotne, zabobonne: wszędzie upatrują cuda, zjawiska, światła i głosy nadprzyrodzone; gdy sława cudotwórcy, Waclawa, się rozchodzi, nie zawaha się własna siostra jego, Przybysława (ciotka Dobrawy Mieszkowej), z księdzem i synem jego, odkopać zwłoki w nocy, za poradą pustelnika, żyjącego przy kościele św. Wita, (gdzie święty był pochowany): wszyscy czterej ciało wydobyli, ów syn wcale bez winnej czci czeluść oderwał, okryli ją płaszczem, resztę ciała znowu zagrzebali, a relikwią ową siebie i swoich obdzielili, lecz słuszną ich za takie świętokradztwo spotkała kara niebios, bo wszyscy potem nagle pومیerali. Takie i tym podobne szczegóły, malujące wiek i ludzi, zawiera ten żywot: jak ciekawe oburzenie matki i rady, że księża młodego Waclawa na swój tryb zwodzą, zakonnikami go chcą uczynić, jak mu wszelką naukę utrudniają, jak on się kryć musi przed nimi z książką, potajemnie pod suknią noszoną, i z nauczycielem, nocą wpuszczanym, wypuszczanym nad rankiem.

## VI.

Z upiorami nie postaciami tradycyi, z Lubuszą i Wandą, z fabrykatem Koźmowym i Wincentowym, łatwo się uporać krytykowi, lecz poeta ich sobie nie pozwoli wydrzeć, obezłudnić niby dawne wieki; i nic nie mamy przeciwko temu, jeśli własnym kreacyom sztuczne owe nazwiska, z którymi dawnośmy się obyli, poeta ponadaje, jeśli alegoryę własną treścią wypełni: obok Balladyny i Lilli Wenedy i Lubuszom i Wandom nie wypowiemy gościny; nie zawadzi tylko przypomnieć poetom, że to liczmany, nie moneta prawdziwa. Obok tych mar czeskiej i polskiej Faty Morgany znają jednak nasze dzieje dawne, bohaterki o energii niezłomnej, o przejściach nadzwyczajnych, godne stanąć obok bohaterek frankońskich i bizantyńskich, sław-

wnych i świetnych, ciekawych nadzwyczaj, lecz obok najwdzięczniejszych postaci przechodzi wzrok naszych poetów obojętnie, wpatrzony w owe próchna, świecące blaskiem pożyczanym. Ależ nietylko poeci, nawet historycy nasi jakby zahipnotyzowani; jak dziś Francuzi na wschód, patrzą oni w tych czasach wyłącznie na zachód, nie zwracając uwagi na innych sąsiadów, jakby na Sasach i Frankach świat się kończył.

I tak utarło się u nas przekonanie, jakby stosunki Polski z narodami nordyjskimi chyba z Wazami dopiero się zaczęły; gdy Polaków i Szwedów łączymy, o Jagielonce i zamęściu szwedzkim i fatalnych jego skutkach myślimy, o Gustawie Adolffie albo o Karolu XII wspominamy. O dawniejszych stykach chyba genealog rozprawia, śledząc odrodzenie Piastowiców i koligacje ich zamorskie; ba, nawet młody historyk, traktujący świeżo, sumiennie i zręcznie, dzieje Słowiańszczyzny nadodrzańskiej, związku jej nordyjskie jakby pominął. Tak dalece nie dbamy o te styki, że gdy świeżo inny historyk notatkę średniowieczną wy dobył, którą prawdopodobnie mistrz Wincenty autorowi jej udzielił,—o tem, że Polacy jedną z rzek swoich Wieprzem a drugą „naramiennikiem“ nazywają—on na Narew zgadywał, chociaż Wincenty o B u g u naturalnie mówił, bo ta nordyjska nazwa naramienników i w Polsce dawnej była powszechna.

Otóż powtarzam, że nadto głucho u nas, u poetów jak u historyków, o stykach polskich z cudownym, groźnym, ponurym światem wikingów i konungów północnych, duńskich i szwedzkich, ze skaldami i ich poezją, oryginalną, prastarą a przecież więcej do Młodej Polski zbliżoną (choć ta może o tem i nie wie), niż poezya Homera i Horacego, Kochanowskiego i Krasickiego. Posiadamy w naszej literaturze liczne dramaty i romanse, od „Popiela i Piasta“ Romanowskiego, od „Ostatniego Księcia Arkony“ aż do najnowszych, do „Jeńców“ p. Rydla i do romansu Ludwika Stasiaka „Brandenburg, kraina słowiańskich mogił“—lecz wszędzie i zawsze ci Polacy i Połabianie tylko z Niemcami stykają się i walczą. W historyi było inaczej; owszem, za mało ci Słowianie o Niemcach myśleli, zapatrzeni w inne strony i przez to zagładę własną ułatwili. Już Słowacki i Krasinski, poeci, lepiej, instynktownie jakoś, tę przeszłość odczuwali i nordyjskie żywioły, i w Gwinonie, i w Wandzie, wplatali. Nam koniecznie raz już ich śladami puścić się wypada. Czyż może być up. ciekawsza postać, niż owa siostra Chrobrego, córka Mieszki, Ś w i ę t o s ł a w a w domu rodzicielskim, pod innemi nazwami u skaldów i w kronikach duńskich znana, matka największego bohatera północnego, Knuda-Kanuta Wielkiego? Nie wiedzieliśmy do niedawna jej

nazwiska polskiego; znaleźmy tylko Estrydę i Storradę (dumną), ale oto znalazła się księga duńskiego klasztoru benedyktyńskiego (Nowy Monaster), gdzie między dobrodziejami klasztornymi wspomniana i „Świętosława, siostra naszego króla Kanuta„: słowiańskie to imię, przypuszczam, pochodzi od matki Polki, wedle znanego trybu, nietylko średniowiecznego, powtarzania u dzieci imion rodzicielskich; przypuszczenie moje nabiera prawdopodobieństwa i dlatego, że w pierwotnej familii piastowskiej z imieniem tem faktycznie się spotykamy, Świętosławą nazywała się i córka Kazimierza „Odnowiciela“, więc imienia „Piastowie“ używali. I nazywam śmiało Świętosławą córkę Mieszki i Dobrawy, siostrę Chrobrego, i gdybym nie był wstrzemięźliwy i ostrożny, mógłbym na tem nazwisku jeszcze cały koncert historyczny wygrać.

Na innem miejscu wyłożyłem obszernie przygody „córki Niedźwiedziowej“, bo Mieszki nazwisko niedźwiedzia oznacza — od tego pochodzi przecież słowo mieszkać; pierwotnie oznaczające tylko marudzenie, ociążałe zwlekanie się, jak mieszka — niedźwiedz, później dopiero przebywanie, obywatel (obywatel), mieszkanie. Nie myślę tu tych przygód powtarzać; Świętosława była po kolei żoną króla szwedzkiego, poganina, ale nie przemogła, jak matka, uporu pogańskiego; potem została żoną króla duńskiego, gdy się inna, o wiele świetniejsza partya, nie z jej winy rozchwiała; wreszcie musiała przed prześladowaniem męża, mszczącego może dawne urazy, uchodzić, aż po jego śmierci syn Kanut ją do Danii wrócił, gdzie i umarła. Jak na księżniczkę dziesiątego wieku, karyera to dosyć urozmaicona — a jakie w niej szczegóły ciekawe, zwroty niespodziewane, co za ironia losu! Wdzięczniejszej postaci dla romansu historycznego ani wymyślić, ją bym nad wszystkich Faraonów i Apostatów i Canos obrał. I czy może być ciekawsza galerya niewiast, niż ciotki i matki, siostry i żony Chrobrego? I przebiegłe one, i niesforne, mybyśmy powiedzieli, wyemancypowane, gdybyśmy tym terminem nie fałszowali stosunków pierwotnych, kiedy to kobieta nie stała tak nisko pod mężem jak później: u Finów kobiet i mężczyzn nic nie różniło, u nas wpada w oczy rola wieszczek i częste imiona żeńskie w najdawniejszych grodach naszych. Te kobiety przeprowadzają chrzest Polski i Węgier, trzęsą krajem, lud sobie i później o nich dziwy opowiada, i one wykazują tę nadzwyczajną, wybuchową energię pierwotnych Przemysłowców i Piastowców, która się później coraz rzadziej i między mężczyznami przejawia. A od nich odbija owa spokojna i słodka żona Bolesława, co gniewy i uniesienia skorego do zemsty i kary małżonka uśmierza i łagodzi, winnych tłumaczy i ukrywa i tyl-

ko sposobność upatruje, aby ich do łaski przywrócić—i odgrywa ona rolę wręcz przeciwną od tej, którą epika ludowa ruska żonie Włodzimierza Kijowskiego przeznaczła.

Lecz od osób przejdźmy do ludów. My dziś zapomnieli zupełnie, że stosunki Słowiańszczyzny pomorskiej i dalszej do ludów północnych rozmaite przechodziły koleje. I tak Duńczycy występują w roli zaczepnej, osiadają łącznie na całym Bałtyku, od miasta i portu handlowego Reric, aż do pruskiej Samii, zajmują dogodnie miejsca na wybrzeżu i trudnią się w nich albo handlem albo rozbojem i wymuszają daniny na okolicznych Słowianach, wojują i z Polakami; przypuszczono nawet, że pierwszy w historii zapisany występ Mieszki, niefortunny, bo zakończony klęską, zabiciem brata Mieszkowego, i zdarciem łupów obfitych (około roku 962, z Wichmannem), do podobnych walk się odnosi.

Wskażmyż kilka takich siedlisk duńskich, które w dziejach nadbałtyckich i polskich grubo zaważyły. Oto pierwszy R e r i c, o którym historyk Karola Wielkiego wyraźnie zaznacza, że to duńskie nazwisko—tymczasem mimo owego ostrzeżenia zrobili historycy z tego jakąś nazwę słowiańską, obotryckich niby Rarogów! Reric nie tylko od Duńczyków nazwane było, ale i zamieszkane. przynajmniej król duński, gdy je mimo bogatych opłat, jakie skarb duński z owego grodu nadmorskiego pobierał, zburzył, kupców stamtąd do Szlezwigu przesiedlił.

Inna taka stacya duńska — to A r k o n a na Ruji (Rügen). Wszyscy słyszeliśmy o tej słynnej Arkonie, której Świętowit na czoło całego bałtyckiego pogaństwa się wysunął, a kapłan jego większe niż król rujski posiadał znaczenie, bo on to kierował wróżbami, dostarczającami od wierzchowca i od rogu Świętowitowego. Gdy świątynia Swarozycy w Radgoszczy (Meklenburgii) upadła, a biskup niemiecki wierzchowca Swarozycowego w tryumfie wprowadził, Świętowit arkoński głównym bóstwem, najsilniejszym, najskuteczniejszym, został i ofiarowali mu nawet chrześcijańscy królowie (Swein duński między innymi!) i nie mógł z nim spółzawodniczyć nawet Trzygłów szczyteński (Stettin, Szczytno, nie Szczecin, jak je od dawna, fałszywie nazywamy; dla niego wybierano nawet, wedle wzoru świętopietrza, czynsz na Ruji od każdej głowy). Otóż przybytek tego Świętowita, na owym cyplu rujskim, nosi duńskie nazwisko, nie jedyne zresztą na Ruji słowiańskiej. Czego o tej Arkonie nie pisano; możnaby długą chryję na paręset stron z tego urobić—powiem tylko, że nawet zasłużony dyrektor teatru czeskiego w Pradze ostatnimi czasy bardzo rzetelnie się mozolił, aby nazwę tę (jak i Rugii samej) z słowiańskiego



wyłożyć języka i rzecz, jak myślał, ostatecznie ubił. Wszystko to Fata Morgana; jak Rezie jest i Arkona (drażniąca tylko ucho słowiańskie, niemożliwa poprostu) nazwą duńską.

Trzeci taki punkt, najsłynniejszy, najgęstszym splotem najciekawszych tradycyi mistycznie niemal ukryty (co za skarb dla pisarstwa), to *Julin-Jomsburg-Wineta* nad Oderą, koło, a raczej nad dzisiejszym Wołyniem (Wollin na Pomorzu). Nazwa Wineta, grająca taką rolę w „tradycyi“ (uczonej, i to tylko Fata Morgana), powstała z mylnego odczytania w rękopisie, ale gród sam bajką bynajmniej nie był. Miały go pochłonać fale bałtyckie, jak tyle innych bajecznych grodów podwodnych, na Świtezi i t. d., ale już kronikarz jedenastego wieku, Adam Bremeński, znakomity znawca północy, głosił jego sławę, niby jednego z największych miast europejskich. Istniała tam niby kozaczyzna, z osobnym kodeksem, moralnym i rycerskim, niecierpiąca kobiet między sobą, nakładająca uciążliwe nieraz przepisy na molojców — piratów, Jomswikingów, którzy, od ujścia Odery, w dziejach północnych walną, niezawsze chwalebną, odegrali rolę — ale nie tu miejsce na szczegółów legendowych badanie. O pruskiej Samii i duńskim na niej panowaniu również milczymy.

Przez dziewiąty, dziesiąty i jedenasty wiek występują więc Duńczycy w roli czynnej, chociaż nieraz i im fatalnie się noga pośliznęła, np. gdy duńskiego Sweina (później żonatego z Świętosławą) słowianie-wikingi nocą z pośród własnej flotyli duńskiej wykradli i straszny okup na Danję nałożyli (od tego faktu, nie bajki, zaczyna mistrz Wincenty swoje opowiadanie, pomylił tylko nazwisko). Gdy silni królowie Danią władali, i Słowianie im ulegali, Kanut Wielki np. i od nich pobierał daniny, lecz następcy nie dorównali Kanutowi i podnieśli się Słowianie, skorzystali z osłabienia duńskiego. Nie byli oni ludem morskim, choć do wybrzeży morskich dotarli, ale od wikingów zaprzyjaźnili się z morzem, wyuczuli się ich rzemiosła i niebawem samych mistrzów prześcignęli. Koniec jedenastego, początek dwunastego wieku, to sądy Boże nad Danją. Coraz nawiedzają Słowianie jej brzegi, pustosząc wszystko na okół, i wyrażono nawet mniemanie, że groził Danji (Jutlandi) zalew słowiański, że mogła się zesłowiańczyć zupełnie. Ale to przesadzona obawa, bo właśnie tym się odróżniały napady słowiańskie od normańskich, że Słowianie nigdy na serio nie pomyśleli o utrwaleniu się w kraju zdobytym, o przezimowaniu np. w nim, jak Normanowie, i gdy nabiegi Normańskie stworzyły w końcu wielkie państwa: ruskie, normandzkie we Francyi i Anglii i t. d., słowiańskie pozostały bez wyników, stra-

cone całkiem dla szczepu i jego dziejów. Owszem, wysilając się na boje duńskie, osłabili Słowianie najważniejszą pozycję, przeciw Niemcom zwróconą, zmusili Duńczyków do łączenia się z właściwymi, odwiecznymi wrogami słowiańskimi, z Sasami, do utworzenia groźnej koalicji duńsko-niemieckiej, przed którą Obotrycy i Rujanie ulegli. Z walk tych i wypraw najślawniejsze zdobycie wysoko na północ posuniętej Kongelli, roku 1135. W norweskiem mieście złowrogie wieszczby na wiosnę jeszcze, ale daremnie, lud ostrzegały; psy wściekłe kęsały ludzi. Nagle, 10 sierpnia, pojawiła się w przystani flota pomorska, Raciborowa, trzysta łodzi, każda z czterdziestu czterema mężczyznami i dwoma końmi, i po rozpaczliwej obronie załogę wysiekli, a miasto spalili. Próżno starał się na drugi rok król Eryk Emun napadem na Arkonę klęskę kongelską powetować: na razie obiecali Rujanie podległość i przyjęcie chrztu, lecz po odpłynięciu Duńczyków księdza wygnali, a kult Świętowita chyba nowym zajaśniał blaskiem.

Lecz ciągłych wypraw, z szczegółami nieraz bardzo dramatycznymi, choćby legendowymi, nie myślimy wyluszczać; zaznaczymy, że śladów słowiańskiej ludności na wyspach duńskich pozostało nadzwyczaj mało, kilka i to nieraz wcale wątpliwych nazw miejscowych — oto, co z całych słynnych i świetnych dziejów ocalało; słowiańskimi zupełnie były tylko wyspy „Femern“ (niesłowiańska nazwa) i Ruja, nazwana od germańskich Rujów, którzy tu przed Słowianami gościli. Oprócz nazw pozostały jednak liczniejsze i ważniejsze wzmianki po kronikach, polskich i duńskich, prawiących np. pod rokiem 1121 o wyprawie Bolesława Krzywoustego na Szczytno (Szczecin, macierz grodów pomorskich) w spółce z królem duńskim Nielsem, nadpływającym z flotą pod Wołyń; wtedy to zabrał Niels córkę Krzywoustego dla syna swego, Magnusa, wznawiając oddawna przerwane związki rodowe z „Piastrami“. Duńskim Kronikom (mistrzowi Saksonowi) za wdzięczamy też najobfitsze i najszczegółowsze sprawozdania o pogaństwie rujskim, o kulcie Świętowita, o jego posągu (odmiennym od posągu, może połonieckiego, kumańskiego, wydobytego ze Zbrucz, dziś w zbiorach Akademii krakowskiej), o wieszczbach i t. d.

Mimoходом zaznaczamy, że to pogaństwo rujskie i pomorskie bynajmniej wyłącznie prasłowiańskiem nie jest. Niemal przez cztery wieki spotykało się ono i borykało z chrześcijaństwem i chociaż to bajka wierutna, jakoby Światowit arkoński był tylko saskim Świętym Witem, co w Średnich Wiekach (i dziś jeszcze) powszechnie u Niemców i Duńczyków twierdzono, mimo to owa bajka zawiera kęs prawdy. Chrześcijaństwo wpłynęło, zmodyfikowało nieco wierzenia

pogańskie. W Sczytnie np. twierdzili kapłani jakoby Trzygłów dlatego trzy twarze posiadał, by równocześnie, nieba, ziemi i podziemia doglądał—to mylne objaśnienie (bo bóstwa rujskie po cztery, pięć, i siedem głów i twarzy miawały), wypłynęło z troistości chrześcijańskiej nieba, ziemi i piekła. U Helmolda czczą Słowianie Czarnego Boga, ale to też wedle dyabła chrześcijańskiego raczej ukształtowana postać—dualistyczne takie pojęcia Boga dobrego i złego obce zupełnie owym kultom pierwotnym przyrody; tam stale jeden bóg i dobry i zły, sprawca pomyślności i nieszczęścia, wedle tego, czy się go przebłagało i czcilo, czy nie. Otóż ta uwaga, co do niedwuznacznych wpływów chrześcijańskich nasuwa nam inną jeszcze: czy też w owym kulcie pomorskim i rujskim, bogatym w świątynie i bałwany, nie należy dopatrywać i jakichś wpływów nordyjskich, duńskich i szwedzkich? Pogaństwo to nadbałtyckie technie bowiem taką odrębnością, że mimo woli nasuwa się taka wątpliwość; u innych Słowian niema wcale takiego bogaactwa kultu, wpływu kapłanów, mnóstwa i znaczenia posągów— w każdy sposób nie należy stosunków bałtyckich uogólniać dla innych Słowian, między Polakami i na Rusi np. <sup>1</sup>Światowita, niesłychanego nigdzie, lokować.

Były więc czasy, kiedy Słowiańszczyzna zachodnia nadmorską i morską się stawała i na Bałtyku łodzie słowiańskie postrach szerzyły. Ścieliły się więc niegdyś drogi konstelacyi osobistej, duńsko-słowiańskiej; duńscy królowie nie tylko córki Piastowe, ale i córki „obotryckich“ książąt za żony miewali i w żyłach ich krew słowiańska płynęła, naprzykład ojciec owego Lolina, co go Słowianie w niewolę zabrali (męża drugiego Świętosławy), Harald Sinozęby, zaślubił córkę Mściwoja „obotryckiego“, niektórzy „jarlowie“ duńscy noszą może nawet słowiańskie imiona. I sagi północne pełne wzmianek o W a n d a c h, bo tem prastarem mianem, odwiecznem, już Pliniuszowi i Tacytowi z ust germańskich znanem, oni Słowian nazywają. Tymczasem konstelacya ta ustąpiła przedwcześnie innej: Duńczycy, osłabieni dzielnicowemi sporami, nie mogli sił wyteżyć na poskromienie i połączenie Słowian holsztyńskich i meklenburskich, chociaż obustronne dzieje, najściślej splecione, toczące się nieraz spólnem korytem, same zdawało się to wskazywały. I Słowian bałtyckich, rozdrobnionych, zwaśnionych, przy ścierających się nawzajem prądach chrześcijaństwa i pogaństwa, nie stać było na politykę energiczną, celową, jaką niegdyś Polacy Mieszkowi i Bolesławowi, Czesi Bolesławowi i Brzeczławowi (po raz ostatni o państwie słowiańskiem zachodniem marzący) rozwijali. Zamiast Duńczyków, — u których niegdyś jeszcze Otto Bamberski upoważnienia prosił dla misyi chrześcijań-

skiej na Rui—Sasi wystąpili i wytępiłi Słowian bałtyckich, z których niedobitki tylko, garstka Kaszubów, ocalały.

Ale w dziejach duńsko - słowiańskich doszedzić możemy ciekawych stosunków, wpływów, osobistości: realne one, nie Fata Morgana Wandy i Lubuszy. Za ułudy, które krytyka rozwiewa ostatecznie, nagradza ona zdobyczami innemi, uchyla zasłonę przeszłości, z za której nowe, ciekawsze postaci dostrzegamy.

A. BRÜCKNER.

# AD ASTRA.<sup>1)</sup>

---

## DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

---

### XIX.

#### N A D L S N A.

Od Wielkiego Nikaru, ojca wód białowieskich, dnem rozłożystej kotliny pędzi Lsna i rozmigotanemi falami mknie pod klamrą Mostu Królewskiego, spinającą wysokie ściany jej wybrzeży. Na szczycie jednego z wybrzeży, u stóp gęstego lasu, ściele się wstęga łąki szmaragdowej, tak długa, że krańce jej znikają w mętnych oddalach. Ogród to jest, kwiatami usiany, krzewami zasadzony, muzyką niezliczonych barw i linii grający, bajeczny ogród bez końca.

Drzewa wznoszą się tu gdzieniegdzie tylko, zrzadka. Świerk, ciemnym płaszczem obejmuje białą brzozę, topol siwe warkocze zarzuca na ciemną lipę, samotna jarzębina stoi w koralowych gronach, wierzbą przelewa w gałęziach połyski stalowe i srebrne, — a w dole, wszędzie niezliczone leszczyny, z połączenia gibkich ramion budują łuki, altany, arkady, nawy niskie i cieniste, które wzrok wiodą w coraz odnawiające się głębie, półmroki, półświatła...

Ostatni miesiąc lata wybuchnął podwójnem życiem odnawiających się kwiatów i dojrzałych nasion. Ostatnie upały na jarzębi-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; styczniowy, str. 14; lutowy, str. 244; marcowy, str. 429.

nach i kalinach rozogniły purpurowe grona i czerwonymi łzami oblały dzikie róże. Luice odkwitły żółtym, a gerania fioletowym płomieniem.

Po architektonicznych i rzeźbiarskich liniach drzew i krzewów pięły się koronki z liścia, osypane kolorowemi skrami kwiatów. Zamiast ptaków, które pomilkły, barwy śpiewały. W błękitcie i złocie powietrza, z krystalicznym szmerem Lsny rozplywała się mocna woń mięć rozkwieconych i gorzkiej trawy żubrzej.

U stóp kaliny, obwieszanej kolorowemi gronami, wśród gęsto kwitnących geraniów, Seweryna z nieśmiałym i zamyślonym uśmiechem wpatrywała się w leżącą na rozwartej dłoni górską szarotę.

Jaki podmuch, czy jakie westchnienie, zwiały kwiat ten z alpejskich wierzchołków na to wybrzeże Lsny, rozzielenione w leszczynach, kalinach i dzikich różach? Jaka błyskawica wyrwała go z łona skały i rzuciła na te spokojne murawy, do stóp olbrzymów leśnych, surowych i smutnych?

Od dwóch już dni kwiat górski szeptał jej o tajemnicach górnego i nieszczęśliwego serca. Pomiędzy tem sercem, a swoim, czuła zaciągającą się przędzę marzenia. Było ono, marzenie to, tak dalekie, jak obłok, który w mgłę srebrną rozpraszał się pod niebem, i tak gorące jak promień słońca, który w cienistym krzaku rozognił jagodę kaliny. Niosło z dalekiej dali tęskny, nieśmiały, przedziwnie słodki śpiew... Kto tam woła, wzdycha, błaga? Kto w oddalonym zmroku śpiewa o słońcu?

W sercu jej królował smutek, ten sam, który omraczał tamto, dalekie serce i nad głową swą miała skrzydła demona melancholii, tego samego, który na daleką dolinę Aaru hojną dłonią rozrzucił posiew cienistych zasmuceń. Tu i tam, jej i jemu na drodze ku wielkiej Wiedzy i na drodze ku wielkiemu Dobru, życie słało się płazem olbrzymim, wijącym się w szlamie złocistym i gdzieniegdzie dobywało na powierzchnię koronę kwiatu splamioną i podartą.

Jej i jemu, u skrzydeł wzbijających się pod gwiazdy, zwisało brzemie, ciągnące je ku ziemi. Czem było? niczem i wszystkim, słabością i siłą; ach! było ono śpiewającą w każdym pyłku świata i w sercach ludzkich nigdy nie prześpiewaną pieśnią o szczęściu. Było ono, to brzemie ociągające w dół skrzydła, rozkazem i oporem, rozkazem materii i oporem duszy, — pożądaniem też duszy w formie Anielskiej. Lecz sąż gdziekolwiek na ziemi serca i dole anielsko szczęśliwe i anielsko czyste? Czy tak samo, jak istnieją niebo i ziemia, wybierać zawsze trzeba pomiędzy piołunem cierpienia, a słodyczą winy?

Co za spotkanie i jaki traf! Dokąd zmierzala strzała, a gdzie utkwiała! Jaka moc wykrzywia lot pocisków? Z jakich mroków tajemniczycych wychylają się dłonie, które płaczą nici zamiarów? Nic zamiaru, na czystych wysokościach wyprzedzoną coś porywa i zarzuca w stronę, w którą nie spoglądały oczy prządki. O, biedne ręce ludzkie, które, gdy prząć zaczynają, nie wiedzą nigdy, co wyprzedzą! Słabe ręce, od podmuchów nieprzewidywanych drżące, od kolców niedostrzeżonych krwawiące się i bolące, kierowane wzrokiem krótkim, olśniewanym przez blaski i zaciemnianym przez łzy!..

Aksamitna pierś górskiego kwiatu zdawała się oddychać i szeptać swe poselstwo:

„Czy nigdy nie spotkamy się w ciasnych wymiarach niniejszego bytu? Czy na torze naszych przeznaczeń poruszamy się w kierunkach na zawsze rozbieżnych?“

Dla czegoż: nigdy? Dla czegoż: na zawsze? Alboż duchom wlatującym pod gwiazdy nie wolno zniżać lotu ku ziemi, aby na czoła, w tęsknocie wędnące, zlewać potoki krzepiącej siły, a w sercach pod głuchemi opokami oniemiałych, zaciągać struny wiary i miłości? Nie jest-że to nawet sztuką, w której mistrzami one tylko być mogą? Nie jest-że to arcydziełem, do którego wykonania moc spoczywa tylko w ich dłoniach gorących, a czystych?..

Śnieżny kwiat górski z piersi aksamitnej wydawał szept, czy westchnienia:

„Nie śnieżne konwalie, nie korowody łabędzie, nie wiosny promienie błękitne ukoić i wesprzeć mię mogą, lecz tylko mleczna jasność miesięczna, rozpostarta nad głębiną wylanych i uspokojonych łez — a przytem wielkość ducha“.

„Byłoby to kochanie, od którego się robi cieplej i jaśniej na świecie. Ale to sen...“

„Z nią osiedliłbym się w krainie przestrzeni czystych i lśniących, jak koncha perłowa, jak ta gwiazda — perła, która uwięzła w sobie Danta i Beatryczę... Ale to sen!“

„Czy znasz rozskrzydlonego Cheruba wielkiej, czystej, głębokiej duszy kobiecej?.. Ja widzę go... do stóp mu się garną, ot takie białe szaroty...“

Sen... Tęskny, daleki, błękitny, śpiewny sen!..

. . . . .  
 . . . . .

Nizko pochyliła głowę, kwiat alpejski upuściła na suknię i oczy pełne błyskawic ukryła w dłoniach...

. . . . .

Wtedy uczuła nad sobą cichy, świeży, srebrny śmiech. Piękna dziewczyna w bledo liliowej sukni stała nad nią i, śmiejąc się, osypywała ją deszczem geraniów płomiennych i skabioz, tak samo liliowych, jak ona. Płowe jej włosy, rozluźnione u czoła w gęstwinę bledo złotych promieni, usta z linią pieszczotliwą, oczy rozmigotane srebrem i błękitem, wszystkie jej rysy i wszystkie jej ruchy wydawały z siebie tę niezwalczoną i wiecznie odradzającą się wesołość, którą pogoda, lazury i kwiaty przepajając muszą dni wczesnej młodości. Z sercem bardzo młodem ciężko jest walczyć złym urzeczeniom życia, bo jakkolwiek okryłyby je żalobą, jeden promyk słoneczny krzesze w niem iskrę nadziei, trochę woni różanej wystarcza, aby powrócić mu wizję raję i wiarę w jego istnienie.

Upał słoneczny jutrzniową różanością zaprawił białość jej twarzy i gorącemi skrami zapalił błękit oczu.

Obok towarzyszki na murawie siadając, prędko mówić zaczęła:

— Och, jak daleko chodziłam! jakie tam są, wśród tych leszczyn, aleje długie, łuki ozdobne, rzeźbione, altany zaciszne! A jaka moc kwiatów—najrozmaitszych! Narwałam ich mnóstwo i oto je masz! Osypałam cię nimi, jak deszczem czarodziejskim. Czarodziejską tu jest natura. Z rzeczy tak prostych, zwyczajnych, jak drzewa, trawy, dzikie kwiaty, leśne zwierzęta, tworzy raj cichy niewinny, promienny. Widziałam sarnę, która wybiegła z cienistej alei, pod łukami sklepienia stanęła i w cieniu zanurzona, lecz złotem słonecznym tu i owdzie tknięta, patrzyła na mnie. Nie lękała się mnie ani trochę. Patrzałyśmy na siebie przez chwilę, jak siostry. Lecz powiew wiatru zaszeleścił w jarzębinie, strącając z niej trochę liści i jagód. Wtedy uciekła. Jak rudy płomyk po gładkiej murawie przemknęła w złocie słonecznym i zniknęła w świerkowych cieniach...

Opuściła splecione ręce na suknię i wzrokiem tocząc dokoła, zawołała:

— Ach! jak ja kocham to wszystko! jak kocham! Drzewa, trawę, wody, ciszę... niebo i ziemię!.. ludzi, zwierzęta...

Ciszej dodała.

— W tem kochaniu pociecha... cicha radość po smutkach płynąca... balsam...



Potem, z pochyloną nieco głową, zaczęła kwiaty rozsypane na sukni towarzyszki układać w fantastyczne rzuty i girlandy. Przytem mówiła.

— Czy pamiętasz, Sewerko?

Przypominała dzień, w którym dzieckiem jeszcze przybyła tu z matką i po raz pierwszy ujrzała puszcę. Z Paryża przybyła i tam powrócić miała. Biedna mama nadewszystko kochała Paryż. A ona, dotąd, jedną tylko matkę kochała bardzo i nic więcej, ani nikogo. Tu dopiero otworzyło się jej serce.

— Czy pamiętasz?

Pojechały razem na Zamczysko i długo siedziały tam pod świerkiem, rozmawiając. Rozmowa smutną była, lecz jak z chmury błyskawica, wystrzeliło z niej, po raz pierwszy dla olśnionych jej oczu, pojęcie wielkich uczuć i czynów. Dowiedziała się wtedy, że one są — i ile w nich bólu. Dowiedziała się z jej ust..

— Czy pamiętasz?

W taki sam dzień, jak dzisiejszy, w tem samym miejscu, wśród leszczyn i kalin, dowiedziała się dla kogo po raz pierwszy zawieszonym został nad Lsną ten most królewski. Przeciągały po nim, przed wyobraźnią jej, karoce złożone, dudniły wozy, w powietrzu fruwały sztandary, wiewały pióra czaple, błyszczała stal, leciał ptak chwały... Miała wtedy wizję przeszłości i po raz pierwszy wstąpiły w jej oczy łzy ciekące nad tem, co nie było nią samą, co było, być przestało, w pamięciach tylko żyło wiekuiście. Oczy miała pełne łez przejętych z jej oczu.

— Czy pamiętasz?

W pokoju dziadunia i babuni ciepło było, zacisznie. Kanarek śpiewał czasem u okna i promyk słońca ślizgał się po białym czepku babuni. Dziadunio opowiadał swoje historie dziwne, długie; ślepe oczy jego pełne były ich blasku, a serce gołębiej wiary w te gwiazdy, co mu niegdyś jaśniały nad młodą głową. Byli bardzo starzy, lecz miłość ich u jakiegoś czarodziejskiego źródła napiła się elixiru wiecznej młodości. Ona była światłem jego oslepych oczu, a on podporą jej chwiejnych kroków. Mieli srebrne włosy, pomarszczone czoła i coś nakształt powtórzonej niewinności dzieciństwa. Srebrna sielanka! Dla tej srebrnej sielanki, dla gwiazd dziadunia, dla wiary gołębiej, prostoty świętej i tej miłości, która razem z czołami nie wędnie, wzniosł się wtedy w jej duszy ołtarz wiecznej pamięci i świętej czci... Z jej duszy.

— Obudziłaś we mnie duszę. Jeżeli to, co w nas myśli, kocha, czci, jest duszą, tyś obudziła moją... Nie zasnęła potem już nigdy i przez to może cierpiała, lecz cierpiąc była ci jeszcze wdzięczną...

Mówiąc to patrzała na towarzyszkę i po raz pierwszy, odkąd dziecięcą swą duszą, jak promień u tarczy słonecznej, zawisła u jej duszy, nie rozumiała wyrazu jej ust i oczu. Te usta, mające dla niej zawsze tkliwe i pobłażliwe uśmiechy, były teraz szczelnie zamknięte, surowe, a spojrzenie ślizgało się po jej twarzy wahające się, badawcze i razem nieśmiałe. Więc nieśmieiej też, ciszej, jakby uniewinniając się z winy niewiadomej, lecz głucho przeczutej, mówiła jeszcze:

— Cóż dziwnego, że gdy mamy kochanej na świecie już nie było, do ciebie, jak ptak zraniony leciałam?.. Sama przecież mię zawołałaś... Ty wiesz, różni krewni, dobrzy zresztą i mili... ale nie chciałam! Do ciebie jednej chciałam... Przed tobą jedną otworzyć mogłam serce płaczące po biednej mamie i... po tem mojem dziwnem... krótkiem, lecz niepozbytem... niezapomnianem złudzeniu!..

Siedziała teraz wyprostowana, z rękoma splecionemi na kolanach i spójrzeniem wodziła po chmurach, które szarą ławą ciągnąc zaczynały ku ciemnej ścianie lasu.

— Czyżbym komukolwiek oprócz ciebie jednej powiedzieć o tem mogła? Ciebie jednej zapytać mogłam: co się stało? Dla czego tak się stało? Teraz już wiem. Sama znalazłam odpowiedź: pozory zwodzają... Serca ludzkie są płochy... wszystko przemija... niczemu ufać nie można... Ale wtedy wspomnienia napastowały mię w snach i na jawie, nawet na świeżej mogile mamy... Przed nią, na wieki śpiącą, skarżyłam się: po coś mię tam zawiozła? Taki żal... wstyd... i pomimo wszystko — taka tęsknota! Czulałam w sobie gorzkie nie-szczęście i zerwałam się, aby od niego uciekać. Na skrzydłach leciałam do twej dobroci, do twego rozumu, do ciszy twego domu, pod to niebo, ku tej ziemi, które kochać tyś mię nauczyła... Wszystko, co twoje, wydawało mi się portem czy oazą, w której nakoniec ucichnie pocieszy się serce...

Zmieniona, pobladła, z piętnem cierpienia i przedwczesnego wędnięcia na młodziutkiej twarzy, mówiła coraz ciszej, głosem, z coraz większą trudnością wychodzącym z piersi. Umilkła i była pomiędzy niemi, — wśród mnóstwa kwiatów i pałających po krzakach gron purpurowych, — długa chwila milczenia.

Potem na zamyślonych ustach Seweryny drgnęło pytanie.

— A teraz... czy serce pocieszyło się, umilkło?

Henryka nisko pochyliła głowę i przecząco nią wstrząsała. Nie mówiła nic, tylko przecząco wstrząsała głową, roztargnionemi palcami przebierając wśród kwiatów, którymi sama suknię towarzyszki osypała. Z oczu jej, otoczonych ciemnymi smugami cierpienia, na suknię i na kwiaty, jedna po drugiej, powoli, spadać zaczęły łzy...

Nagle wyprostowała się i zawołała:

— Szarotka!

Wśród białowieskich geraniów, lnic, skabioz zobaczyła śnieżną gwiazdę alpejskiego kwiatu.

— Skąd masz ją, Sewerko? Skąd się tu wzięła? Dla czego ją tu przyniosłaś? Ach, jak ich tam było wiele... wiele!..

Tam! Spadający od obłoków szumny wąż wodospadu, chłodna arkada z welonem rozsrebrzonej wody, modra toń jeziora w wieńcu skalnych szczytów, jego postać, rysy, głos... pod niebem usianem ulewą sinych i fioletowych gwiazd, blada twarz nad jej twarzą, płomień ust... cały obraz i cały moment zmartwychpowstały z niebytu rzeczy minionych, zakłębieniem drobnego kwiatu...

Czoło Seweryny, przerżnięte zmarszczką cierpienia, okrył rumieniec i pozostał na niem długo. Wtedy narcyzową twarz Henryki oblała również luna różowa i na ustach jej urwały się pytania. Uczuła tajemnicę i, nie odgadując jaką była, odwróciła przelekkie oczy. Obie splecione, odwracały od siebie spojrzenia. Niewidzialny, nieujęty, palący, przelatywał pomiędzy nimi dech Zła.

Z twarzą pobladała i zmartwiała, z szarotą w palcach, Seweryna powstała. Kwiaty opadłe z sukni wyhaftowały u stóp jej wzorzysty kobierzec, postać, jak biały posąg uwypukliła się na tle kalinowego krzaku, pełnego liści szerokich i gron purpurowych.

Za nią ława chmur kładła pierś szarą na ciemne czoło lasu i w leszczynowych zaroślach latały szelesty wiatru, płosząc wiewiórki, które po gibkich gałęziach, napowietrznemi drogami, pomykały ku gniazdom.

Przed nią, Lsna, nadlatującym wichrem pędzona, szybko i szumnie gnała fale za falami, pod klamrą królewskiego mostu, a rozmiotane nad nią wierzby i topole przybrały postać pielgrzymów osiwiałych, którzy, rozwierając, to załamując ramiona, wołają o pomoc, ratunek, spoczynek...

Obok niej, liliowa dziewczyna, głowę ku ramieniu jej pochylając, trwożnie szeptała:

— Burza nadlatuje! Wielka burza!

I daleko kędyś, w ciemnym wnętrzu lasu, głośno rozszumiał się bór. Daleko, o igły i o liście uderzać zaczęły wielkie krople deszczu, wzniesając szmer, który zataczał się powietrzem i przybywał na to wybrzeże, stojące jeszcze pod rozdzielającą chmury smugą czystego błękitu.

Pod zwężającą się coraz smugą czystego błękitu, wśród szelestów i szumów, szeroko rozwichrzyły się liście kaliny i przez wichę stręcane, kapały z drzew i krzaków czerwone lzy...

## XX.

*Krasowce.*

Przebacz, że milczałam długo i że dziś jeszcze mówić nie będę o twej eklodze w Giesbach. Przebacz, jeżeli połową tylko ust mówić będę i nie przypisuj tego obojętności dla zwierzeń twoich. Uwierz mi, proszę! Szczerłość jest przymiotem, którego zdobywać nie potrzebowałam, bo przyszłam z nim na świat i nie znam ohydy, któraby dla mnie dorównywała ohydzie fałszu, ani sroższego cierpienia, jak gdy na ustach więzić muszę słowa wyrywające się z serca. Jest dla ciebie w sercu mojem słów wiele i jest moc nad nie silniejsza, która je więzi na szczerych ustach moich.

Ale zupełnie umilknąć, teraz, gdy „skargą szukasz mego głosu,“ nie mogę! Gdybyś go szukał nutą piosnki wesołej... Gdybyś był, kiedy po raz pierwszy przemówiłam do ciebie, taką nutę w odpowiedź mi przesłał... Bom ja mniemała, żeś upojony sławą wcześniej zdobytą i rozkochany w światowych blaskach, wśród których upływa ci życie. Miałam przyczyny mniemać, że obok wielkiego umysłu jest w tobie serce motyle, które z kwiatów wypijając miody, wzgardliwie czy lekomyślnie opuszcza ich spustoszone korony. Zamiast tego usłyszałam twą harfę pomacierzyńską, która z pod głuchej opoki dzwoni bólem i tęsknotą za tem, co umysł twój wzgardą okrył, ze wzgardą odrzucił. Dla tego zaczęłam przemawiać do ciebie często i nastawiałam ucha na przestrzeń, czy nie przynosi mi twej odpowiedzi.

I patrz, co się stało! Cóż się stało? O, nic zresztą tak ważnego, aby dorównać mogło tym prapoczątkom i całokształtom wszechbytu, w których zatapia się myśl twoja. I w mojem również pojęciu, straty, cierpienia, zdobycze, rozkosze jednostek, nieważkie są wobec rzeczy zbiorowych, zarządzających mnóstwem dusz i losów. Więc nie stało się nic ważnego; a jednak, coś się stało! Rozmowy tej przerwać jeszcze nie mogę.

Czy wiesz o tem, że w życiu, najwięcej wypełnionem przez pracę i rezygnację, bywają jednak dni bez koloru i ciężkie omdlewania

woli. Rozmowa z tobą stała mi się kolorem dni i tą kroplą ciepła, która przywraca do życia zmartwiałe od chłodu ptaki. Mówię o tem, bo wiem, że rozmowa ta przerwać się musi, więc słowa, które wyrwały się z klatki znikną i zmilkną w głuchocie wiecznego milczenia. Prędzej czy później, umilknąć będą musiały te strofy, w któreśmy, zaklinali iskry naszych duchów, nad przestworami śląc je ku sobie, jak napowietrzne gońce.

Strofy umilkną, a żywe serca...

„Wieki miną,  
Te gwiazdy, które dziś świecą zagasną,  
A nie odmieni się sercom, co giną,  
Nic a nic...“

Wszakże ja twoich, ty moich rysów i postaci nie widzieliśmy nigdy inaczej, jak na fotograficznych odbiciach. Odbicia te, to widma. Widmami również są głosy, ogolococone ze swych brzmień cielesnych. Szybko mdleją i nikną widma wobec postaci żywych, widomych. Rychło widmo moje omdleje i zniknie przed oczyma twemi i głos widmowy połączy się w zapomnieniu z tem wszystkim, co, mając byt bezcielesny, dla świata obleczonego w ciało długo żyć nie może...

Widzisz, co się stało. Mówię ci o tem i mówię z żalem. Lecz chwila jeszcze, a długo mówić będę o twej eklodze w Giessbach.

Teraz, trochę o Puszczy...

Miałam niedawno przed sobą jeden z jej obrazów posepnych i dziwnych. Na przestrzeni bardzo rozległej stoją tam wody tak czarne, jak smoła, a tak połyskliwe, jak w ziemię wprawione zwierciadło. W szkliwie tem czarnem odbicia drzew i obłoków, utracając swe barwy, nabierają postaci widmowych, a światła słoneczne chodzą po niem smugami bladawo, czy trupiosrebrnymi i wyrasta z niego rzadki ludek olsz i sośnin cieniuchnych, niskich, z pomiędzy których gdzieś tam, w odległościach znacznych, bujają wżwyż dęby tak wyniosłe, tak proste i mocne, że na myśl przywodzą wyprężone ku niebu ramiona Atlasów. Czoła tych dębów kąpią się w wysokościach podobłocznych i na czarne wody, w których tkwią ich podnóża, leją szumy zamysłone i głębokie.

Jakie to żale łkają w szumach olbrzymów, gdy nad rosnącym im u stóp drobiazgiem patrzą one w dal bezgraniczną, rysującą im na

chmurach widziadła czarowne, rajske, rozwiewne? Czy potężne westchnienia, któremi wzdymają się te szумы, to wołania i prośby, aby z krańców firmamentu przybywały mary cudne i na wyprężonych ku niebu ramionach Atlasów wieszały powoje, wydające z ust różanych wonie migdałowe?

Długo słuchałam mowy dębów, które nad czarnymi wodami topią czoła w wysokościach podłonecznych i „liść szumiący z wichrami, rozumiałam co mówił“.

Długo, wśród paproci, które już okrywają się krwistą rdzawością, ramionami młodą olszę obejmując, stałam nad brzegiem czarnego zwierciadła, patrząc na zaludniające je widma drzew i obłoków, na ścielące się po niem smugi trupiosrebrne i po raz pierwszy wtedy przez głowę przewinęła mi się myśl, tak samo, jak te wody czarna i trupich widm pełna: a cóż? jeżeli jestem w błędzie?

Cóż? „Błąd wiek człowieczy“. Wszyscy szukają i błędzą. Ten tylko nie błędzi, kto niczego nie szuka. Należę do szukających, może błędzę...

Cóż? Gdybyś ty właśnie był w prawdzie, a ja w błędzie? Kto mi dał patent na nieomylność? Wieki? Powagi? Wiemy dobrze, że szeregi wieków i powag chadzały po drogach, które inne szeregi nazywały manowcami.

Cóż, gdyby mężne boje mego dziada, ból ojca, tragiczny los brata i moja własna młodość, siła, radość, ciekły do szlamu pozłoconego przez wyobraźnię poetów?

Mam głowę pełną poetów. Wzrok topiąc w czarnem zwierciadle słowami jednego z nich myślałam:

„... Oto widzisz płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonąła.

„A teraz opowiada siostróm swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę pomiędzy rybkami.

„Słuchając więc o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedane na rynku.“

Jaka to prawda! Słuchanie o niebiosach prowadzi do sieci. Siecią o ciasnych okach jest służenie ideałóm.

Jestem rybką zasłuchaną w opowiadanie płotek, które przelatowały powietrzem i widziały niebo.

Lecz jeżeli tym płotkom zdawało się tylko, że widziały niebo?

Jeżeli, jak utrzymujesz, — lży i uśmiechy sypią się na świat bez celu, bez planu, nie z ogniska najwyższej Mądrości i Woli, lecz z głuchego chaosu, który bezmyślnie pracuje na dramat rybek, chwytyanych w sieci twarde i krwawiące?..

Uciekłam od czarnego zwierciadła i od szumiących nad niem dębów. Niedobrze jest wsłuchiwać się w głosy smutnych Atlasów i wpatrywać się długo w topiele, pełne czarnych tajemnic. Niedobrze, bo boli, i chwiejąc się razem z wiotką olszą nadbrzeżną, można wpaść w czarną topiel.

A gdyby w nią wpaść? „Cóż jest życie, aby go żałować? Czy to jest Anioł dobry, opuszczający nas w godzinie śmierci?” Ale zaraz, ten sam poeta upomina: „A wieszli, czy nie jesteś wybrany na ofiarę spokojną?” Spokojną, zatem z poddaniem znoszącą życie, od którego zależy coś, co jest wobec ciebie, pyłku, górą niebosięzną i więcej jeszcze niż niebosięzną górą, bo wolą Tego, który stwarza i pyłki, i góry.

Skarżysz się na połowiczność duszy swojej; widzisz, jak połowicznymi bywają poeci. Lecz i o tem wiedz, że dusza wszelka im poetyczniejszą jest, tem pewniej rozdartą, i że przez to właśnie rozdarcie poetyczność jej wylewa się na świat. Krew wylewająca się z serc jednych wlewa się do serc innych pod postaciami wina i miodu, a takich cudów galilejskich jest na ziemi tyle, ile jest na niej czynów cnoty i dzieł sztuki. To bardzo dziwne i myślą trąca—o niesprawiedliwość.

Któż może być takim ślepcem, aby nie dostrzegać, że niesprawiedliwość rozlewa się od kresu do kresu świata i życia? Lecz wierzyłam, że zgłoski sprawiedliwości doskonałej jaśnieją jednak w sferach najwyższych wszechbytu, których mądrość ludzka dostrzedz i poznać nie może, lecz ku którym wszechbytu dąży przez mądrość i przez miłość. Tak wierząc, pragnęłam brać czynny udział w galilejskich cudach przemieniania krwi serca swego na wino i miód dla serc innych.

Teraz... niekiedy... cóż? oto pamięć przeprowadza mi pod czołem słowa twoje o szalbierstwach, dokonywanych przez poetów świata.

Niedawno stałam oko w oko z dziwnie rozpolowionym widokiem natury. Jechałam do jednej z osad budniczych, gdy w ucho mi wpadł rozlegający się w pobliżu łoskot, huk, szum. Porzuciłam Avisa wśród wrzosów, które teraz właśnie liliowe kobierce po lesie rozkładają, i poszłam zobaczyć, jaki to żywioł natury rozgadał się tak głośno. Bo głosy to były nie zwierzęce, ani ludzkie, tylko jakiejś siły żywiołowej. Bardzo też wkrótce zobaczyłam jeden z tych naszyjników kryształowych, któremi wieszczki wód gęsto obwieszają łono tej Puszczy: znalazłam się nad Narewką.

Las w tem miejscu ściśliwy, nieprzebitą ścianą stał jakby w skupieniu religijnem, czy w przepaścistej zadumie, i milczał, zdawał się modlić, czy myśleć i tylko w tajemniczym wnętrzu jego coś kiedy niekiedy wzdychało. Narewka zaś, w oddali turkusowa, tu przeska-

kując wysokie śluzy, tworzyła biały wodospad, który rzucając się na skośne fale wznosił piętra alabastrowej piany, huczał, szumiał, dzwonił, krzyczał.

Wśród modlącego się w skupionem milczeniu i czasem tylko wdychającego lasu, szal i gwałt wód tych podobny był do rozpaczy, wybuchającej w zrezygnowanej duszy. Las i rezygnacja cicho strzelają ku niebu, wodospad i rozpacz z krzykiem rzucają się ku przepaściom. Jak las ten był cichym, w tak ciche zapadłam dumanie.

Cóżemy przecie za jedni, — myślałam, — my, ludzie, nigdy nie syci nieba, ani ziemi, spragnieni ziemi, gdy pogrążamy się w niebie, a umierający z tęsknoty za niebem, ilekroć zbyt szczerze łonem zwieramy się z ziemią?

Powtórzyłam sobie słowa twoje o wiedzy: „Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia,—wiedza sama w sobie mało się różni od wiary”.

I z wolną, z trudnością te słowa twoje przełożyłam na swoje: wszystko, co ludzie poczytują w sobie za cnotę, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem odbicia, cieniem cienia,—cnota z tej strony jest podobną do wiedzy, że pełnej doskonałości nie dościga nigdy.

Musi przyjść zawsze taki kraniec dociekań, na którym czciciel wiedzy mówi sobie: nie wiem! i taki moment, w którym czciciel cnoty mówi sobie: grzeszę! W pierwszym istnieje bezzaradna niedostateczność zmysłów, któremi bada otchłanie wszechbytu; w drugim — z tajemniczych spodów natury ludzkiej wznoszą się nad rolę, zaoraną przez Dobro, pierwotne a niepozbyte ily.

A ideały?

Te, nieśmiertelnie, lecz szkicowo unoszą się nad ziemią. Próby niedokonane, szkice niewypełnione... Ale dokończenie, wypełnienie ich kędyś wyżej musi być chyba, bo jeżeli nie, to skąd i po co te początki?

Pragnęłam być Beatryczą, wiodącą istotę kochaną ze sfery w sferę, z gwiazdy na gwiazdę... lecz teraz powstaje we mnie pragnienie palące, aby ktoś mnie samą wziął za rękę, powiodł górą i przywiódł ku gwieździ, któraby przez perłowe zasłony swe ukazała obraz pełny. jawę doskonałą tego, co ziemskie sny przepływa nie wypełnionym i niedościęłym szkicem ..



## XXI.

*Murren.*

Głos twój znalazł mnie w najstronniejszych matecznikach gór, w których głąb się cofnąłem.

Przestałem się go spodziewać, a dziś po pierwszym okrzyku powitania nie umiem się już nim cieszyć. Może nawykły do gardzenia kwiatami ziemskimi, przepoilem się wyłącznie gorzkim hyzopem życia? Może owa kropla piołunu, dawana nam w kolebce na pierwszy życia sakrament, u mnie była wyjątkowo wielką. Dość, że nawet teraz, nawet teraz, kiedy znów mówić mogę do ciebie, oczy moje są czemś zgaszone i nie napełniają się weselem.

Jestem oczywiście niewdzięczny. Czegoż więcej wymagać mogłem. Przywiązałem się do rozmowy z tobą. Gdy mi było duszno i ckliwo, pożałowałem jej, jak rosy. I oto nie zapomniałaś o mnie. Bynajmniej nie zapomniałaś... Doszło mnie jak gdyby wyznanie, że cierpkie słowa moje, że myśli moje nie są dla ciebie gościem niewawistnym. Co więcej, dochodzi mnie jak gdyby przyznanie, że mogą być dźwiękiem, do całokształtu pieśni twojej zdatnym,—potrzebnym. I dowiaduję się, że masz dla mnie jeszcze innych słów wiele... Szczególnie więzi mnie każdy mój wyraz własny, zrodzony w mej zimnej i jałowej duszy, ilekroć z dalekiej za lasy i rzeki podróży powraca do mnie, przez usta twoje, pełne nieba i poezyi. Każdy taki wyraz, powracający do mnie, tak pieściwą drogą, witam chciwie i oglądam z uśmiechem zdziwienia, poznaję bowiem, że jest mój własny, a jednak, gdy wzięła go w siebie twoja seraficzna Psyche, tak jakos zbłękitniał, że mógłby prawie uchodzić za westchnienie... poety.

Ten los gońców moich i to błękitne echo, a zwłaszcza tych słów wiele przeznaczonych dla mnie, lecz w świat nie posłanych, mogłyby być przyczyną gorącej radości. Ale ja, widzisz, nie mogę ani na chwilę utracić z oczu owej wielkiej różnicy, która, jak ostrze ciężkiego żelaza wrzyna się w rdzeń naszego dwugłosu, wykluczając jednolitość pieśni. Różnica leży w tem, że gdy strofy twoich uczuć stawały się dla mnie źródłem upojenia, dźwięk mojego głosu zmienia się w sercu twem na szarą chmurę.

Smutna to rola w dwudźwięku, spływać na jutrznie mistycznych zachwyceń kirem ciemności. To też nie chcąc się plamić fałszem, zapo-

wiedziałaś otwarcie, że pieśń rozbita o tę fatalną zaporę, prędzej czy później skończyć się musi, a najpewniej skończy się rychło. I dla tego, przyjaciółko moja, sam nie wiem, czy z przedłużenia pieśni, której koniec dobrotliwie oddałaś, cieszyć się mam istotnie. Jeżeli zaś z tego mnóstwa słów ciepłych, przeznaczonych dla mnie, odbiorę jeszcze odpowiedną część na karb twych ofiarniczych lotów, na karb obowiązkowego współczucia, na karb wreszcie solidarności rodowej, to chociaż żal ci rozmowy, nie myślę, aby z owych zasobów dla mnie samego zostało zbyt wiele.

Nie pytam, czemu rozmowa nasza przerwać się musi. Dziwi mnie tylko, dla jakiego kaprysu chcesz zaprzętać mnie i siebie tą rzeczą minioną, którą jest moja ekloga w Giessbach? Cóż cię ona obchodzić może? Jeżeli cokolwiek opowiadał o sobie, to chciałem cię jedynie przekonać, że — wbrew mniemaniu twemu — nie tarzam się w szlamie złocistym, i... że leśne wieszczki-gwiazdźce, uganiające się na skrzydlatych rumakach po puszczy, nie trzymają w sieci — motyla.

Cóż ci powiedzieć, aby trochę koloru rzucić na dzień twój, a nie splamić twoich błękitów? O ludziach? o górach? o sobie?

Ludzi nie brak i tutaj. Choć uciekłem z Interlaken, aby koczować po najwyższych wzniesionych emporjach tego kantonu i u progów wiekuistej martwoty zaczerpnąć sił do dalszego pochodu, mimo to stanąć musiałem główną kwaterą na mureńskim tarasie, jako ostatniej placówce hotelowej cywilizacji, następstwem zaś tego jest, że prąd letnich podróżników skrajną swą falą dociera aż tutaj, i że ludzi nie brak. Jednakże skrajny ten nurt inaczej się tu przedstawia, aniżeli niżej. „là, en bas“! — jak mówią tubylecy, wyciągając rękę w stronę Aarskiej doliny. Mniej tutaj bulwaru, a więcej turystów. Niestety, po bliższym zbadaniu okazuje się, że większość tych podróżników to gromady filistrów w sportowem przebraniu. Ach, jakież pary się tu zdarzają. Jemu wspomnienie cynizmu, zachowane z lat młodych, dyktuje na widok dostępnej dziś Jungfrau jakiś żart dowcipny. Ona, roznosząc w fałdach sukni zebrane z gospodarstwa wyziewy, cieszy się, że mąż tak wesoly. Nie lubię ludzi.

Natomiast wielbię przyrodę. Przyroda taką tu jest różnostronną i przestrzenną, że przyjezdni, rozproszywszy się po okolicy, wsiąkają wnet bez śladu w murawę, w śnieg, w kamienie — i atmosfera pozostaje czystą. Jeżeli zaś wypłyną później gdziekolwiek na przejmach pustego wąwozu, albo na rozesełanej draperji ciemnopiórych jodeł, to są już tylko nutą ruchomą, wprzęgniętą zgodnie w symfonię obszernych krajobrazów. Stają się oni często pstrą różnaitością dla

jednostajnych połonin, lub czarną kresą na kamienistym rozłogu, a czasem czyni z nich słońce fioletowe iskry, rozrzucone po śniegach.

Słońce! Piękniej jeszcze niż ludzi, umie ono przeobrażać ludzkie mieszkania. Jest tu zwłaszcza jedno takie gniazdo, garść chat góralskich, widzialna z przeciwległego emporium, na której słońce, gdy skłania się ku zachodowi, dokazuje nieraz prawdziwych magii. Właśnie bowiem nad wysmukłą ścianą, gdzie domki Iseufluk do pochyłości się kleją, rozpęka zwykle słońce w gwiazdę promieni, rozżarzonych miedzią, i promienie te, wybuchnąwszy na połowę nieba, zlewają się wnet potem strugą wrzącego kruszcu na owe śmiałe szalety; i wówczas oczy ludzkie ogarnia zdziwienie, że tak nawalna struga lejących się ogni nie zmywa wszystkiego ze skały, w dół, hen, tam aż w głąb Lucziny!

Luczinę—pamiętasz?—malowałem ci kiedyś jej młodość, aby cię dla Szwajcaryi zniewolić. Ona zdawała mi się wtedy tam wysoko, dumna, huczna i harda. A teraz strumień, poczęty kędyś na białem łożu Jungfrau, wije się nikło, gdzieś pod stopą moją, w zawrotnej otchłani, jak wężyk drobny, przydeptany, cichy. Przydeptały go rodzinne Alp kolosy, wyrastające zewsząd gigantycznym orszakiem ku firmamentom i gwiazdom. Ciężkie brzemiona pradawnych kryształów dobyły się z gorących posad ziemi, a teraz ścina je wichur lodowy i rozgryza mróz.

Wy poetyczni i wasi poeci, lubicie zaludniać ułomnością ludzką niebo i ziemię. Goethe albo Słowacki powiedzieliby niewątpliwie, że to jakiś Sajzmos helleński, przygnieciony skorupą globu, w pogańskiej ślepcocie i zawiści swojej buntuje się przeciw losom, rozpręża i wysadza na światło takie rumowiska. Ja, nędzny samotnik z odartymi skrzydły, nie odgaduję—co prawda — pod stopą moją nie prócz pojęcia ociążałej masy, a nad sobą nic, oprócz pojęcia eteru czy próżnej przestrzeni... Ale choć nie mam, ani waszej fantazyi, ani waszego sposobu czucia, to przecież w obliczu olbrzymów sięgających głowami tam, gdzie oko tylko gwiazdy lub orły spotykać przywykło, w obliczu alpejskiego słońca, które późno, późno wychyla się kiścią złotą z poza potopu dzikich granitów i wczesnie, coraz wczesniej na szczytach przeciwległej warowni umiera, wobec zbiorowych czarów i tęczowych śpiewów arcypięknego świata,—czuję i wiem, że w całym ubóstwie mych prawd i w całym mem z ulud odarcia, jestem tej przyrody bliższym synem, aniżeli wasi poeci, nadewszystko bliższym jej serca, co tętni po mojemu i w mglistych brzaskach, i w konającym słońcu, i w granicie, i w lodzie, i w próżni. To jest jedyna nagroda za wysiłki moje w ciągłym dążeniu do jej prostego serca i do jej prostej prawdy. I dziwnej tej nagrody, niezrozumiałej może dla innych,

nie chciałbym za żadną cenę utracić. Stała mi się ona tem droższą, odkąd zacząłem się o nią obawiać. Zląkłem się nieco o mój świat wyższego gatunku, w który wchodzę, obcując z górami.

Tak, jak ty, przyjaciółko, posiadasz swoje wsie, lasy i łąki, swój ojczysty szmat ziemi, a na nim własne drzewa, trawy, zboża, domy, ludzi, kościoły świętych pamiątek i w to wszystko, jak w nieśmiertelny liść aloesu, owijasz szczelnie swe serce; tak ja, ukrytemi rzutami ducha, przywykłem wytwarzać sobie z niebotyczności gór, falistości morza, z barwności krajobrazów świat wyłączny i własny, którego strzegę zazdrośnie, bo okrywa on mnie i chroni, jak niewidzialna zbroja, bez której byłbym bezbronny, bezdomny i w szlamy najlichsze wmieszany. Jest to rodzaj takiego zaświata, o jakich wy marzycie w ścianach kościołów.

Tak, jak w zaświatach waszych znajduje się wasze szczęście i zbawienie, tak przez mój świat prowadzi droga do zenitów ducha, na których wznoszą się trony zagadkowych i w zagadkę wieczną wiecznie wpatrzonych Sfinksów.

Teraz zaś lękam się o władztwo nad tym światem, wywalczone pracą i nie jedną ofiarą, bo odkąd się mu sprzeniewierzyłem tak haniebnie, jak nigdy przedtem, daremnie usiłuję odzyskać opuszczone królestwo, chociaż udałem się po nie aż tutaj, w tajemię pierwotnych gór. Szermierz mój i jedyny towarzysz pancerny, myśl moja wymaga śnadź dłuższej chwili, by podnieść się z trującego letargu. A przytem, nagromadziło się we mnie tam w dole tyle niespodziewanych sprzeczności, odkrywam w sobie raz po raz tyle spaczonych linii, ciągle jeszcze spotykam w sobie tyle skrajnych niekonsekwencji, że z każdą chwilą czuję coraz naglejszą potrzebę pomocy czy ratunku i niecierpliwość się wzmagają. Oto wieść najgłówniejsza, którą mogę ci teraz donieść o sobie. Czy cię ona obchodzi?

I jedno jeszcze mogłoby cię zająć—dziwna zbieżność naszych dusz odległych. W tej samej może godzinie, kiedy przeraził cię los rybek, słuchających o niebie i wpadających w sieci, przemknęło i mnie przez głowę pytanie: czy obrona przeze mnie droga, na której mam życie przeżyć i utracić, jest prawdziwą? Czy kończy się w ognisku wszelkich początków i końców, czy też gubi się może na jałowych manowcach, jak owa fałszywa ścieżka, którą niedawno dostać się chciałem do lodowego stawu ze Steinberskiej gospody?

Bo właśnie, gdy zbłądziłem w wędrowce po skałach, uderzyła mnie po raz pierwszy możliwość pomyłki. Był to oczywiście przelotny zasiew sceptycyzmu. Wszak nie oślepiły mnie dotąd blaski gwiazd Krasowieckich. A przecież od tego momentu, jak gdyby na odgłos groźnej, acz cichej pobudki, zerwałem się z gnuśnej półjawy,

otrząsając resztki pół sennych marzeń i zaniedbaną myśl swoją otoczywszy tęskliwem ramieniem, wodzę ją odtąd, towarzyszkę wierną, po głazach, po śniegach, kaskadach i patrzę niespokojnie w jej dumne oblicze, czy oczu przed ową wielkością nie mruży?

Tak, ja i myśl moja, razem zamknięci w bezmiernej milkliwości rozrzedzonego powietrza, wśród łoskotu białych lawin, kiedyniekiedy rwących się głucho na wysokościach, mierzymy razem wszystkie gór szczyty i wszystkie otchłanie, a o zmroku wracamy razem do mego szalasu. Jak widzisz, nie jestem sam.

Nieraz ten i ów szczegół, z systemu mych ścisłych wniosków wyjęty, oglądam niestrudzenie a nieufnie na całodziennych włóczęgach, na otwartych skalnych platformach w poszarpanem łożysku lodników, w blaskach jaskrawych i w chmurach. Niespokojny zaś bywam dla tego, że te przelewające się z formy w formę zjawiska światła, przed którymi staję, choć milczące i skrzeple, są często sędziami dla myśli i sąd ich bywa często nieubłagany. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nawet przy naukowym rozbiorze zjawisk, uproszczonych do czystego schematu, zachodzi różnica pomiędzy światem czy bytem rozpatrywanym w ciszy i skupieniu ciasnej pracowni, a światem bezpośrednim, rozokolonym przed nami w świątynię kształtów i kolorów. Wtedy dopiero na purpurowych wybuchach słońce i grzotnem echu lawinowych katastrof, duch nasz ocenia swe siły. Podobne chwile przechodzić musi artysta, jeśli wśród ograniczeń miasta wyśpiewał hymn żywiołowy gór, albo morza, a potem znów znajdzie się na bezdrożach wiecznego śniegu, albo przed majestatem oceanu. Wtedy, wraz z dziełem swem w sercu i w głowie, przynosi on z sobą konieczną bojaźń i nieufność, czy jego własna wyśpiewana twórczość nie padnie w proch przed twórczością realizującej się przyrody?

Z taką samą obawą, z sercem tak samo ściśniętem zapuszczam się i ja teraz w zmierzch odludnych parowów, drę się przez chaszcze cierniste, przez gąszcz splątany pokrzyw i paproci, potykam się o głazy oślizłe od dżdżu wodospadów, wiejących gdzieś niewidzialnie nad stropem z listowia i szpilek... Z takim samym ciężarem złych przeżyć witam i ja nieraz swobodę nadleśnych czubatów, lotność przecznych motyli, rozbujanych po kwiatkach i połyskliwość ich skrzydeł szklanych.

Wtenczas, wypoczywając na kamiennej lub darniowej ławie i ocierając pot z czoła, miewam godziny nieruchomej walki własnej swej myśli z wielką myślą świata i roztrząsam sumienie przed dobą nowej pracy. I wtenczas podnoszą czasem głowę węzowe skręty pytańników: czy duch mój jest istotnie dość wkorzeniony i mocny u podstaw, a dość giętki i rozłożysty w szczegółowych wynikach, by spro-

stać nagromadzonej tu wielości przejawów i ujarzmić je w ogniach poznania? Może się ludzę? Może paść mam ofiarą tych pominiętych czy nierozpoznanych pierwiastków, które przygnały do mnie na skrzydłach losu... z litewskich kniei...

Właśnie wspomniana ścieżka zawodna, ścieżka zaledwie wydeptana przez kozy i halnych pasterzy, rąbkiem wężuchnym rozpięta na połowie wysokości prostopadłych stoków, o tysiąc metrów górująca nad amfiteatrem Alp najwspanialszych, rozciągniętych od Jungfrau do Spalhornu, ta ścieżka jest miejscem rzadkiem i przeze mnie wybranem do rozmyślań nad trudnemi drogami ducha. Czyliż te nastroszone wokół, śpieszące zwartym hufcem pod niebo ciała herosów o ciemnych czołach i hełmach brylantowych, nie są karytydami, godnemi Panteonu, który my, samotnicy ducha, pragniemy wznieść nad światem? Gdzie wśród nich stanowisko moje? Czy dotarłem już tak wysoko, jak śnieżne piuropusze tych hełmów, trzymające wszystko pod sobą, a nad sobą mające już tylko firmament? I czy jestem już tak silny, by z wyżyn zdobytych zarzucić na bezmiar firmamentu sklepienie?

. . . . .

Takie pytania rodzą mi się w mózgu.

Tak w przededniu świeżej, i pewno dozgonnej już pracy, będzie się czasem i troszczyć, ponieważ myśl moja i ta moja praca muszą mi wystarczać na wszystkiek obszar życia i zastępować wszystko, co inni posiadają na ziemi.

Chciałbym zostawić po sobie dzieło myśli wielkie i nowe, gdyż bez niego życie moje poszłoby rzeczywiście na marne.

Lecz inną jeszcze pokładam w tem nadzieję: czuję, że tylko móżół takiej pracy zdoła zasklepić i wyrównać terażniejsze duszy mej rozdarcie, o którym mówisz, że jest poezją duszy. Czy i mnie zaliczasz do owych dębów, rozsianych z rzadka na wodach czarnoziemiu, z konarami wyciągniętymi ku czarownym widmom, w oddali rysującym się na niebie? Ach! jeżeli istotnie mam być w twej myśli takim pośród wód czarnych dębem samotnym, to nie przeczuwasz nawet, jak bardzo ten dąb jest pęknięty! Teraz dopiero, gdy ponownie trącił go zefir twego głosu, poznałem całą głębokość rany. I zaraz zastanowiłem się nad tem, jak różną bywa siła w roślinach i że niekiedy dość byłoby jednej latorośli wiotkiego powoju, aby pień dębu rozdarty uchronić od zguby.

Bo gdyby gałąź powoju, uniesiona wichrem szczerej zwycięskiej tkliwości i nie pomna przeszkód, przemogła zapory i opadła na samotność chorego Atlasa, by mu ramię zawiązać szarfą liliowych kwiatów, Atlas mógłby ocaleć. W powoju mogłaby tkwić siła galilejskich cudów, a ognie piorunów, dla olbrzymów zgubne, zdrząłyby przed liliowością delikatnego kwiatu i spłynęłyby, bez przyniesienia szkody, po wonnej szarfie, w smołę trzęsawisk.

Tak bywa niekiedy, ale tylko w baśni. Dla mnie nawet baśnie cudów nie mają. Latorośle kwietne może tęsknią czasem do posępnych dębów, lecz boją się ciemnic martwej topieli i zwijają wcześniej swe wonne kielichy...

Oto widzisz, co się i mnie zdarzyło po rozmowach naszych. W przededniu pracy zaczynam przemawiać językiem poetów. I kto wie, gdybym spróbował, możebym śpiewać potrafił jeszcze świetniej, aniżeli niejeden z tamtych... Postarałbym się wzbogacić świętą księgę galilejskich metafor, przypowieścią o sennym dębie wśród czarnej przestrzeni, któremu śniły się liliowe kwiaty, poczem rozdarły go iskrzyste pioruny, a kwiaty dumaly dalej na bezpiecznym brzegu... I dodałbym, że dąb ten jest szczęśliwy... bo rozdarła go poetyczność. Czy zasklepi się połowiąca go rana? nie wiem, czy wróci mu dawna potęga, urągająca piorunom? nie wiem; ale blizna, już wiem, ta zostanie.

Napisałbym tedy przypowieść, a tobie radziłbym włączyć ją jako nową kartę do księgi, której na imię: Księga Miłości. Bo omdlewanie Atlasów i ich połowiczność, a treść owej księgi wielbionej — to jedno...

. . . . .

Na przekór wszystkim wysileniom i trwogom—jestem omdlały.

Więc i to jeszcze stało mi się przez rozmowy nasze, że w przededniu odrodzenia dla pracy, marząco, czy sennie omdleвам. Mówiłem i wyznawałem ci o sobie już tak wiele, że to jeszcze wyznam... Myśl pobudzam do pracy i walki — a popadam często w niepokonaną omdlałość woli i myśli. W słonecznych blaskach i nad krawędzią przepaści, pragnę paść na mchy... albo na północne wrzosa, — nie czując w sobie ani tchnienia myśli—śnić, marzyć i czekać cudu...

Czekać białego oblicza, jasnych źrenic, płomiennych ust — pochylonej nade mną z uśmiechem słodkim wieszczki gwiazdziarki,

urzeczonej przez ziemię, oderwanej od nieba, z firmamentów gwiazdzystych, lecz chłodnych i smutnych przez upał słońca i przez widmo szczęścia aż do mnie przywiezionej Beatryczy.

## XXII.

*Krasowce.*

Więc i w twej myśli powstało zapytanie: czy droga, na której masz życie przeżyć, jest prawdziwą!

Czy obchodzą mię zwierzenia twoje?

Gdziekolwiek jestem i cokolwiek czynię...

Widzę cię „w górskim szalecie“, gdy szczegół wyjęty z systemu swych ścisłych wniosków, oglądasz niestrudzenie, a nieufnie...“

Zaczynam dowiadywać się, jak przeraża i jak boli zachwianie się ufnosci w stałość gruntu, na którym opierają się stopy.

Widzę cię, gdy samotny, z widmem dumnej myśli: „zapuszczasz się w zmierzch parowów, drzesz się przez chaszczę cierniste...“

Niel tak nie powinno być, aby ludzie chadzali po zmierzchach i chaszczach, sami jedni! Nie powinno być, bo bywają momenty życia, w których samotność a zguba, to jedno.

Masz słuszość. Zranione Atlasy, aby nie zginać, potrzebują przewiązek z powoju. I nie tylko one. Każdemu sercu życie winno przepaskę z kwiatów i gdy nie wywiąże się z tego długu, serce swego spłacać życiu nie ma siły...

Na język codzienny tak się to tłómaczy: człowiek jest takim stworzeniem, które potrzebuje koniecznie, aby mu do napoju życia wlaną była kropla miodu, bo inaczej otruć się może tym napojem. Słabe, śmieszne stworzenie! Śmieszne, bo przecież wie o tem, że to jest tylko chwilka, tu, na ziemi, jedna krótka chwilka, która przeleci, jak dmuchnięcie wiatru. A przecież i na tę chwilkę krótką, marną... śmieszne stworzenie! I jakże słabe — nawet wtedy, kiedy mniema, że jest silne, może najwięcej wtedy.

Wszystko to jest bezładne, niejasne, dla mnie samej, niejasne, a razem wzięte, prowadzi do zapytania, którego chciej wysłuchać uważnie i odpowiedzieć na nie koniecznie, do takiego zapytania: co uczułyś i uczynił, gdyby cię doszła wieść, że dobre i piękne dziecko z Giessbach dotąd jeszcze nie zapomniało o tobie i według słów



twych: „roni wiele ze swej życiowej energii na jałowe emanacje duszy, zwane wspomnieniem“? Co uczułyś i uczynił na wieść, że ta dusza kobieca jest stokroć jeszcze czystsza, głębsza, podnioslejsza, niż przez krótki moment wpatrywania się w nią poznać mogłeś, i że w tej duszy obraz wyniesiony z Giessbach nie pobladł, nie zamarł, lecz wbrew szronom rozłączenia kwitnie na podobieństwo róży, codziennie skrapianej żywymi perłami żalu?

Nie składaj tego pytania na szali rzeczy drobnych i nieważnych. Wniknij w nie i w samego siebie i odpowiedz rychło... rychło. Czekam!

---

### XXIII.

*Murren.*

W dzień beznadziejnej szarugi, w taki dzień, jak dzisiejszy, powiodłbym ją ścieżką urwistą ku lodowym wodom i pokazał Walhalę szczytów ściętych lodem, na których świat się kończy. I na amfiteatrze granitowych progów, idących coraz wyżej w mróz i świetność Gigantów, na bujnej zieleni zacisznych podnóży, na załamanej linii lasów wspiętych nad szorstkie stromizny, na spróchniałych zwłokach drzew najzuchwalszych, sterczących w biernej niesławie opodal sinych lodników, pokazałbym jej rozum i nierozum życia; śmieszna rolę drzew, wysyłanych przez życie w krainę martwoty, po bezpłodną zgubę!

Nie tam kwitnąć kwiatkom wiosennym!

Nie takie wątłe kwiatki współczuć mogą niebezpieczeństwu smiałków, toczących zapasy z orkanem. Im krzewić się przystoi na grzędzie rodzinnej, w drżącym lęku przed nadaremnm szaleństwem. A pouczywszy je w ten sposób, odesłałbym to dziecko na kępy szmaragdowe, gdzie konwalie i narcyzy wonią młodości i białością łona kwitną wszystkim — co siania się przy ziemi.

Tak bym uczynił.

A cobym uczuł?

Czy mamy czas skracać dyalogami wyjętymi z epoki Sądów Miłości? Zabawa to niegodna mnie i ciebie.

. . . . .

Dopóki znajdowałem się na terenie Idalii, w dusznych wyziewach instynktów ludzkich, pędziły mnie ustawiczne tęsknoty ku owym wyższym, coraz dalszym i coraz wspanialszym sceneryom Alp, które ukazywały mi się poza ruchliwą falą obłoczystych zasłon, w półmroku pełnym tajemnic. Wszystko tam było jakies niedopowiedziane. Ułamki zatartych, to znów odsłaniających się widoków nabierały przez mgłę oddalenia wspaniałości i grozy. Wyobrażałem sobie, że zostawiwszy Aar i to, co się z nim łączy, za siódmą górą i w siódmej otchłani, dostanę się do obiecaney krainy oczyszczenia, wolności i spokoju. Tak nęcącym, fantastycznym i wielkim wydawał mi się ten świat alpejski jeszcze w czasie krótkich wycieczek, odbywanych z Interlaken na sąsiednie szczyty. Uderzały mnie obrazy, dla oka niezwykłe, a każdy wydawał się nowym. Szeregi białych piramid, świecące na nieboskłonie w liniach nieogarniętych jeszcze i nieskończonych, zlewały się w ogólną, chaotyczną epopeję mas ciężkich, szturmujących błękity.

Teraz świat ten znam. Owa jednolita, ogromna i ogromnie posępna góra, ujrzana pewnej księżycowej nocy ławicą śniadą i długą, a potem zatracona zupełnie w srebrnych roztopach mgły, to punkt alpinistyczny, sławny bardzo, ale taki, jak inne, z gospodą, lunetą, z kupnym hejnałem pasterskiego rogu, i szczyt ten bez trudu zdobyłem z Wengen.

Tamten grzebień zębaty, w brunatne i cisawe centki, podobny do profilu smoka leżącego na straży przed Jungfrau, to niższy Czuggen i cielsko tej samej głowicy. Owa perspektywa najdalsza, zasunięta najbardziej w głąb, pomiędzy grzbiety wschodnich i zachodnich łańcuchów, pełna zwykle obłoków gęstych, dymnych i nieprawdopodobnie przepastnych, zdawała się kryć przestrzenie bez końca i bez miary. Dziś, chociaż sina mżytość przedjesiennych tumanów ją nalewa po brzegi, wiadome mi są przecież postać jej i granice. Znam i oglądam zblizka wszystko to, co jawiło mi się przedtem oderwane od ziemi, jak kontur powietrzny, albo jako plama, lub tylko jako cień bladej, padający od niewidzialnych kształtów, utopionych w niebie, na melancholiję obłoków, mdlejących w poniżeniu. I wiem, że wszędzie znajdę to samo, powtórzone sto razy; te same zawsze drogi kręte, przecinające spadzistość karłowatych lasów, te same nad nimi drewniane gospody, te same przekosy traw cienkich w pierścieniu zwierzających turni, a wyżej jeszcze te same gońce ostatnie zamierającej flory, jasny łomikamień i ciemne jazyony, fiolety nikłych wyżlinów i blade runo rogownic. A ponad wszystkim tem lśni lód.

I chociaż ta przyroda wielką jest i szlachetną, nie daje mi jednak tego, czegom pragnął i czekał. Zawrzały, podniosły się we mnie jakieś fermenty psychiczne i przelewają się dnem duszy. Mroczy się od nich, maleje nawet obraz Jungfrau, zawsze świeżej i pięknej, ale już nie tej, co niegdyś. I na wysokości dwóch tysięcy metrów nad horyzontem morza, płucom mym robi się ciasno i duszno, a mózg przepaja myśl ciężka i cikliwa, że jak z temi górami, tak dzieje się i dzieć się musi z życiem.

Z życiem!

Jeżeli zdarza się jakie piękno wśród życia, jeśli tęsknimy doń, jak do szczęścia, to tylko przez mgłę oddalenia staje się ono pięknem i tylko przez trwanie błyskawicy przyrzeka nam szczęście! Czasem głosy górali, chodzące po przepaściach, wołają na nas donośnie i są nam marą szczęścia... Niekiedy z białej astry, drżącej na piersiach wybranych, wyrasta widmo rajów, spowitych w pienia anielskie... Ale to nic trwałego. To tylko wizye tęsknot nieziszczonych, czcze iskry i błyski ulotne... Na taki moment jeden nadciąga wnet cały ocean płaski, urągliwy, szarzyzną dławiący... Nadciąga huragan popiołów i grzebie wszystkie kwiaty. Zatrzuwa nawet lilię mistyczną, w ciemnicy puszczy świecąca. Znika fata-morgana cudu, i niema Sulamity! Tam, gdzie na firmamencie pałała zorza złota, émi się ohydna tama, wyższa od wierchów najwyższych, zapora niebotyczna, wzniesiona z mrowia ulud..

Lepiej nie szukać meteorów piękna, by nie widzieć ich zgonów bezpłodnych! Lepiej rozwinąć skrzydła silnej woli i odlecieć daleko, daleko!

. . . . .

Gdzież są marzone ideały poetów waszych, kapłanki Odyna, rzucające ojców, ojczyznę i ołtarze ojczystych bożyszcz na skniwienie obcego rycerza?

Gdzie kochanki Irydyonów, z obłąkaniem rozkoszy odchodzące od stołów Pańskich za sercem bluźnierstwami spalonym miłowanego szatana?

Gdzież znaleźć tak królewską wszechwładzę jestestwa i taką siłę kochania? Gdzie szukać świętej krainy, z której płyną purpury i światła takiej miłości?

. . . . .

Miałem nadzieję, że na emporiach życia znajdę jedną, piękną i szlachetną, która zdoła pokochać moją smutną duszę i zapomni dla niej o dawnych kochaniach, i odepchnie kajdany i wzleci, na pierś mi padnie...

Ach, gdyby ta jedna była tak silną i tak szczytną, porwałbym kochankę zdobytą i niósłbym ją na szczyt najbielszej góry, aby pokazywać mój klejnot i śniegom, i gwiazdom, i słońcom!

Alem nie znalazł.

Nadzieja niknie, jak fata-morgana.

Popełniłem śmiertelny grzech marzenia. I znam karę...

A przyszłość moja — ta leży przecież gdzieindziej.

. . . . .

Ciągle jeszcze błąkam się po wyżynach, słucham luku lawin i szeptów kryształowych stopionego śniegu; wciąż jeszcze odwlekam pożegnanie tej surowej ziemi, ze wstrętu przed powrotem w pospolitą wygodę nizin „en bas“...

Żałuję coraz więcej, iż nie mam wielkiej wprawy w zawodzie turysty i że nie mogę bezkarnie zapuścić się w tę sferę gór najdumniejszych, gdzie ziemia spoista i twarda, okuta niezłomnym pancerzem, snuje od wieków sen śmierci i milczenia. Tam, dokąd tylko najśmielsze chmury wzbijać się mogą, jest może niebo pogodne i świeci teraz słońce...

Tutaj, otulił mnie dziś płacz ziemi.

W tej chwili otrzymuję rzecz najmniej spodziewaną: dzieło moje. Okazuje się, że wnet po wyjeździe mym do Szwajcaryi, a więc od wielu już tygodni, opuściło prasę i odszukało mnie dopiero tutaj. Przybywa w porę. Przybywa w czas bolesnego adwentu nowych lotów, w ciemność, w godzinę rozkładczych paroksyzmów duszy, i przeczuwam, że mi będzie lekarstwem.

Oto przecież witam jakiś plon mej pracy, który zostanie po mnie, kiedy ja sam przemienię.

Wichrzyste wierchy Rothhornu widziały, jak zacząłem płonąć do tej największej twórczości. Zamknięte w sercu, przeniosłem szczęśliwie te znicze przez rwącą moc Giessbachu w chłód refleksyjny pra-

cowni, i nie otworzywszy serca żadnym innym promieniem, wyrzeźbiłem z nich kształty, mające przetrwać przyszłość. I dziś, po długiej przerwie, wracają one do mnie w szacie nowej i dla oka mego tak jeszcze obcej, iż zrazu trudno mi poznać, że to twór mój własny. Z ciekawością rozcinam karty i zapomnę może o śniadych zmierzchach, które zaległy przede mną wszystkie strony świata...

Jednak, nad kartami książki wzbija się jeszcze ze śniadego zmierzchu biała twarz, z gwiazdami szafirowych źrenic. W źrenicach tych stoi brylant łzy. Bo tyś miała w oczach łzę, zapytując mię o tę moją eklogę z Giessbach, nie prawdaż? Dla czego zapytujesz? Dla czego o tem mówisz? Gdzie źródło twojej łzy? W sercu? W tej — jak raz powiedziałaś — sprężynie ludzkich czynów i ranie ludzkiej piersi, którą jest serce? Czy tak? Czy nie powiesz mi o tem — nic a nic?

Mów do mnie. Co robisz o tym pięknym, wpełjesiennym już zachodzie słońca?

Jakimi szlakami chodzą myśli twoje i twoje sny? Czy rąbkiem choćby takim, jaki teraz obrzeża złotą nicią chmurę ogromną zachodu, zaczepiają o mnie?

# Idea samodzielności Galicyi a jej finanse.

OD REDAKCYI.

Podając niniejszy artykuł pióra jednego z wybitniejszych pracowników na polu społecznem i politycznym wśród młodszego pokolenia w Galicyi, Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ zastrzega sobie omówienie poruszanej tu sprawy z innego jeszcze punktu widzenia. Jest bowiem sprawa ta nie podrzędnej, ani nieznaczącej treści a względy, które przemawiają za takim, lub innym poglądem, zbyt poważnemi są, aby ich nie przedstawić wszechstronnie i myślą w zastanowieniu głębszem nie zważyć.

Oblicza sprawy tej różne są i znaczeniem nie jednakie. Polityczne, czy to względem wewnętrznych, czy też zewnętrznych warunków innem jest od ekonomicznego, ekonomiczne niezupełnie jednolitem ze społecznem.

Że Galicya choruje, a choruje poważnie, mało kto przeczyć będzie; w doborze środków zaradczych i leczniczych natomiast różnice znaczne będą wobec zapatrywań odmiennych. Czy idea „wyodrębnienia“, idea, w ostatnich czasach głośno podnoszona i omawiana, jest takim *p a n a c e u m*, zdolnem uzdrowić kraj, wyczerpany ekonomicznie, przesądzać nie możemy. Przedewszystkiem trzeba jasno i dokładnie poznać, co wyodrębnienie dobrego przynieść może, w czem zaś może szkodzić, a uczynić to trzeba z myślą spokojną i bezstronną.

Wszak Królestwo Kongresowe po roku 1815 było<sup>!</sup> całkiem „wyodrębnione“, a mimo to przez pierwszą, dłuższą, część swego

istnienia ciężko chorzało ekonomicznie i politycznie, a podniosło się dopiero po roku 1825. Następnie zaś, utraciwszy i wyodrębnienie, i wiele innych rzeczy, Królestwo mimo to podnosiło się, dzięki miejskiej ludności twórczej, napływowi obcych fachowych sił, położeniu geograficznemu, — owym licznym warunkom natury ogólniejszej. Jasnym więc, że tembardziej samo wyodrębnienie nie naprawi zgoła wielu najcięższych niedomagań Galicyi dzisiejszej. A z drugiej strony, jeżeli zaleta wszechstronności tego lekarstwa wątpliwa, to niektóre niebezpieczeństwa nazbyt na nieszczęście widoczne. Wszak „wyodrębnienie“ od kilku lat zaleca najgoręcej stronnictwo najbardziej antysłowiańskie i antypolskie w Radzie Państwa wiedeńskiej — *w s z e c h n i e m c y*, a program Schoenerera jasny: usunąwszy Galicyę, tem konsekwentniej i przemoźniej ukrócić praw austriackim Słowianom. Wyodrębnienie Galicyi — to gałąź, odcięta prawie od osłabionego pnia austriackiego, to przechylenie w Austrii szali na korzyść Niemczyzny, ¶to w dalszem następstwie wzmocnienie ochoty tej Niemczyzny do przyciśnięcia Polaków. W stosunkach zaś wewnętrznych krajowych wyodrębnienie mogłoby snadnie stać się wobec narodowościowego polsko-rusińskiego zatargu zarzewiem walki gorętszej raczej, niż zapewnieniem pokoju. Po zamknięciu wiedeńskiego wentylu bezpieczeństwa, tem większa odpowiedzialność obarczyłaby rząd krajowy za politykę rusińską. W zamkniętej Galicyi mógłby zatarg ten wzmocnić się i rozpierać bardziej natężonem ciśnieniem. A względy zewnętrzne? Wszystko to razem skłania do bardzo rozważnego i wszechstronnego traktowania kwestyi wyodrębnienia Galicyi. Myśl przecież ważną jest i jest na dobie. Dla tego radzi jesteśmy, że możemy dziś w „Bibliotece“ dać głos jednemu z najwybitniejszych jej przedstawicieli i zarazem szczeremu za nią szermierzowi.

---

W końcu grudnia 1902 roku ukazała się broszura prof. Głabińskiego, posła do Rady państwa ze Lwowa, znanego ze swego występu w debacie wschodnio - galicyjskich strejków agrarnych; broszura omawia kwestyę samodzielności Galicji i jej finansów. Na ostatniem dwudniowem posiedzeniu sejmu galicyjskiego, tak przed forum sejmu, jak przed forum bardziej poufnego koła sejmowego, w którem biorą udział wszyscy polscy członkowie sejmu i posłowie Koła polskiego parlamentu wiedeńskiego, tylko dla braku czasu nie poruszono sprawy wyodrębnienia Galicji, sprawy zmiany jej stosunku do Austrii, lub przeobrażenia ustroju państwowego Austrii; kwestya bowiem usamodzielnienia Galicji cieszy się już popularnością wśród wielu wybitnych polityków polskich w Galicji i popularność jej wzrasta. Jednak tak niedawno, jeszcze przed trzema laty, tylko w pewnych młodszych kołach dyskutowano kwestyę wyodrębnienia Galicji. Istniał wprawdzie klub sejmowy, zwany autonomistycznym, do idei rozszerzenia autonomii przyznawało się Koło Polskie. Ale ci wszyscy autonomiści zatracili już dawno program usamodzielnienia Galicji. Ministerjum o marce autonomicznej Taaffe-Dunajewski, które powstało po zaniechaniu secesyi czeskiej w parlamencie, ukołysało czujność autonomistów. Centralizm austriacki robił postępy. Od 1879 roku słynna rezolucya sejmowa z 1878 roku przestała być programem kraju; politycy, co pozostali jej wierni, albo usunęli się od żywszego udziału w życiu parlamentarnem, jak naprzykład książę Jerzy Czartoryski, albo, uznając za błąd polityczny zaniechanie walki o usamodzielnienie Galicji, nie mieli jednak dosyć energii walczyć o dawne hasła. Mam tu na myśli potężny umysł polityczny Fr. Smolki, którego wniosek z 2 marca 1863 roku, żądający dla Galicji takiego stosunku do Austrii, oddany do komisji, wyłonił ową słynną rezolucyę sejmową, która, pomimo wszystkich swych wad, swej kazuistyczności, swej niekonsekwencji i połowiczności, w razie osiągnięcia, byłaby znacznym dorobkiem dla kraju. Fr. Smolka do końca życia był zwolennikiem programu samodzielności kraju, ale w 1879 roku już nie czynił dla tego programu. Galicja zapomniała o swej rezolucyi sejmowej i o wniosku Smolki z 1863 roku. Galicja zapomniała, że w 1868 roku jej najwybitniejsi politycy orzekli: „Stworzony ustawami zasadniczymi w 1867 roku ustrój monarchii nie daje naszemu krajowi tyle ustawodawczej i administracyjnej samodzielności, ileby mu się należało, ze względu na jego zaludnienie, rozległość, historyczno-polityczną przeszłość i odmienną narodowość“.



Polska administracja, obsadzenie wszystkich ważnych posterunków do spraw galicyjskich przez mężów zaufania partyi dominującej w kraju, istnienie sejmu i wydziału krajowego, owych pozorów samorządu, wszystko to zmuszało uznać za całkiem odpowiednie dla kraju, ba! nawet za dobroczynne, te stosunki, jakie ukształtowały się od roku 1839. Jednak fakty zaczęły coraz to głośniej mówić, że tak dalej być nie może, że daje się zauważyć pewien rozkład administracyjny, upadek rzemiosł, niemożność wytworzenia przemysłu, bankructwo średniej własności ziemskiej, wzrost antagonizmów społecznych. Analiza stosunków krajowych zaczęła wykazywać, że przyczyna złego nie tkwi w „panowaniu konserwy“, jak twierdzili demokraci, lub „bezeckiej klikie“ jak wykrzykiwały bardziej radykalne stronnictwa, ale w wadliwej organizacji prawno - państwowych stosunków Galicji.

Piszący te słowa może przyznać się, że on-to przed czterema laty rozpoczął uporczywie w broszurach, a od półtora roku w artykułach dziennikarskich, oraz w większej publikacji, wydanej w 1901 roku pod tytułem: „Wyodrębnienie Galicji“, systematycznie dowodzić, że bez zmiany prawno państwowych warunków Galicji, nie da się podźwignąć ekonomicznie, oraz uzdrowić politycznie tego kraju.

Przez pierwsze dwa lata tej propagandy budziła ona dyskusje tylko wśród młodzieży, ale już latem w 1901 roku stronnictwo ludowe postulat usamodzielnienia Galicji przyjmuje do swego programu. Kwestya jednak propagowana przez „Kuryer Lwowski“ (gazeta, stojąca na gruncie stronnictwa ludowego), nie znajdowała przychylnego odgłosu w prasie galicyjskiej. W 1902 roku w kwietniu, przy uzupełniających wyborach do parlamentu, ze Lwowa stają dwaj kandydaci: prof. Głębiński i ludowiec Stapiński, i obaj rozwijają program usamodzielnienia kraju. Prasa galicyjska, z wyjątkiem „Słowa Polskiego“ (pod nową redakcją) i „Kuryera Lwowskiego“ milczeniem pomijała sprawę wyodrębnienia Galicji, lub odzywała się o niej z przekąsem, jako o fantazyi p. Studnickiego. Dopiero broszura posła Głębińskiego, a bardziej jeszcze jego wpływ osobisty na kolegów poselskich uczynił rzecz kwestyą aktualną. Z posłów parlamentarnych propagatorem usamodzielnienia Galicji jest adwokat Grek, jeden z najzdolniejszych galicyjskich adwokatów, a od niedawna ruchliwy działacz polityczny.

Zanim przejdę do omawiania broszury prof. Głębińskiego, będącej jednym z ogniw rozpoczynającej się akcji politycznej w Galicji, akcji, która może przeobrazić układ stronnictw politycznych w tym kraju, muszę zatrzymać się nad rzuconem poprzednio twierdzeniem,

że rozprzężenie się administracji i ujemne objawy życia ekonomicznego Galicyi są wynikiem jej obecnego stosunku do Austryi.

W usamodzielnionej Galicyi rządząca partya obsadziłaby na mocy swej władzy wszystkie ważniejsze administracyjne posterunki swymi mężami zaufania, ale oni ulegaliby kontroli ciała prawodawczego. W dzisiejszej ona je obsadza wskutek milczącej ugody z rządem za jego popieranie bezwarunkowe, a więc częstokroć kosztem żywotnych interesów kraju, oraz na mocy zaufania, jakie musi wzbudzić u rządu centralnego zarząd galicyjski. Ten ostatni względ niweczy kontrolę ciała prawodawczego nad administracją. Wywlekać sprawy galicyjskie przed forum parlamentu, gdzie mamy tylu nieprzyjaciół, to znaczy podkopywać podstawę, na mocy której trzyma się obsadzanie ważniejszych posterunków dla spraw administracyjnych Galicyi przez mężów zaufania Koła polskiego. Administracja zaś, pozbawiona kontroli ciał prawodawczych, rdzewieje w krajach konstytucyjnych. Ponieważ uzględnienie dążeń kraju zależnem jest od siły jego reprezentacji w Wiedniu, a liczba jest jednym z czynników tej siły, partya rządząca w Galicyi, przeceniając znaczenie tego czynnika, wymaga od starostw i innych urzędów przeprowadzenia swych kandydatów. Wskutek czego nieuchronnie zjawiają się nadużycia wyborcze, robią karierę na urzędzie najmniej skłonni do liczenia się z legalizmem; praktyki wyborcze obniżają etykę administracji. Oto jedna z przyczyn rozprzężenia administracji Galicyi. Następnie nieprzystosowalność ustaw austryackich do stosunków galicyjskich czyni je niewykonalnemi w zwykłych warunkach; przestrzeganie ustawy budowlanej, lub innej, zjawia się tylko jako represya dla tego, kto naraził się administracji. Wszystko to wytwarza nienormalne stosunki w Galicyi.

Teraz co się tyczy ekonomicznych stosunków Galicyi. Mówią często, że kraj ten upada ekonomicznie. Są fakty, które przeczą temu twierdzeniu. Śmiertelność Galicyi stale się zmniejsza, ilość bydła rogatego wzrosła w ostatniem dziesięcioleciu bardziej, niż w poprzednich, ludność miejska wzrasta absolutnie i względnie. Ale wszystkie te pozory, a nawet objawy postępu ekonomicznego, są wywołane tymczasowym czynnikiem. Galicya daje olbrzymią, (jedni obliczają ją na 50, inni na 100 tysięcy) emigrację zarobkową do Niemiec i Ameryki. Stąd przypływ znaczny gotówki, która zasila wsie i miasta galicyjskie. Chłopi zwiększają ilość inwentarza, parcelacya odbywa się na wielką skalę w Galicyi. Zwiększa się rynek wewnętrzny, a więc i handel w miastach. Natomiast widzimy upadek średniej własności ziemskiej, oraz niemożliwość wytworzenia przemysłu w kraju. Śmiertelność przedsiębiorstw galicyjskich jest obecnie większa, niż liczba

ich urodzin. Handel galicyjski nie jest to zdrowy handel; żywi się on tandetą wiedeńską i kupcy galicyjscy są jakby przekupniami firm wiedeńskich, u których dostają towar na kredyt.

Pod względem ilości bankructw Galicya zajmuje pierwsze miejsce w szeregu krajów austriackich. Siła nabywcza (Kaufkraft) kraju nie dorównywa jego potrzebom konsumcyjnym, wymogom stanu warstw średnich. Hurtowni kupcy i fabrykanci Wiednia, Pragi i Berna, zaopatrujący Galicyę w towar, asekurują się faktycznie podwyższeniem cen na towary do Galicyi, tak zw. del credito, bardzo wysokie w naszych warunkach. Ponieważ rynek galicyjski biedny i nie mógłby konsumować drogich produktów, więc zrywają się do Galicyi braki, towar zepsuty przy produkcji albo zleżały.

Obok warstwy kupieckiej Galicya posiada liczny proletaryat handlowy, przeważnie żydowski, zajęty domokrażstwem i wobec przeludnienia panującego w handlu galicyjskim (Galicya ma większy procent handlujących niż przemysłowe Czechy) pozbawiony szans zdobycia lepszych warunków bytu.

Ubogi rynek galicyjski nie sprzyja rozwojowi rzemiosł, gdyż ludzie niezamożni wolą kupować tańsze wyroby masowej produkcji, chociaż nie przystosowane do indywidualnych cech i gustu odbiorców. Rzemiosła galicyjskie nie oparte na tych środkach pomocniczych, jakich dostarcza wielki przemysł przez narzędzia i pół-produkty, nie korzystając z organizacji handlowej na wielką skalę, która zostałaby powołaną do życia przez wielki przemysł, upadają.

Brak przemysłu, brak rozwoju siły konsumcyjnej w miastach, brak więc wewnętrznych rynków, oraz tych sił technicznych, jakich przemysł udziela rolnictwu, wiedzie do upadku rolnictwa, przejawiającego się w upadku średniej własności ziemskiej, gdyż latyfundię przetrzymają najtrudniejsze warunki, a drobna własność zasila się emigracją zarobkową.

Rzecz naturalna, że idea uprzemysłowienia kraju, która miała tak wymownego propagatora, jak Stanisław Szczepanowski, stała się dziś hasłem ogólnie przyjętem, podzielanem przez wszystkie bez wyjątku stronnictwa. Ale cóż dla uprzemysłowienia może uczynić kraj? System podatkowy dyktuje parlament centralny, a on odbija się ujemnie na powstających przedsiębiorstwach galicyjskich, nie rozporządzając swemi podatkami, a tylko dodatkami do podatków. Sejm krajowy nie mógł innych ulg podatkowych zaprowadzić dla przemysłu, jak zwolnienie nowo powstających przedsiębiorstw od dodatków do podatków, co też uczynił ustawami z 1886 i 1893 roku. Rozporządzając minimalnym budżetem 23 milionów koron, o żadnych znaczniejszych inwestycjach nie może Galicya marzyć. Sądził nie-

którzy, sądzą dziś jeszcze demokraci galicyjskiego autoramentu z panem Rutowskim na czele, że rząd centralny siłami finansówemi Austrii wytworzy przemysł Galicji. Zapominają oni, że z punktu widzenia państwa austriackiego jest rzeczą obojętną, gdzie ma się rozwijać przemysł: czy w Czechach, czy w Galicji, czy w krajach alpejskich. Z punktu widzenia krajów najbardziej przemysłowych Dolnej Austrii, Czech i Moraw, z punktu widzenia większości parlamentarnej emancypacja ekonomiczna Galicji nie jest pożądaną.

W 1901 roku rząd wniósł do parlamentu projekt o popieraniu przemysłu na wzór ustawy węgierskiej z 1881 r., zwalniającej od podatku na lat 10 nowo powstałe przedsiębiorstwa w gałęziach przemysłu nowych w państwie. Jej pierwowzór węgierski był płodny w dodatnie następstwa. Ustawa ta nie dałaby nic dla Galicji; w powstawaniu różnych gałęzi przemysłu istniała pewna naturalna kolejność, zależna od warunków technicznych. Analfabetyczna pod względem przemysłowym Galicja nie mogłaby odrazu wytworzyć tych gałęzi produkcji, do jakich jeszcze nie doszły przemysłowe prowincje Austrii. Rzecz więc naturalna, że koło polskie wniosło poprawę do danej ustawy o ulgach dla przedsiębiorstw w nowej gałęzi przemysłu w danym kraju koronnym. Przedstawiciele czeskich i niemieckich okręgów przemysłowych, rozważając w komisji tę ustawę, wprost dziwili się temu, że Galicja chce przestać być rynkiem zbytu na ich produkty i odrzucili absurdalną z punktu ich interesów poprawę koła, zgodzili się nawet na pogrzebanie rzeczonyj ustawy.

Ten fakt wykazał z oczywistością, że utopią jest marzenie, że rząd centralny wytworzy przemysł w Galicji. Był to moment popularyzujący ideę usamodzielnienia Galicji.

Jakiż ma związek z uprzemysłowieniem usamodzielnienie Galicji?

Związek bardzo prosty i oczywisty. Działalność organów krajowych w sprawie uprzemysłowienia Galicji, jak i wszelka akcja na polu przemysłowem, znajdują się w ścisłej zależności od kompetencji tych organów. Ciąmi ochronnemi nie wyczerpuje się to wszystko, co kraj może uczynić dla ochrony przemysłu krajowego. Węgry i Austria posiadają wspólne terytorjum celne na mocy ugody; Węgrzy jednak stwarzają należytą ochronę dla swego przemysłu w swej polityce kolejowej, ustanawiając zniżki taryfowe dla towarów węgierskich, podnosząc niepomierne taryfy kolejowe dla towarów idących z zewnątrz do Węgier. Stąd też wszelkie linie kolejowe, łączące Galicyę z Węgrami, przynoszą nam szkodę, gdyż Galicja nie posiada prawa układania taryfy na głównych kolejach przecinających ją. Przeniesienie zarządu kolei galicyjskich do kraju, przy-

znanie krajowi prawa ustanawiania taryf przewozowych, jest jednym z ważniejszych warunków naszego rozwoju przemysłowego.

Autonomia taryf kolejowych jest w znacznej mierze uwarunkowana autonomią finansów. Drogami nie przez kraj budowanymi, nie przez niego wykupionymi nie może ona rozrządzać dowolnie.

Państwo jest dziś olbrzymim konsumentem różnych wyrobów; zaopatrując się w wyroby krajowe, może przez to przyczynić się do rozwoju swego przemysłu. Węgrzy stosują tę politykę bardzo konsekwentnie; minister oświaty okólnikami nakazuje szkołom wymagać od uczniów kajetów z fabryk węgierskich. Rząd austriacki przy wszelkich dostawach dla armii i urzędów mało uwzględnia galicyjskich producentów; usamodzielnienie kraju miałoby jako swą naturalną konsekwencyę zaopatrywanie się urzędów krajowych w wyroby krajowe.

Następnie cała polityka podatkowa może być przystosowaną do popierania przemysłu przez znaczniejsze ulgi dla przemysłu, przez odpowiednie inwestycje dziś niemożliwe dla Galicji, gdyż mały jej budżet sejmowy uniemożliwia korzystanie ze znaczniejszego kredytu inwestycyjnego.

Przeciwnicy wyodrębnienia występowali z argumentami z innej dziedziny. Najpopularniejszym argumentem przeciwko wyodrębnieniu Galicji było utarte twierdzenie, że Galicya jest krajem biernym. Jeszcze przed kilkunastu laty prof. Kleczyński w swej rozprawie statystycznej o udziale Galicji w budżecie państwa dowodził, że Galicya nie jest krajem biernym, t. j. takim, do którego dokłada Austria. Prof. Głębiński podawał w ciągu lat kilku w „Gazecie Narodowej“ udział Galicji w budżecie państwa i wykazywał, że Galicya daje nadwyżkę ponad wydatki na nią na ogólne cele państwowe. Korzystając z tych zestawień, w swej książce „Wyodrębnienie Galicji“ dowodziłem, że wyodrębnienie jest możliwem, że płacąc podług klucza węgierskiego na wspólne wydatki, nie zwiększylibyśmy podatków krajowych.

Ale praca moja, jakkolwiek względnie poczytna w Galicji, została zamierzana przez całą niemal prasę galicyjską. Broszurę wybitnego posła, który już przed jej napisaniem zdołał pozyskać wielu wybitnych polityków dla idei usamodzielnienia Galicji, musiał spotkać inny los. Dziś w tej broszurze uważane jest za odkrycie, że Galicya nie jest bierna pod względem finansowym, chociaż to odkrycie zawierało się już w poprzednich artykułach prof. Głębińskiego. Wpłynęło na to, że sam tytuł broszury mówił o omawianiu finansów Galicji, oraz przejrzystość rozdziału książki prof. Głębińskiego, omawiającego sprawę finansów Galicji.

„Galicya pokrywa przychodami przez skarb państwa z niej czerpanemi wszystkie wydatki państwowe na rozmaite działy administracyi w kraju łożone, niemniej dostarcza państwu odpowiedniej nadwyżki dochodów służących na utrzymanie wojska w kraju i na inne cele wspólne monarchii i państwa. Więcej ponadto nikt nie może żądać od kraju ekonomicznie słabego i przez szereg dziesiątków lat grabionego. Mianowicie na te cele tylko łożyć mogą bogate kraje przemysłowe, które wraz ze stolicą państwa rozwinęły się jednostronnie, w części kosztem innych zaniedbanych krajów; im więc zawdzięczają swą wyższość ekonomiczną“. Oto zasadnicze twierdzenia broszury prof. Głębińskiego.

„Niektórych powierchowych znawców budżetu austriackiego uderza ta okoliczność, że udział Galicji w przychodach publicznych państwa jest niższym, niż udział jej w niektórych wydatkach na cele administracyi publicznej i z takiej premisy wyprowadzają wniosek o rzekomej bierności finansowej Galicji. Tak np. w r. 1900 dostarczyła Galicya państwu wedle wykazów urzędowych tylko 9.38% ogólnej sumy podatków bezpośrednich, 12.81% podatków konsumcyjnych, 1.3% przychodów z monopolu tytoniu, 10% wpływu z opłat publicznych, natomiast otrzymała na cele administracyi politycznej 24%, na sądownictwo 25%, na oświatę 17%, na budowę wodne 22%, na wyznania 30% ogólnych wydatków państwa w tych działach publicznej administracyi. Zważyć jednak należy, że owa pozorna sprzeczność (pominąwszy nawet zaniedbanie Galicji w innych działach administracyi i jej wyższe przychody z monopolu soli, z dóbr i lasów), pochodzi głównie stąd, że na cele administracyi publicznej może Austria, wskutek olbrzymich wydatków na oprocentowanie i umorzenie swoich długów, stosunkowo tylko skromną część swoich przychodów przeznaczyć. Na rok 1903 preliminuje rząd ogół wydatków w sumie 1,726, 225,436 koron, z tej sumy jednak na trzy główne działy administracyi wewnętrznej, mianowicie: na ministerstwo spraw wewnętrznych, oświaty i wyznań, tudzież sprawiedliwości, kwotę łączną 218,379,578 koron, na długi państwowe zaś 359,207,624 koron. Galicya więc ma stosunkowo do swego obszaru (26%) i ludności (28%), mniejszy udział w wydatkach na cele publiczne, niż inne kraje, i udział ten, jak obaczymy, w całej pełni pokrywa swemi przychodami, ale nie może przyczynić się odpowiednio do umarzania długów państwowych. Zresztą przy podobnych obliczeniach wypada jeszcze uwzględnić, że życie ekonomiczne całego państwa w pewnej mierze skupia się w stolicy państwa i w wielkich centrach przemysłowych, które też wykazują w części tylko formalnie wyższy udział w przy-

chodach publicznych, albowiem zawdzięczają go ludności wszystkich krajów. Wiedeń, dzięki skupieniu w nim przemysłu i handlu, dyrekcji zakładów transportowych, bankowych, asekuracyjnych i innych, wykazuje wraz z Austryą niższą udział o wysokości 35% państwowych podatków bezpośrednich, wyższy niż Galicya i Czechy razem wzięte: rozsądny ekonomista nie będzie jednak twierdził, że podatki tak znaczne płać sami mieszkańcy Wiednia, gdyż są one tylko w kasach publicznych wiedeńskich płacone, a płyną milionowymi żyłami z całego obszaru państwowego. Tak samo wykazują kraje przemysłowe stosunkowo zbyt wysoki udział w przychodach podatków konsumcyjnych nie tylko dlatego, że mają ludność zamożniejszą, mającą większą siłę konsumcyjną i podatkową, ale także dzięki systemowi wybierania podatków konsumcyjnych w miejscach produkcji, np. w fabrykach cukru, w browarach piwnych, w rafineriach nafty, a nie wprost od konsumentów, na których podatek spada w cenie produktów“.

Tu dodajmy, że Węgry w 1899 r. uzyskiwały rozkład podatków pośrednich, wypłacanych bądź w Austrii, bądź w Węgrzech na mocy klucza kombinacyjnego tych państw.

„Powierzchny pogląd na sumaryczny wykaz czystych przychodów i wydatków państwa w Galicyi w pięcioletnim okresie 1896—1900 dowodzi, że w przychodach objawia się w tym czasie w naszym kraju, jak w całym państwie, tylko powolny i nieznaczny wzrost, natomiast w wydatkach, głównie dzięki nowej procedurze cywilnej i podwyższeniu płac urzędników, jest od r. 1898 progresja o wiele wyższa, wskutek czego nadwyżka skarbowa ponad wydatki w wykazie wyszczególnione znacznie zmalała. Nadwyżka ta wynosiła oprócz przychodu z cel, przeznaczonego na wydatki wspólne całej monarchii, wedle naszego zestawienia w roku 1896, 63.7 miliona, w r. 1897 zaś 65 milionów koron, gdy w 1898 zmalała do 57, w r. 1899 do 58, w r. 1900 do 54 milionów koron. Jest to zjawisko w Austrii powszechne i ono tłómaczy nam szybkie pogorszenie się finansów austriackich w ostatnich latach. Nie należy więc z tego faktu wysnuwać wniosku, iż można liczyć na dalszy wzrost wydatków państwowych w Galicyi bez większego obciążenia kraju, albowiem najbliższa przyszłość przyniesie nam obok nowego podatku od biletów kolejowych wyższe cła skarbowe i ochronne, prawdopodobnie też wyższe taryfy kolejowe i inne ciężary gwoli przywróceniu równowagi finansowej“.

„Nadwyżka dochodów ponad wydatki jest przedewszystkiem przeznaczoną na pokrycie rzeczywistych wydatków,łożonych w kra-

ju, a w wykazach powyższych pominiętych, mianowicie na wydatki i subwencje centralne, na subwencje państwa dla kolei lokalnych (wynosiły one w roku 1900 — 843,120 koron) na pożyczki i zaliczki, w razie klęsk elementarnych (w roku 1900 koron 970,000), na inwestycje kolejowe, tudzież na utrzymanie w kraju wojska i obrony krajowej. Dopiero reszta dochodu, jaka pozostanie, może być użyta jako udział kraju w wydatkach państwa na listę cywilną, na urzędy i trybunały centralne, tudzież na umorzenie długów publicznych.

Chcąc ową rzeczywistą nadwyżkę obliczyć, możemy najpierw tytułem wspomnianych centralnych subwencji i inwestycji kolejowych przyjąć rocznie kwotę przeciętną do czterech milionów koron, wskutek czego owe nadwyżki zmniejszą się do 59.7, 61, 53, 54 i 50 milionów koron (oprócz ceł) w owych pięciu latach.

Wydatki na wojsko i inne sprawy wspólne monarchii pokrywa przedewszystkiem dochód z ceł. Dochód ten, jak świadczą wykazane w zestawieniu cyfry, jest w Galicji zmienny i stosunkowo nieznaczny, albowiem kraj nasz sprowadza towary kolonialne i inne przedmioty głównie z Zachodu, lub z krajów zachodnich Austrii, opłacone więc przez nas cło w cenie towarów wykazanem jest rachunkowo na rzecz innych krajów monarchii, ponieważ jednak cło nie wystarcza na wspólne potrzeby monarchii, rozdziela się niedobór wedle znanego ugodzonego klucza pomiędzy Austryę i Węgry. W okresie 1896 — 1900 przedstawiały się wydatki na cele wspólne monarchii w sposób następujący:

Rok	Wydatki w milionach koron	Dochód z ceł	Reszta cłem nie pokryta	Udział oprócz ceł	
				Austrii	Węgier
1896	312.2	107.0	205.2	140.8	64.4
1897	342.6	124.6	218.0	149.6	68.4
1898	367.8	142.2	225.6	154.8	70.8
1899	360.2	117.0	243.2	166.8	76.4
1900	344.6	125.0	219.6	144.1	76.4

Podług zestawień prof. Głębińskiego wynosiły przychody państwa w Galicji:



			Wydatki		Netto	
W 1896 roku	109,472,264	koron	45,771,268	koron	43,777,268	koron
„ 1897	„ 110,218,676	„	45,149,864	„	45,159,364	„
„ 1898	„ 108,887,319	„	51,694,683	„	51,694,683	„
„ 1890	„ 112,017,737	„	53,918,063	„	53,918,063	„
„ 1900	„ 120,666,540	„	62,385,631	„	62,385,631	„

Zatrzymując się nad kwestyą udziału Galicyi we wspólnych wydatkach, prof. Głębiński słusznie twierdzi, że nie mogą one być rozdzielane na kraje w sposób mechaniczny, gdyż służą na utrzymanie i zabezpieczenie całego organizmu państwowego; jedyną odpowiednią podstawą tych wydatków jest siła ekonomiczna i finansowa kraju. „Ani obszar, ani stan liczebny załogi, ani ludność, nie mogą za podstawę służyć, a to tem bardziej, że kraj ludny i rolniczy, jakim jest Galicya, dostarcza państwu stosunkowo najwięcej i najsilniejszych żołnierzy, przez co w czasie pokoju traci najlepsze siły robocze, w czasie wojny zaś, jako kraj graniczny, jest narażony na spustoszenie i obfity podatek krwi, nie ma więc w tym stopniu korzyści z armii, co kraje inne. Okoliczność, że stała załoga w kraju nieco podnosi jego siłę ekonomiczną i podatkową, jest zbyt błahą wobec wspomnianych niekorzyści, tudzież wobec groźnej konkurencji węgierskiej, jaką liczne koleje strategiczne, z Węgier do Galicyi wiodące, na nasz kraj sprowadziły.

Podobnie zatem, jak w ugodzie Austrii z Węgrami co do pokrywania wspólnych kosztów, możnaby najstosowniej oznaczyć udział Galicyi w wydatkach wspólnych monarchii tylko na podstawie siły podatkowej kraju, to jest w stosunku do Austrii na 10 — do 13%.

Oprócz wojska mamy w Austrii i Galicyi obronę krajową, utrzymywaną wyłącznie ze skarbu państwa austriackiego. Wydatki na utrzymanie obrony krajowej i kosztu rekrutacyi w Austrii wynosiły w okresie 1896 — 1900 następujące kwoty w milionach koron:

rok 1896	rok 1897	rok 1898	rok 1899	rok 1900
30,321.6	31,583.7	32,940.2	34,679.8	37,837.1

Z tych kwot przypadają na Galicyę, wedle siły podatkowej, około 10 — 13%, to jest około 3 — 4 milionów koron rocznie, wedle stosunku obszaru do Austrii 26%, czyli 8 — 9 milionów koron, wedle stosunku ludności zaś niespełna 28% ogólnego wydatku.

Razem udział Galicji w wydatkach na cele wspólne monarchii, tudzież na obronę krajową, wynosiły, wedle siły podatkowej w kraju, w okresie 1896 — 1900, około 20 milionów koron rocznie; przyjmując zaś wydatek na cele wspólne monarchii wedle siły podatkowej; wydatek zaś na obronę kraju wedle ludności kraju, wynosiły wydatek Galicji na te cele około 25 milionów koron rocznie.

Potrącając tę kwotę 25 milionów koron tytułem wydatków na cele wspólne monarchii, 4 miliony zaś tytułem wydatków centralnych nie wyszczególnionych, subwencji i inwestycji kolejowych rocznie, otrzymalibyśmy w roku 1896 kwotę 34.7, w roku 1897 kwotę 36.0, w roku 1898 kwotę 28.2, w roku 1899 kwotę 29.1, w roku 1900 zaś kwotę 25.1 milionów koron, jako nadwyżki dochodów kraju, przeznaczone na wydatki centralne, na udział w liście cywilnej i umorzenie długów państwa, przed innymi długów kolei strategicznych. Im wyższy udział Galicji przyjmujemy na wydatki wspólne, tem mniejsza będzie ta nadwyżka dochodów, na inne cele centralne przeznaczona.

W zestawieniu powyższem nie uwzględniono zupełnie kolei skarbowych w Galicji. Zarząd kolei skarbowych w Austrii jest pod względem finansowym zupełnie scentralizowany, i z tego powodu nie można oznaczyć udziału naszego kraju w wydatkach i przychodach z tego źródła. Wobec tego jednak, że koleje skarbowe zajmują w budżecie austriackim poważne miejsce i że w Galicji wszystkie koleje, nawet lokalne, są w zarządzie państwa, musimy stan finansowy kolei skarbowych bliżej rozpatrzyć.

W tej kwestyi pisaliśmy między innymi w swojej książce: „Wyodrębnienie Galicji“: Nie ustawa zasadnicza, ale każdorazowa ugoda określa kwotę, jaką na wspólne wydatki Austro-Węgier ponoszą obie połowy monarchii. Udział Węgier we wspólnych wydatkach nie określa się na mocy ilościowego stosunku ludności tego państwa do ludności Austrii. W 1890 roku Węgry liczyły 17.4 mil., Austriya 23.9 milionów mieszkańców. Rozkład wspólnych wydatków ustanowił się podług innego klucza. Rozkład wspólnych wydatków w związkach państw i państwach związkowych ustanawia się na podstawie sił finansowych jednostek państwowych, do związku należących. Udział Austrii na wspólne wydatki wynosi 68%, Węgier 32%. Jeżeli-

by jednak udział Galicji w ogólnych wydatkach, stanowiących budżet delegacji, określono na podstawie ilościowego stosunku jej ludności do ludności Węgier, Galicja płaciłaby około 13% budżetu delegacji, nie zwiększając kwoty, dziś przez nią na ogólne potrzeby państwa płaconej" („Wyodrębnienie Galicji“, str. 28).

Kwestyę dochodów z kolei żelaznych omawia wyczerpująco prof. Głębiński na str. 20: „Pomimo to koleje państwowe w Austrii, a zwłaszcza w Galicji, nie przedstawiają tak bardzo lichego interesu finansowego, jak głosi ogólna opinia, niemniej rząd w corocznych preliminarzach. W ostatnim preliminarzu budżetu na rok 1903 dochodzi rząd do wniosku, że do kosztów zarządu kolei państwowych i prywatnych, w zarząd rządowy objętych, dołoży w roku 1903 z ogólnych funduszków skarbowych 60,890,084 korony. Wedle zestawienia rządowego bowiem, dają owe koleje czystą przewyżkę przychodów ponad koszta ruchu w preliminowanej kwocie 61,481,560 koron; gdy jednak wydatki na oprocentowanie i umorzenie kapitału inwestowanego w kolejach wynoszą 122,371,644 koron, okazuje się niedobór w powyższej kwocie, wyż 60 milionów koron wynoszący. Dochód z kolei skarbowych wystarcza, wedle rządowego obliczenia, zaledwie na oprocentowanie w wysokości 2.35% kapitału nakładowego, do końca roku 1903 w sumie 2,620,601,793 koron obliczonego, pomimo dokonanej częściowej amortyzacji“.

Prof. Głębiński stwierdza, że rząd nie korzystnie przedstawia dochody kolei skarbowych w stosunku wyłożonego na nie kapitału i oblicza, że dopłata z funduszków ogólnych skarbowych do kosztów umorzenia kapitału kolei wynosi przeszło 60 mil. koron. Błąd ten, jak mówi prof. Głębiński, tkwi głównie w tem, że wysokość kapitału kolejowego oblicza rząd zbyt wysoko, wliczając do tego kapitału wszelkie późniejsze wkłady, czyli „inwestycje“, a nadto, nie odkładając żadnych kwot na stopniowe umorzenie rachunkowego kapitału tych kolei, które z własnych dochodów i zapasów skarbowych państwa były zbudowane. W wykazie, dołączonym do preliminarza budżetowego na rok 1903, dodaje rząd do kapitału budowy kolei własnych, tudzież do kapitału, objętego w czasie wykupna kolei prywatnych, jeszcze łączną sumę 441,319,123 koron tytułem rozmaitych późniejszych inwestycji. Niektóre późniejsze wkłady, naprzykład budowa drugiego toru, są niewątpliwie inwestycjami w znaczeniu ekonomicznem, wiele innych jednak, naprzykład odnawianie i rozszerzanie dworców i innych budynków, zakupno lokomotyw i wagonów itp. nie są właściwemi inwestycjami, lecz są prostem następstwem naturalnego zużywania się majątku kolejowego i rozwoju ruchu osobowe-

go i towarowego. Trudno też wytłómaczyć, dlaczego kapitał, wyłożony w gotówce na budowę kolei państwowych, w kwocie 459,142,905 koron, tudzież na dalsze inwestycje, nie jest w rachunkowości państwowej, w myśl ogólnych zasad, umarzanym, lecz rośnie w nieskończoności wskutek coraz nowych inwestycji. Tylko ten kapitał kolejowy umarza się stopniowo w wykazach państwowych, który państwo objęło w formie priorytetów i akcji, umarżanych wedle stałego planu umorzenia.

W każdym razie galicyjskie koleje państwowe nie są ciężarem dla skarbu państwa i zapewne nie byłyby nim dla kraju. Zresztą nawet ewentualne niedobory kolei strategicznych nie mogłyby spadać wyłącznie na rachunek Galicyi, skoro zbudowano je w interesie obrony całej monarchii, z pominięciem interesów ekonomicznych kraju, a w części nawet wbrew tym interesom. Z drugiej jednak strony kraj nie mógłby liczyć na zyski z kolei skarbowych w razie ich objęcia w zarząd własny, ponieważ racjonalna polityka taryfowa, uwzględniająca potrzeby swojskiej produkcji i konsumpcji, ma dla społecznego rozwoju o wiele donioślejsze znaczenie, niż fiskalne, kramarskie stanowisko w zarządzie kolejowym.

Ponieważ Galicya posiada w swojej sieci kolejowej najbardziej intratną kolej Karola-Ludwika i koleje lokalne galicyjskie są intratniejsze, niż w innych krajach, a koleje strategiczne wykazują wprawdzie słaby ruch, ale za to koszta ich utrzymania i obsługi są bardzo ograniczone, prof. Głębiński twierdzi, że koleje skarbowe galicyjskie są intratniejsze, niż w innych krajach, i pokrywają w zupełności koszta ruchu i umorzenia kapitału zakładowego, nie są więc dziś ciężarem dla skarbu i nie mogą być ciężarem dla kraju, gdyby je objął.

Nie ulega wątpliwości, że współczesna Galicya pod względem finansowym przedstawia więcej warunków do samoistnego bytu, niż Królestwo kongresowe z 1815 roku, wyniszczone wojnami i rekwizycjami. Punktem wyjścia dla Królestwa stała się polityka ekonomiczna, zdążająca do rozwoju przemysłu; na cele przemysłowe wydawał skarb Królestwa od roku 1822 po 100,000 rubli rocznie, utworzył Bank Polski zbawiennego wpływu w dziejach naszego przemysłu i t. d. Rok 1830 zastał finanse Królestwa w stanie świetnym.

Budżet Węgier i dobrobyt tego kraju, popierającego przemysł, wzrasta szybciej, niż budżet austriacki, i z każdą ugodą podnosi się budżet Węgier we wspólnym budżecie delegacji.

Związek polityki przemysłowej z rozwojem finansów wyrokuje z góry o kierunku polityki ekonomicznej usamodzielnionej Galicyi.

Polityka ta będzie musiała dążyć do wytworzenia przemysłu, gdyż to stałoby się koniecznością państwową, leżałoby w interesie tych wszystkich, którzy, biorąc udział we władzy państwowej, byłiby zainteresowani w utrzymaniu bytu jego i wzmacnianiu jego potęgi.

System finansowy każdego kraju powinien zależeć od jego struktury ekonomicznej, od jego ekonomicznego rozwoju. Widzimy, że kantony szwajcarskie, zacofane ekonomicznie, jak Uri, Schwyz, Unterwalden, posiadają inny system finansowy, niż Zurychski, Berneński, lub Bazylejski. Pierwsze opierają swe podatki na oszacowaniu majątku podatnika, gdyż, wobec nierozwiniętej wymiany, nie mogłyby ściśle oznaczyć wysokości dochodu — ostatnie, na podatku dochodowym.

Kraje, mniej rozwinięte pod względem ekonomicznym, dla otrzymania dochodów na swe potrzeby publiczne uciekają się do systemu monopolów, dzięki którym, nie obciążając zbyt wiele ludności, można osiągać zadawalniające finansowe rezultaty. Państwa Bałkańskie i Rosya zmuszone są zaprowadzać różne monopole. Wysoko rozwinięta pod względem ekonomicznym Szwajcarya, nie chcąc, dzięki demokratyczności swej formy politycznej, obciążać ludności podatkami pośrednimi, zaprowadziła u siebie monopol wódczany.

System krajowych monopolów byłby dla Galicji tem odpowiedniejszy, że ułatwiłby akcyę uprzemysłowienia kraju. Monopol w wytwarzaniu, lub hurtownej sprzedaży danego artykułu, daje rządowi możność popierania różnych gałęzi przemysłu, dostarczających materiału, lub narzędzi, niezbędnych dla jego produkcji.

Samodzielność finansowa Galicji, jako podstawa akcyi nad podźwignięciem ekonomicznem kraju, musi być głównym postulatem jej polityki.

Do najważniejszych też postulatów musi należeć odpowiedzialność rządu krajowego przed sejmem, konsygnowanie uchwał sejmowych przez rząd krajowy.

Charakter i funkcye organów galicyjskich do załatwiania wspólnych spraw dla całej monarchii, oraz organ tych wspólnych spraw jest rzeczą drugorzędną, o ile za wspólne sprawy uważane będą sprawy polityki zagranicznej, traktatów handlowych, wojska, to jest te sprawy, które obecnie załatwia delegacya austro-węgierska.

Powiadają niektórzy, że sprawa usamodzielnienia Galicji — to utopia. Ale czyż nie większą jest utopią sądzić, że konstytucya z 1867 roku, określająca dzisiejszy stosunek Galicji do Austrii, pozostanie w obecnym stopniu swego centralizmu nienaruszoną, ta konstytucya, której nie uznawali do 1879 roku Czesi, przeciw której protestowali Polacy, którą obiecywał zmienić cesarz Franciszek Józef

w 1871 r., dając obietnicę wyodrębnienia Czech, ta konstytucya, wywołująca przewlekły kryzys austriacki istniejący od chwili powstania jej, od kilku lat przybierający ostrą formę. Coraz słuszniejszymi wydają się słowa Fr. Smolki: „Austria, nie skonsoliduje się, aż się otwarcie nie przyzna do federalizmu“.

WL. STUDNICKI.

# Dramat i opera.

---

W repertuarze dramatycznym ujawnia się dążność odzwierciedlenia na deskach teatralnych twórczości polskich pisarzy. W ciągu ubiegłego kwartału jedna tylko zjawiła się na scenie teatru Rozmaitości sztuka, z obcej wzięta literatury; zresztą dramat i komedia żywiły się przez ten czas produkcją oryginalną. Czy się pożywiły i co z tej produkcji wchłonął w siebie na dłużej repertuar—to inna sprawa; to rzecz najprzód krytycznego zmysłu reżyseryi, a potem, częściej, niżby się zdawało, decydujących fantazyj publiczności. Te fantazyje objawiały się ostatnimi czasy w rozmaitych niespodzianych zwrotach. „Małe dusze“ p. Stefana Krzywoszewskiego, spotkawszy się najprzód z obojętnością widzów, stały się później, dzięki polemice dziennikarskiej, „sztuką kasową“; „Jadzia“ Aleksandra Mańkowskiego, mimo niewątpliwe i niepoślednie zalety w rysunku figur, krótko żyła na scenie; powodzenie „Ostatniego spotkania“ A. Kisielewskiego nie jest na wysokości sukcesu pierwszej części tej dylogii: „W sieci“; natomiast tłómaczony dramat Sudermanna „Niech żyje życie!“, bez względu na burzliwe swoje za granicą anteryora, udał się w Warszawie świetnie. Rozejrzyjmyż się, ile w tem wszystkim było istotnego kaprysu, ile umotywowanego sądu.

## I.

Wspomniałem z powodu „Małych dusz“ o polemice dziennikarskiej; w tej wzmiance mieści się już cząstka oceny utworu. Sztuka bez wartości nie wywołuje starcia zdań ani wśród widzów, ani w krytyce, i jeżeli co mogło tu dziwić, to nie sam fakt starcia, ale występujące w niem polemiczne motywy. Sprzeczano się o rzeczy, nie potrzebujące dowodzenia, rozprawiano o zasadach, nie mogących ulegać dyskusyi; oświeclano rozmaicie stosunki jasne, jak dzień. Cóż to zna-

czyło? Skąd to wynikło? Czy może autor sam spojrzął na swój światek z niedość wyraźnego, z niedość przedmiotowego punktu widzenia; może dla ludzi i wypadków źle wykreślił perspektywę teatralną? Sądzę, że nie; zdaje mi się, że to nieporozumienie dwojaki ma powód: pewną faktyczną wyjątkowość sytuacji, stanowiącej oś sztuki i wsparcie tej osi na wązkiej krawędzi zagadnienia sumieniowego—między bagnem a przepaścią.

Sytuację „Małych dusz“ wysnuł p. Krzywoszewski z tematu „finansowego“, który w dobie panowania pieniądza zaczyna wkraczać i na naszą scenę. Widzieliśmy już sprzeniewierzenie, traktowane tragicznie przez p. Konczyńskiego w „Otchłani“; w świetle komicznem przedstawił je Stanisław Kozłowski w „Luminarzu“; p. Krzywoszewski stanął w pośrodku na gruncie lekko dramatycznym, w atmosferze bowiem, wytworzonej nad nim przez „małe dusze“ na seryo do dramatu przyjść nie może—i to właśnie stanowi psychologię sfery, gdzie się rozgrywa akcja tego połowicznego dramatu. Akcja to zresztą niebogata ani w kolizye ani nawet w efektowne zwroty, bó przed końcem pierwszego aktu wiemy już, że pan Karol Belski, dyrektor banku, sprzeniewierzył kilkakroćstotysięcy rubli. Oskarżył się o to sam przed rodziną i blizkimi ze skrucłą grzesznika, pojmującego, że wymówką o słabości dla „swoich“, których chciał cudzym kosztem podtrzymywać na stopie zbytowej, nie zapełni otchłani brudu otwartej pod swemi stopami; gotów więc jest na wszystko, nawet na haniebny rozgłos kryminalnej sprawy, byleby wyjść z tej matni oczyszczonym odcierpianą karą. I to jest owa niezwykła sytuacja, która swoją niezwykłością zaskoczyła poniekąd widza, mało u nas w tym kierunku przygotowanego. Za granicą życie dostarcza teatrowi gotowego materiału; u nas teatr wyprzedza jeszcze życie akademickimi do pewnego stopnia tematami. Dla publiczności, przyzwyczajonej przez prasę europejską do innego typu „przeniewierców“, ściganych przez góry i morza listami gończymi, sytuacja, zarówno jak figura, wydaje się nową; ale gdyby nawet jedna i druga wyrażać miały dodatniejszy niż gdzieindziej układ stosunków ekonomiczno-społecznych i względnie wyższy poziom etyki publicznej, to w teatrze obie mają jedną wielką niedogodność: osadzają odrazu sztukę na miejscu i przebieg jej dalszy czynią zależnym od ewolucyi w charakterach; a możeż być mowa o charakterach tam, gdzie są „małe dusze“? Z konieczności zatem wszystko poruszać się musi w próżni psychologicznej, gdzie występuje rodzaj ostrego *cas de conscience* z całą bezwzględnością takich krańcowych dylematów.

Co począć: dać się zamknąć w więzieniu, albo zostać nadal złodziejem? O te dwa pytania tłucze się sumienie Belskiego, niby ptak



watły o ściany pneumatycznego dzwonu, gdzie mu coraz bardziej tchu brakuje. A ściany są przezroczyste i do złudzenia naśladują ów szklany dom, w którym sprawiedliwi radziby żyć pod kontrolą całego świata. Wszystko tam bardzo ładnie wygląda: czyny ludzkie dobierają sobie najefektowniejsze dla swoich gestów tło życiowe, moralność pięknie się fałduje na duszach, przybierających estetyczne pozy. — tylko niema czem oddychać. Widocznie pan Krzywoszewski bacznie się tej sferze przypatrywał, przyrodzony jej bowiem koloryt banalności potrafił ożywić delikatnymi odcieniami i charakterystykę nicości urozmaicić z rzetelnym darem spostrzegawczym, co mu ułatwiło przedstawienie w akcji drugim roboty „małych dusz“, prowadzonej w celu nawrócenia Bełskiego na drogę „zdrowego rozsądku“. Czy sumienie lekkoducha wytrwa w powziętem męskim postanowieniu, czy też dorobi sobie według „praktycznych wskazówek“ elastyczną kazuistykę, dopasowaną do sytuacji? W tem najwyraźniej tkwi idea utworu; a jednak tak dalece nie chciano jej tam dopatrzeć, że *cas de conscience* Bełskiego przeszło z jego duszy do publicznej dyskusji i zastanawiano się nad tem zupełnie seryo: czy czasem jedynego rozwiązania sumieniowej zagadki nie trzeba szukać w bankierskiej filozofii pana Meergolda, „biorącego życie takim, jakim jest“ i doradzającego *status quo ante*? Spór przenosił gdzieindziej punkt ciężkości sztuki, jak gdyby w niej istotnie chodziło nie o dramat wewnętrzny w duszy Bełskiego, ale o towarzyską nietykalność firmy bankowej. Oczywiście, w takim oświetleniu zupełnie inaczej wyglądałby cały akt drugi ze swoją kolizją opinii publicznej, reprezentowanej przez nieugiętego członka rady zarządzającej, Szejnera, z hipokryzją jednych, tchórzostwem drugich, lub obojętnością innych, i że zwycięstwo „małych dusz“ miałoby znaczenie tryumfu prawdziwej mądrości życiowej, — gdyby nie postacie zwyciężonych. Dość spojrzeć na fizyognomię Korabiewiczza, radcy prawnego banku, który nie podaje ręki koledze szkolnemu, Bełskiemu, wchodzącemu w transakcyę z sumieniem; dość rzucić okiem na zbolalą twarz Kasi Korabiewiczówny, narzeczonej syna Bełskiego, która, zawiódłszy się w swej idealnej wierze w zacność oblubieńca, przerażona haniebnym jego kompromisem, zwraca mu pierścionek; dość posłuchać, co ci ludzie mówią do siebie w decydujących momentach, ażeby tam właśnie odczuć pulsujące etyczne tętno sztuki. Więc choć żona Bełskiego odmówiła ofiary z osobistego majątku na uregulowanie deficytu i znalazła obrońców w krytyce; choć pan dyrektor został dyrektorem banku, który okradł, i wszyscy koło niego udają, że wierzą w pokrycie jego tentyemą sumy ukradzionej, a taka kombinacya wydała się temu i owemu rozumnym ratunkiem; — publiczność dotarła w końcu do rdze-

nia rzeczy i odgadła w sztuce p. Krzywoszewskiego cichy, dyskretny dramat środowiska, z rozkładowym wpływem „małych dusz“ na duszę, która nie była zapewne większą, ale może była trochę lepszą. To „może“ bardzo delikatnie uplastycznione jest przed samem zapadnięciem zasłony w krótkiej scenie, zgrabnie z kontrastów wysnutej. U Belskich wszystko powróciło do dawnego trybu, jak gdyby przed chwilą nie wisiała katastrofa nad całą częścią domu. Ten sam zblazowany flirtowicz-lawiruje między matką i córką; te same salonowe *potins* fruują od pufu do pufu między opiekuńczymi ekranami; ta sama w przyległym pokoju rozpoczyna się partya z inwentarskim hrabią, który równą godność zachowuje przy zielonem suknie stołu sesyjnego i stolika wintowego; tylko gdzieś zdala od uspokojonych po błotnej kąpieli finansów, Belski i Meergoldowa w odosobnionej rozmowie przypominają sobie spędzone razem młode lata, na usta obojga ciśnie się wyznanie dawnej, niewiadomo dlaczego tajonej wzajemnie miłości; i oboje przychodzą do przekonania, że było w nich jednak coś dobrego, tylko zanikło w perfumowanym świątku „małych dusz“. To światełko, wstecz rzucone, z tej samej trysło iskierki, która błyskawicą na chwilę rozjaśniła Belskiemu tajniki jego sumienia. Po błyskawicy nie uderzył piorun czynu, burza nie oczyściła moralnej atmosfery, bo „małe dusze“, pozamykawszy szczelnie drzwi i okna, zabezpieczyły się od wszelkich etycznych przeciągów. Bądź co bądź, widzieliśmy przez mgnienie oka sumienie, w którym błysnęło i zagrzmiało. Bylibyśmy je lepiej może zobaczyli, gdyby mu inną na scenie dano postać. Rola Belskiego, cała w półtonach i półcieniach, nie przypadła do talentu p. Leszczyńskiego, lubującego się w dużych syntetycznych rysach, p. Żelazowski byłby się z niej świetnie wywiązał. Pan Frenkiel, jako Meergold, pomnożył bogaty swój repertuar doskonałą kreacją; p. Rapacki, w roli Korabiewicza, stworzył figurę, drgającą plastyką; pani Lüdowa obroniła umiejętnie tezę autora o lepszych duszach, gasnących w atmosferze, pozbawionej idealnych pierwiastków; pani Trapszo-Krywultowa poetycznie wcieliła ten pierwiastek; p. Śliwicki subtelnie grał rolę utajonego karyerowicza.

Dla czego „Jadzia“ Aleksandra Mańkowskiego tak prędko znikła z afisza? Bo ze sfery szlacheckiej, obywatelskiej, ziemiańskiej, wyszła za prostego młynarza, który niegdyś służywał u jej rodziców. Publiczność w to nie wierzy, a gdyby nawet wierzyła, — nie lubi tego. Może to „niechęć“ jest trochę spóźnionem w dobie, kiedy artyści i poeci żenią się z chłopkami, a panny „z towarzystwa“ stają u ołtarza z góralami zakopiańskimi. Spóźnione, czy nie — liczyć się z niem widocznie wypadnie, skoro to, co się dzieje na świecie, nie

znajduje sympaty na scenie. Publiczność snać nie dość szybko podąży za najnowszymi prądami, a „Jadzia“ je wyprzedziła; — stąd nieporozumienie.

I z innego jeszcze powodu. Trzeba było może przygotować jakoś widza do tego *salto mortale*. Wiem, że w tej chwili dopuściłem się dwoistej herezy: względem modernistycznych ideałów, wobec których staję ze słynnem *art des préparations* na stanowisku Sarceyowskiej peruki, i względem autora, który może mi powiedzieć, że miał właśnie na myśli *salto mortale*, a przygotowanie zepsułoby mu, oczywiście, efekt zamierzonej niespodzianki.

Zapewne,—tylko że efekt chybił i tak i wolno przypuszczać, iż chybił, dzięki lukom w psychologii bohaterki, zapełnionym niezbyt szczęśliwie... fizyologią. W intencji autora Jadzia może lubi Antoniego młynarza, może go ocenia, jak się lubiło i ceniło na wsi wiernego oficjalistę; w danym razie potrafi nawet ująć się za nim; ale czego innego chyba potrzeba kobiecie, żeby człowieka wybrała na ojca swoich dzieci. I tu źródło nieporozumienia. Ta panna nakarna wałowała się wprawdzie dużo i nie jedno już wie; otóż dla tego właśnie, że niejedno wie, trudno przypuścić, żeby to instynktowne macierzyństwo przedstawiało się jej w zupełnem oderwaniu od związanego z niem ojcowstwa, które, o ile nie jest „lubą przemocą“, staje się po prostu gwałtem nad innymi instynktami kobiety. W najlepszym razie, kiedy uczucia drzemią — milczą i zmysły, a wtedy można uwierzyć w pannę, która chce pójść za mąż, nie dla tego, żeby mieć męża, ale dla tego, że marzy o dzieciach, zdrowych, rumianych, że chce rodzić, karmić, niańczyć, pieścić, że czuje, iż takie jej przeznaczenie, że ją Pan Bóg stworzył na to, żeby była matką. Tymczasem Jadzia w innej zupełnie znajduje się sytuacji. Kochała, kochała tak szczerze i silnie, że była gotową, wbrew woli matki i perswazyi brata, wyjść za człowieka, który pracą wywalczyłby musiał być dla ufundowanej bez podstaw materyalnych rodziny. Traf zrządził, że opór otaczających, jakkolwiek motywowany raczej golizną Gucia Łosowskiego, niż marnym jego charakterem, ustrzegł Jadzię od nieszczęścia; a kiedy karyerowicz, zamiarkowawszy, że niema w tym stosunku materyału na kawalerski romansik, zaprzedał się bogatej żydówce, otworzyły się dziewczynie oczy, ale otwarła się jednocześnie i rana w sercu, krwawiąca i wtedy jeszcze, gdy rodzina, marząca dla niej o bogatej i arystokratycznej „partyi“, popycha Jadzię w sędziwe objęcia hrabiego Drzewińskiego, skąd wyrwał ją w porę odruch fizycznego wstrętu. Czy ta rana przestała krwawić, czy ten odruch nie objawia się wobec młynarza Antoniego, z którym Jadzię nie zgola łączyć nie może, prócz przeświadczenia, że się odda uczciwemu czło-

wiekowi? czy przestało protestować serce w imię niezaspokojonych pragnień miłości; czy uciszył się temperament i doszedł do stanu spokoju, w którym można rozważnie porównywać kandydata starego i chorego z młodym i zdrowym, i z rozbijającą naiwnością stanąć na gruncie doboru płciowego? Na te wszystkie nierozstrzygnięte pytania, znajdujemy w sztuce Mańkowskiego jedną tylko, prawie ubocznie daną odpowiedź: Jadzia „musiała“ tak postąpić, bo w domu coraz większa bieda, bo rządy w nim objęła gadzina bratowa, trawiona histeryą władzy i z wysokości wniesionej fortuny traktująca jak intruzów matkę i siostrę ujarzmionego pieniędzmi męża. Można się o istotę tego musu sprzeczać, raz jednak przyjęty i silniej uzasadniony, oparłby owo *salto mortale* na motywie poświęcenia w sposób więcej przekonywający, niż napomknięcie w I, II i ostatnim akcie o aspiracjach macierzyńskich Jadzi. Nie uczynił tego Aleksander Mańkowski i naraził swoją Jadzię na posądzenia, które i jej samej krzywdę wyrządziły i odwróciły niesłusznie uwagę widzów od całego otoczenia bohaterki, rysowanego śmiało i plastycznie. Warto było doprawdy przypatrzeć się i tej pani Rojewskiej, regulującej w domu cały tryb życia do tego, co powie „hrabina Sydonia“ i sprzedającej córkę starcowi, w zupełnie szczerem przekonaniu, że jej zapewnia szczęście; i temu Lolowi, którego sobie za miliony kupiła na męża chuda, zwiędła romantyczka; i temu wreszcie hrabiemu Drzewińskiemu, zapominającemu, że nawet dla takich, jak on, marcowych kawalerów, marzec nie trwa dłużej, niż dla wszystkich. Warto było... ale zabrakło czasu. *Die Todten reiten schnell*, i dobrze jeszcze, że artyści zdążyli tak korzystnie zaprezentować się w „Jadzi“, zwłaszcza pani Przybyłko-Potocka, która w roli tytułowej godziła umiejętnie kłócące się z sobą różnorodne pierwiastki indywidualności bohaterki, w czem jej doskonale dopomagali pp. Rapacki, Wolski, Nowicki, Wostrowski, wraz z paniami: Żółkowską i Bogusławską.

Twórczość pana Jana Augusta Kisielewskiego była już w „Bibliotece“ przedmiotem obszernej charakterystyki. Dziś, gdy wypada ocenić utwór autora „Karykatur“ i „W sieci“, odegrany niedawno na scenie teatru Rozmaitości, nie mamy nic do dodania do tej charakterystyki. Chyba że to właśnie będzie jednym więcej rysem, przez czas dorzuconym, a dającym wiele do myślenia. Pan Kisielewski nic nowego od dość dawna nie napisał—bo za nowość nie można uważać „Ostatniego spotkania“, stanowiącego drugą część „wesołego dramatu“, którego tytuł „W sieci“ streszczać ma dla obu części, w jednej książce wydrukowanych, ideę przewodnią sztuki. Długie stosunkowo milczenie talentu po pierwszym jego tak szczerem przemówieniu, nasuwa mimowoli refleksy ogólniejszej natury, zwłaszcza

jeżeli się to milczenie rozważy w związku ze środowiskiem, które talentowi pierwszych do twórczości dostarczyło bodźców. Wyszły one ze świata fermentów myślowych i uczuciowych, dały życie ludziom, stworzyły rzeczy, wypadki, sceny, sytuacje i cały przebieg akcji dramatycznej upodobniły do krążenia nowych soków po młodych pędach, wystrzelających wiosną z żywiołową siłą, swobodnie, dziko, pod parciem natury, obojętnej na to, czy ta wybijała, niczem nie okiełznana, szalenie rozwichrzona wegetacja temperamentów i umysłów ułoży się według prawidłowych linii szpalerów, klombów, kwietników strzyżonego ogrodu, który nazywa się społeczeństwem. Kotłowało się tam i kipiało od prądów, haseł, zapragnień, pożądań, a zwłaszcza od protestu dusz, sposobiących się do heroicznych zapasów z filisterstwem, rozpanoszonem we wszystkich stosunkach ustroju społecznego. Wyglądano tam ciągle epokowej doby „burzy i wrzenia“, śledzono migotanie wieszczych błyskawic, zapowiadających wielkie twory poezji, muzyki, malarstwa i rzeźby; roilo się od spodziewanych twórców, którzy je z duszy swojej na jaw wydobyć mieli--i na to wszystko zapadła kurtyna. Nastal antrakt w teatrze i na świecie. Tu i tam pretendenci do korony i berła w królestwie sztuki przyglądali się sobie za kulisami i wzajemnie podziwiali swoje aktorskie zdolności; scena stała się zwierciadłem życia, a życie reprodukcją sceny. I trwała ta pauza dość długo; pan Kisielewski zdawał się czekać na to, co zrobią jego bohaterowie, a publiczność czekała na dzieło pana Kisielewskiego. Tymczasem autor „Karykatur“ poprzestał na zaprodukowaniu niegranego u nas dotąd „Ostatniego spotkania“.

Co to znaczy? Czyżby pan Kisielewski nie miał już publiczności nic więcej do powiedzenia; czyżby osobliwsza jego w międzyaktach wycieczka do Japonii była aktem rozpaczyny poety, który już tylko z egzotycznych źródeł umie czerpać natchnienie; czy to może nowe potrącenie sceptycznej struny, dźwięczącej już w „Karykaturach“, jak na to w swoim czasie zwróciłem uwagę?

Dużoby za tem ostatniem przypuszczeniem przemawiało. Jest w końcowym obrazie „Ostatniego spotkania“ rozmowa dwóch geniuszów bez teki z głównym bohaterem dramatu „W sieci“, Boreńskim, która, w związku z okrzykiem Relskiego w *Karykaturach*: „za długo już wam pozowałem“, ciśniętym w twarz blaznującym dekadentom, wygląda jak uśmiech lekkiej ironii na ustach melancholika. Są też pewne światła, rzucone na *hauptideistera* Rolewskiego i na „szaloną Julkę“, które zdają się jeszcze silniej akcentować ten uśmiech poety.

„Ostatnie spotkanie“ jest, jak wiadomo, podtytułem tylko w dyptyku, noszącym nazwę: „W sieci“. Sieć to rozciągliwa; więziła

Julkę Chomińską, kiedy była panną na wydaniu, pętami nieznośnych stosunków rodzinnych; krępuje ją teraz, jeżeli wierzyć jej biadaniom więzami małżeńskimi, wpijającemi jej się coraz bardziej w dusze. Bo nie zapominajmy, że tu o duszę przedewszystkiem chodzi, o tę duszę, którą w domu rodziców „mordowano“, a którą teraz mąż dobija. Jak się z nią obchodzono w domu, widzieliśmy w części pierwszej: despotyzm familijny, wyjaskrawiony kontrastem z artystyczno-literacką cyganeryą, przedstawił Julkę Chomińską w oświeceniu, motywującym dramat jej zaślubin z obojętnym człowiekiem. Szalona Julka wyszła za filistra Rolewskiego dla tego tylko że jej przyrzekł wszelką swobodę w uprawianiu ukochanej sztuki. I dotrzymał przyrzeczenia. Pani Rolewska może malować ile jej się podoba i co się podoba. A jednak za podniesieniem zasłony widzimy ją przed rozpoczętym obrazem, rzucającą ruchem zniechęcenia paletę i pędzle ze słowami: „nie mogę“, a później kiereszującą zawzięcie płótno nożyczkami. Dla czego? Skąd niemoc talentu, jeżeli był, skoro nikt już rozwojowi jego nie staje na przeszkodzie? Odpowiedź: „atmosfera domowa zabija talent“, byłaby jedynie racjonalną i decydującą, gdyby ją dała istota, o której duszy wiedzielibyśmy coś więcej, prócz tego, że ją w ekstazę wprawia „Szał“ Podkowińskiego. Ale nie wiemy. W dwóch częściach dramatu niema ani jednego takiego rysu charakterystycznego w postaci Julki, któryby jej dał tytuł do dopominania się o wyjątkową jakąś w domu atmosferę, a z „Ostatniego spotkania“ wolno nawet wnieść, że ta zbuntowana dusza nie jest ani inteligencyą, ani sercem, że zatem aspiracye jej nie wybiegają poza atmosferę, w której szwargot pracowni i knajpy popisuje się na temat sztuki swoją studencką tężyzną. Dowiodła tego zresztą bohaterka, zakończywszy dawną, panięńską jeszcze sielankę z Jurkiem Bożeńskim w tinglu, przy butelce szampa-na, w maskaradowym kostiumie i w nastroju, w którym dusza Julki okazuje się tem, czem jest istotnie — dreszczem fizyologicznym. Była nim, doznając „lubieżnej męki“ na widok malowidła Podkowińskiego; była nim, gdy Julka, wpijając usta w usta narzeczonego, którego nie kochała, kurczyła, „jak dzika kocica“ wszystkie palce na jego obnażonym do pozowania ramieniu; była nim przez miodowe miesiące, o których Rolewski z lubością wspomina; była nim aż do histeryi, kiedy malarka opowiadając Stasi o wrażeniu, jakie na niej w szesnastym roku życia wywarł Siebel w operze Guonoda, i zachwycając się wypukłemi piersiami przebranej po męsku śpiewaczki, dodała: „a taki miała uśmiech, że gdybym była mogła, a miała pod ręką, skoczyłabym i wbiłabym jej sztylet—tu—tu—tu--gdzie obojczyk“; będzie wreszcie owa dusza w objęciach Boreńskiego tym dreszczem, w którym zbiegają się ostatecznie wszystkie jej do sztuki aspiracye.

I dla tego owo: „ty mnie nie rozumiesz, nie rozumiałeś mię nigdy, tymnie nigdy nie zrozumiesz“—skierowane przez Julkę do męża, tak banalnie brzmi w jej ustach i w charakterze Rolewskiej żadnego nie znajduje komentarza; dla tego głupiemu, ale poczciwemu filistrowi zdarza się powiedzieć takie przekonywające słowa:

— Ja także mam duszę, która czuje. Ty mówisz, że ja nie mam, a ja mówię, że mam. Jaką mam, taką mam — ale mam.

Dla tego wreszcie, kiedy ona woła w uniesieniu: „wszystko jedno, czy ja miałam talent wielki, czy mały — ale to byłam ja“; a on z goryczą tłómaczy rozłam w ich pożyciu: „skąd-że to wszystko?—bo żona jest artystką, a mąż na swoje wielkie, bardzo wielkie nieszczęście, nie jest artystą, nie maluje, nie rysuje, ani wierszy nie pisze, ani należy do teatru“, — to jest w tem coś więcej, prócz powtórzonej już sto razy na scenie sprzeczki małżeńskiej. Tę wrzaskliwą afirmację zakochanego w sobie ja słyszymy wszędzie naokoło siebie, z tą samą w głosie kabotyńską nutą; a słowami Rolewskiego mógłby się odezwać nietylko śmieszny „burżoj“, ale uczony, mędrzec, filozof, od którego pierwsza lepsza histeryczka odwróciłaby się, jak od filistra, za to, że „nie maluje, nie rysuje, ani wierszy nie pisze, ani należy do teatru“, streszczając mimowiednie dzisiejsze artystyczne *credo*, w pogardliwej konkluzji: „świat dzieli się na artystów i filistrów; duszą świata jest sztuka, a ta dusza w nas tylko mieszka: poza nami nie ma nic“.

Nie możemy przypuścić, ażeby i dla pana Kisielewskiego „poza nimi nie było nic“; żeby całokształt życia skupiał się dłań w majaczeniach chorobliwego egotyzmu; żeby to, co się w tych majaczeniach sztuką nazywa, miało dla niego ogarniać *sub specie aeternitatis* wszystkie duszy ludzkiej tajniki, obejmować wszystkie cele i zagadnienia życiowe; żeby Julka Chomińska i Jurek Boreński, byli jedynymi bohaterami, którymi zajmować się warto. Od takiej wyłączoneści ocali może p. Kisielewskiego jego uśmiech; tymczasem ratują go ze wszystkich sił artyści teatru Rozmaitości.

A trud to nie mały; nie łatwo przychodzi pani Siemaszkowej zatrzymać dla Julii Rolewskiej tę samą sympatyę widzów, którą potrafiła obudzić dla „szalonej Julki“, i trzeba całego nakładu talentu znakomitej artystki, żeby brutalstwa córki, wypędzającej matkę za drzwi i bachiczny szal kochanki w *café chantant*, nie zraziły publiczności do „duszy“ bohaterki. Pan Frenkiel ma również zadanie nie lada; musi swego filistra z „Sieci“ pokazać w pewnem pogłębieniu psychologicznem, w pewnej kombinacji głupoty z dobrocią, przechylającej ustawicznie rysunek postaci to na jedną, to na drugą stronę; artysta wywiązuje się z tego z doskonałem poczuciem odcieniów i sub-

telności, i tworzy wielce interesującą figurę. Panu Śliwickiemu i pani Przybyłko-Potockiej wypadło powtarzać w drugiej części utworu sceny z pierwszej, dobrze więc złożyło się autorowi, że inna artystka nadaje Stasi Podlipskiej inną fizyognomię. Jurek Boreński jest wprawdzie bohaterem „Ostatniego spotkania“, bo, jako rozgłośny literat, doszedłszy „tam, gdzie być chciał“, przekonał zapewne w uścisku Julię Rolewską, że i ona „jest tam, gdzie być chciała“ — ale dzieje się to zaledwie w paru końcowych scenach; mało więc sposobności ma pan Roland do uzupełnienia charakterystyki poety, dźwigającego się już na wyżyny i zaledwie starczyło mu czasu na wykrzyknięcie głosem suchotniczym: „niech żyje życie!“.

Drugi raz już odzywa się ten okrzyk ze sceny; drugi raz wybiega przy biesiadnym stole w toastowem słowie z piersi, w której niewiele już życia pozostaje; drugi raz streszcza w sobie dramat, rozpoczęty u pana Kisielewskiego, a zakończony u Sudermanna ostatniem spotkaniem. Tylko, z tamtego toastu bije żar skwarne go lata, z tego wieje przejmujące smutkiem tchnienie jesieui; tamten jest filozofią życia, ten jest testamentem śmierci, o tyle tragiczniejszym, że ostatnia wola hrabiny Kellinghausen, konającej od zażytej trucizny, zmusza do życia tych, którzy po jej zgonie żyćby nie chcieli.

Testament rozumieją dobrze mąż hrabiny i dawny jej kochanek, baron Ryszard, z którym stosunek miłosny, krótkotrwały, przerywany przed kilkunastu laty, ujawniony został niespodzianie w druku manewrem stronnicy, w celu skompromitowania partyi zachowawczej i jej przewodnika, co stało się właśnie w chwili, kiedy hrabia Kellinghausen, nakłaniany gorąco przez żonę, gotów był oddać ster stronnictwa w ręce przyjaciela domu. Upiór pogrzebanego dawno wiarołomstwa stanął w tym domu na gruzach miłości i przyjaźni, i zwiastował śmierć czyjąś. Nie może to być śmierć z pojedynku, bo pojedynek, po paszkwilach radykalistów, stwierdziłby tylko rozsiewany przez nich skandal i zachwiał powagę partyi; żeby zaś widmo nie popchnęło Ryszarda do samobójstwa,—umrze winowajczyni, pewna, że śmierć jej powstrzyma kochanka od zamachu na siebie samego, z tych samych przyczyn, z jakich życie jej wstrzymało męża od pojedynku. Wymaga tego honor domu, nietykalność stronnictwa. Więc niech żyje życie; niech żyją przy sobie, czy obok, lub blisko siebie, śmiertelni wrogowie, byle partya ocalała.

Trochę do skomplikowane, trochę sztuczne w tej mozolnej kombinacji polityki, honoru, reminiscencji miłosnych i dramatu zazdrości; ale takie, jakim jest: „Niech żyje życie!“ Sudermanna, byłoby nie gorszą od innych tragedya małżeńską, gdyby nie lęklive zabarwienie jakimś błędym, niepewnym kolorytem modernizmu psy-



chologii kochanków, którzy są już za starzy, żeby mogli być nowymi ludźmi.

Hrabina i baron kochali się, może nawet przez chwilę kochali się pod tem hasłem, które później dla jednego z kochanków ma się stać wyzwaniem śmierci. Ale od tego przemijającego upojenia życiem odziedziczyli ich dwanaście lat spokojnej i solidnej przyjaźni, dobrowolnie przez oboje po miłosnych uniesieniach przyjętej i łagodzącej, tak je mu, jak jej, surowości obowiązków rodzinnych. I nagle, kiedy życie, szukające młodości, popycha córkę hrabiny w objęcia syna barona, kiedy straszne odkrycie, dotykające matkę dziewczęcia i ojca młodzieńca zawiesza nad narzeczonymi groźbę katastrofy, w hrabinie wspomnienia przeszłości rozpalają namiętne żary kobiety, żalującej, że w abnegacyi zatraciła swoje *ja*, a baron, oświadczywszy przed chwilą zdradzonemu przyjacielowi gotowość odpokutowania śmiercią za swoją zdradę, w szale powodzenia parlamentarnego, jak najzwyczajniejszy *Lebemann* ręce do życia wyciąga. Jest w tem coś niewyraźnego, zamąconego, dziwnego u Sudermanna, który, tworząc Magdę w „Gnieździe rodzinnem“, a Maryjkę i Jerzego w „Sobótkach“, dowiódł, że nawet na zwycięstwo nieubłaganych nakazów społecznych nad „wolnemi duszami“ potrafi spojrzeć jasno, przedmiotowo, bezstronnie.

Trzebaż w tych nieudanych rysach widzieć skazy, psujące utwór jego bez ratunku i usprawiedliwiającej surowość krytyki niemieckiej, zarówno jak cały hałas, wywołany polemiką Sudermanna? Zdaje mi się że nie. Poza dwuznaczną pretensjonalnością tytułowego hasła, „Niech żyje życie!“ zajmuje motywami szczerze dramatycznymi, spożytkowanymi z wytrawnością pisarza, celującego w wynajdywaniu dla każdego tematu odpowiedniej optyki teatralnej. W Warszawie dramat Sudermanna doznał lepszego losu niż w ojczyźnie autora, do czego w znacznej mierze przyczyniła się wyborna gra naszych artystów. Pani Marczello-Palińska, traktująca rolę hrabiny z artystycznym skupieniem, na którego tle tem silniej działa na widza namiętny wybuch w akcie czwartym; pan Leszczyński, imponujący, jako mąż, groźnym spokojem, p. Ładnowski, grający bez zarzutu barona, pani Tekla Trapszo i p. Sliwicki, sympatyczni w rolach narzeczonych, interesują dotąd publiczność warszawską, kasującą wyroki berlińskie.

## II.

Gdy tak kształtowanie się w naszych teatrach repertuaru ostatnich trzech miesięcy rozmaitym ulegało fluktuacyom, rozstrzygał się jednocześnie konkurs dramatyczny imienia Henryka Sienkiewicza, którego wynik nie mógł być dla polskich scen obojętnym. O faktycznym rezultacie tego turnieju donieśliśmy już w krótkiej wzmiance kronikarskiej, podającej tytuły czterech nagrodzonych i pięciu odznaczonych utworów — pozostaje nam tylko scharakteryzować zwięźle rysami najznamienniejszymi treść literacką, artystyczną i sceniczną tego plonu.

Sąd konkursowy ocenił najdosadniej poziom twórczości w rozpatrywanym materiale, dzieląc wysoką pierwszą nagrodę na trzy skromniejsze, i motywując to odstępianiem od pierwotnych warunków konkursu szczerze wypowiedzianem zdaniem, że nie spotkał się z utworem bezwzględnie dobrym, zasługującym na projektowaną przez inicjatorów pierwszą nagrodę. Ta „bezwzględność“ nie mogła, oczywiście, w pojęciu sędziów sięgać do jakiegoś niedoścignionego absolutu; oznaczać musiała jednak pewną wyższą summę piękności, zbliżających najbardziej dany utwór do skończonego dzieła sztuki. Otóż takiego dzieła nie było; znalazły się natomiast rzeczy pokrewnej między sobą, prawie jednostopniowej wartości, zrównane przy wynagrodzeniu jednakowemi cyframi, z nieznacznem na korzyść jednego z utworów wyróżnieniem. W cyfrach tych zatem wyraziła się zachęta raczej, niż nagroda, a otwarcie kopert, ujawniające, z małym wyjątkiem, same tylko młode talenty i zdolności, stwierdziło słuszność poglądów sądu konkursowego.

Talenty te i zdolności, jak wogóle cała bezimienna twórczość, występująca w konkursie, o ile, naturalnie, można ją było brać na serio, wyrosła wyłącznie prawie na gruncie realistycznym — i to jest jedna z cech rozstrzygniętego konkursu, zastanawiająca z tego względu, że jeżeli się w nim odbiły prądy ostatniej chwili, to tylko w reakcyi przeciw mistycznemu czadowi, mgłom symbolicznym i paradoksom nietzscheańskim. Przyrodzony nasz liryzm i nieuleczalna, jak się zdawało, naiwność w patrzeniu na życie rzeczywiste, szukały sobie, rzadko zresztą, ujścia w historycznych oddaleniach; ale i tam aktualność wciskała się pod osłoną motywów, w których przeszłość odzywa się nutą teraźniejszości. Podkładem bowiem dziejowym,

a raczej prahistorycznym w tego rodzaju utworach są najczęściej stosunki staro-słowiańskie, lub staro-germańskie, albo też starcie się się z sobą tych dwóch światów w jakiejś zamierzchłej dobie. Ten właśnie zmierzch czasów pozbawia bohaterów takich dramatów niezbędnej dla sceny plastyki, a kontury ich nikłej jeszcze rozplywają się pod działaniem czynników nadprzyrodzonych, które, objawiając się w gotowych szablonach mytologicznych, nie podnieciły widocznie w autorach twórczej fantazyi. Taką jest heroina tragicznej miłości, potępionej przez prawa staro germańskich rodów, poprzedzające wytworzenie się uspołecznionej rodziny; takim jest witeź, bajronizujący w lasach słowiańskich, wśród dekoracyjności obrzędowej, zastępującej akcyę sceniczną; tak wygląda legenda o Wandzie i Rytygierze, wyjaskrawiona demonizmem germańskiej Messaliny, żony Wdalego Walgierza i tak się przedstawia „Orle gniazdo“, wyróżniające się zresztą pewną siłą w charakterystyce bohaterów i polotem w kojarzeniu legendowych podań o Popielu, z baśnią ludową o Madeju i z fantazyą mytów słowiańskich.

Dwa jednak wybitne utwory wyszły z tych sfer wysokich i dalekich, gdzie dzieje syntetyzują się w poezyi lub w filozofii: baśń dramatyczna: „Ananke“ i tragedia historyczna: „Car Dymitr“.

„Ananke — to bóg, co bogiem rządzi“, — tak poucza Zeus kapłana swego, Filandrosa, który „istnienia cud naprózno pragnąc poznać“ i zuchwałą klątwę rzuciwszy na bóstwo, zazdrośnie przed ludźmi kryjące „cel życia i przyczynę“, znalazł się nagle przed obliczem Gromowładnego. Zwątpienie i bluźnierstwo przebaczyć musi kapłanowi Zeus, jedną tylko mający na rozpaczliwe pytania odpowiedź: „ja sam nic o tem nie wiem“, bo, „choć stworzył ten piękny świat, ale płodził to za cudzem rozkazaniem“, rozkazania zaś wychodziły od potężniejszego nad bogi bóstwa — od fatalności, której na imię Ananke. Ona to, gdy spełnione zostało wielkie dzieło stworzenia, rzuciła stwórcy zdradliwe pytanie: „a gdzie jest ten, co moc twą sławić będzie?“. Ananke to, kiedy z jej podszeptów bóg zapragnął mieć w człowieku świadka swej chwały i ukształtował go cudnie własną ręką z marmuru, w który boską tchnął duszę, — zatrula mu radość tworzenia szeptem: „Coś uczynił, wielki Zeusie!“. Przecież ten twór, to prawie równy tobie wielkością bóg, bo duch w nim nieśmiertelny!“. Dzięki niej wreszcie zniszczył Zeus swoje dzieło, i z błota ulepiwszy bałwana, ożywił go swoją myślą:

. . . . . Lecz jako dobre wino  
W nieczysty dzban gdy wlejesz, skwaśnieć musi,

Zatraca smak szlachetny — tak myśl jego  
 Której swój ród bogowie zawdzięczają,  
 Skaziła się w siedlisku onem z błota.

I ziemskie dzieci wpadły w wir poziomych namiętności, w szal żądź dzikich, a grzech wszechwładnie w ich sercach króluje. W poprawę ich, w zbliżenie ku doskonałości tych synów piękna, którzy pod własnymi Zeusa padli piorunami, zwątpił Gromowładny—ale nie wątpi Filandros; niech mu tylko dana będzie potęga bóstwa, a grzeszny lud powróci na drogę cnoty. Daje mu więc Zeus nieśmiertelność, lecz ostrzega:

Gdy padnie cień niechęci na twe serce,  
 Gdy zwątpi duch złamany przeciwnością,  
 Nastąpi śmierć w katuszach srogich — umrzesz,  
 Wśród dzieci twych, zrodzonych z ducha twego,  
 Ufnych w swą moc, jak ty szalonych myślą  
 Tępienia zła.

Pakt z bóstwem zawarty; spełnienie przymierza od człowieka zawisło — i w tem beznadziejna tragedia przeznaczeń ludzkości.

Znalazłszy się w Biopolis, której grozi zagłada w płomieniach, buchających z paszczy smoka, Filandros ofiaruje swą pomoc królowi, a gdy ten legł na czele swoich hufców, utraciwszy przedtem jedyne-go syna, przywdziewa po nim koronę, jako zwycięzca potwora, zbawca grodu, i ze stopni tronu pierwsze królewskie nad przestępcami sprawuje sądy. Wyrok śmierci, wydany przez areopag starców, zapadł nad heterą Lagną i nad dręczycielem poświęconych gołębi Afrodyty — Kakistosem. Ona piękna, jak swobodny kwiat róży, własną krasą dumna, opowiada wizję swoją na wybrzeżu morskiem, gdzie Afrodyta, wyłoniwszy się z fal, dała jej pocałunkiem święcenie na swoją kaplaunkę, — i to jedyna jej obrona; on, śmiało w oczy patrząc zawieszanej nad sobą grozie, chełpi się sprawnością, nabytą w krwawem rzemiośle u rzeźnika, gdzie dreszcze w nim roskoszy budziła ciepła posoka zabitych zwierząt, — i to jedyne jego uczucie wobec śmierci, której się z różnych stron przyglądał. Czy mają zginąć oboje? Nie — Filandros zwalczy złe popędy ludu, jak pokonał był wroga

jego -- smoka i Lagnę weźmie za żonę a Kakistosa uczyni swoim giermkim; na refleksyę zaś kapłana odpowiada słowami:

Kapłanie, milez, — przebaczam!

I powtarzać je będzie coraz częściej, w coraz straszniejszych dla siebie chwilach, choć go kapłan przestrzega, że przebaczenie rozzuchwala, zamiast udoskonalać. „Sługa bogów“, — odpiera król zło-wrogie horoskopy,

Ty jesteś jako ptak, co w dół spogląda  
Z pod nieba stropu, na prastare lasy,  
I widzi tylko drzew zmurszałe wierzchy  
Co wielkość siły zawdzięczają wiekom:  
On jest nieświadom pędów, co od dołu  
Ku światłu pną się i do nieba dążą.

Więc kiedy Lagne, stęskniona w zimnej małżeńskiej lożnicy „za przeszłości czarem“ i wsluchana w nocne szmery, w „szept gorą-cy i dziki śmiech wabiących ją satyrów“, pada w objęcia Kakistosa, któremu również „tchu zabrakło w tem więzieniu bez słońca, ciepła i swobody jasnej“; i gdy ich w namiętym uścisku spostrzegł Filandros, „to Zeusa znak“ mówi król, zapanowawszy nad cierpieniem — i przebacza. Przebacza nawet dzieciobójstwo, popełnione następnie przez oszalałą Lagnę na jedynem ich dziecku za podszeptem Kakistosa, torującego sobie we krwi, przy pomocy podburzonego motłochu, drogę do tronu. Ale gdy zbuntowany giermek stanął na czele wrogów, zdążających pod mury grodu i zniósł hufce, które dostępu tam bronily, nie wytrzymuje tej strasznej próby nawet nieśmiertelność, i pada pod gromem Zeusa wąpiący już sojusznik boga, obalony przedtem przez tych, co, nienawidząc go za jego dobro, nie mogli mu tego przebaczyć, że on im przebaczał. I cała ta baśń dramatyczna, ze swoim tłem starogreckiem, ze swemi przejrzytymi symbolami, wywarłaby może wrażenie inscenizowanych aforyzmów Nietzschego, gdyby w niej odzywała się nuta dionizyjskich upojeń wśród artystycznego kultu życia, i gdyby jednocześnie z nią drgała rozdźwięcz-nie struna ironii wobec sponiewieranych etycznych idealów. Ale tych tonów tam nie słyhać. Lagne, posyłająca bachiczne westchnienia do

Afrodyty w objęciach Kakistosa, który w gajach tej samej Afrodyty, krwawych szukał rozkoszy, uścisk hetery z rzeźnikiem, chuci z okrucieństwem, to symbol potwornych raczej, niż artystycznych instynktów natury ludzkiej. Jeżeli zaś bohater przebaczenia padając, rzuca klątwę, to nie na bezsilność zwyciężonych ideałów, lecz na błoto, z którego człowiek został ulepiony, — umiera, jak zrozpaczony pesymista. Nie naszą rzeczą spierać się z poetą o punkt widzenia; ma go każdy takim, na jakim postawiło go życie, lub osiągnięte badaniem zdobyte ideowe; poprzestajemy zatem na zaznaczeniu, że na tem pesymistycznym podłożu stworzył p. Mieczysław Hertz rzecz piękną, ująwszy w poetyczną syntezę, głęboko pomyślaną i silnie odczuta cały tragizm odwiecznej zagadki bytu.

W realniejszej dziedzinie faktów historycznych, miał i autor „Cara Dymitra“ chwile poezji, tam zwłaszcza, gdzie dzieje, nie wyświetliwszy dotąd pewnych tajemnic, w hipotezach dostarczają poecie twórczego wątku. Kto był Dymitr Samozwaniec i skąd się wziął? Nie wie tego nikt do dziś dnia, a jeżeli ta niepewność posłużyła samym dziejopisom za materiał do kombinacji historyzoficznych, politycznych, publicystycznych, nawet za tendencyjne narzędzie do drażnienia namiętności narodowościowych, to jakże się dziwić dramaturgom, że w niej szukają tragicznych kolizji?

Pan Zerbiłło-Wolaski nie wiele troszczył się o legitymację cara Dymitra, nie nęciło go najnowsze przypuszczenie, że może to był po prostu prawdziwy syn Groźnego; mało się wogóle zajmował domniemaną intrygą, która Samozwanca mogła w tych, lub owych celach dźwignąć na tron Rosyi. W przeciwieństwie do innego podobnej treści utworu konkursowego, pełnego jaskrawych sytuacji, w melodramatycznym przedstawionych świetle — Dymitr występuje w dramacie p. Zerbiłły jako wcielenie idei, wobec czego obojętną była dla autora konieczność postawienia go w znanem już ze sceny otoczeniu, w stosunkach, które historia wnieść musiała nieodzownie do dzieła poezji. Idea więc wytwarza kulminacyjne napięcie w scenie kapitalnej, kiedy wśród zbrojnego starcia wojsk Godunowa i Samozwanca, Dymitr, uosabiający Zachód, spotyka się oko w oko z zachwianym w swej wierze wyobrazicielem Wschodu, Basmanowem, i w namiocie jego waży losy Rosyi między Azyą a Europą. To jest w postaci samozwanca moment historyzoficzny; zajmujący przełom psychologiczny następuje w niej z chwilą, gdy Dymitr, dotychczas wierzący w autentyczność swego monarszego pochodzenia i w prawowitość swego posłannictwa, dowiadyuje się przypadkiem, że jest przystrojoną w carskie szaty maryonetką, przez obce poruszaną ręką i że misya jego, —

to polityczna, na fałszerstwie oparta awantura. Walka w duszy Samozwańca, w której podtrzymuje złamanego Dymitra rosnąca w siłę charakteru Maryna Mniszchówna, zmuszając męża do dokończenia roli na scenie świata, gdzie chciał być bohaterem, nie aktorem, jest niewątpliwie dramatyczną, i tchnienie tej dramatyczności, owiewające czytelnika, uderzy zapewne jeszcze mocniej na widza. Jest to utwór, z którego teatr zdejmie prawdopodobnie kłątwe, ciężącą na tak zwanych *Buchdrammen*.

Po nizinach życia współczesnego stąpa twórczość dzisiejsza pewniejszym niż dawniej krokiem; prąd naturalistyczny zrobił swoje i choć naniósł z sobą dużo błotnistej mułu, dał jej głębiej pod stopy twardszy grunt. Spotykamy na nim ludzi prawie prawdziwych w stosunkach prawie realnych. Nie jest to jeszcze rzeczywistość o czystrych wyrazistych konturach; ale nie jest to już konwencyonalizm naszych epigonów Wiktoryna Sardou; po literacku skombinowane szablony zamierają widocznie, a rodzą się dusze żywe, odpowiadające silnemi oddźwiękami na grę motywów życiowych.

I w tej grze trzeba zwrócić uwagę na niektóre modulacje; pewne motywy przycichły, lub w innem występują zabarwieniu, inne znów silniej się odzywają. Ustąpiło naprzykład z pierwszych planów wiarołomstwo; dramat małżeński stracił podkład specjalnie erotyczny i odgrywa się raczej na gruncie społecznego stosunku mężczyzny do kobiety. Ten zaś stosunek w małżeństwie i poza małżeństwem w nowoczesnych występuje formach, wyrażając się w mniejszej lub większej przewadze nad „skobieconym“ mężczyzną, podźwigniętej do dominującej roli kobiety, która wobec niego skwapliwie zajmuje męskie stanowisko silnej, rwącej się do działania inicjatywy. Objawy takie muszą mieć naturalnie swoją odpowiednią sferę, a jest nią oczywiście literatura, sztuka i cała dziedzina fantazyi, popchniętej dziś w kierunku, zapewniającym kobiecie panowanie przez zmysły mężczyzny. Więc ulubionym bohaterem konkursowych współzawodników był chybiony poeta, nieudany artysta w towarzystwie wyższej od siebie Egeryi lub nawet dwóch Egeryi, jak to przedstawiono w jednym z utworów, który, jakkolwiek pozostał w cieniu, mógłby być poniekąd uważany za typowy. Jedną z Egeryi jest tam mężatka, pielęgnująca, jak się zdaje *pour le bon motif*, bez żadnej dla męża szkody a z niezrozumiałą troskliwością, zupełną impotencją literacką dziennikarza, któremu dyktuje gotowe krytyki; drugą—dzielna, niepodległa dziewczyna, usiłująca wyrwać go z salonowej cieplarni, do twórczego w każdym kierunku życia. Dramatycznym motywem sztuki jest walka pomiędzy temi dwiema kobietami, zakończona ostatecznym upadkiem fizycznym i duchowym niedołągi. Szeregując takich bohate-

rów nie trzymam się bynajmniej skali wynagrodzeń lub odznaczeń konkursowych; chodzi mi tylko o zaakcentowanie objawu w różnych jego stopniach, więc wspomnę nawet o sztuce, również nie objętej kategorią wyróżnionych, gdzie już bez udziału Egeryi odgrywa się, jeżeli tak rzec można, „tragedya niemocy“. Niezdolność do czynu przechodzi tu z ojca na syna, utrwalając w środowisku sztuki stan kontemplacyjnego bezruchu, który, ni stąd ni zowąd przechodzi w wybuchowe paroksyzmy zabójstwa i samobójstwa.

Między temi dwoma krańcowemi biegunami obezwładnienia mężczyzny występują naturalnie odcienia—a najwyraźniej dostrzega się je w nagrodzonym dramacie p. Tadeusza Rittnera, pod tytułem „Maszyna“ i w sztuce odznaczonej p. Emmy Jeleńskiej, pod tytułem „Syn“.

„Maszynę“ nazwaćby można tragedją złudzenia, dręczącego dziś zapatrzone w siebie dusze, które samą żądzą tworzenia, biorą za moc twórczą i odpowiedzialnością za mniemany zanik problematycznego talentu obciążają otoczenie, zewnętrzne warunki, wszystko, prócz rzeczywistej winowajczyni—przyrodzonej niezdolności. Czy Zawrocki miał istotnie talent i jakiej to miary był talent? Tego napewno z przebiegu akcji dramatu wywnioskować nie można, autor bowiem poskąpił swemu bohaterowi znamiennych rysów do uzasadnienia takich wniosków; czytelnikowi czy też widzowi wystarczyć musi wiara Zawrockiego w swój talent, stanowiąca motyw psychiczny, na którym opiera się zasadnicza sytuacja dramatu: powolne konanie tego talentu, w trybach maszyny biurowej, miażdżącej duszę poety. Zawrocki napisał był niegdyś „Prometeusza“ i w prawdziwie poetycznej naiwności ofiarował go Prezydentowi instytucji administracyjnej, gdzie go przewodniczący umieścił przez pamięć na jego ojca, któremu jakieś ważne zawdzięcza przysługi. I te właśnie prometejskie aspiracye urzędnika sceptycznie dlań usposobiły Prezydenta, wyrobiwszy w nim przekonanie, że ma do czynienia z tępym osobnikiem, zdolnym tylko do bezmyślnej roboty. Jest więc Zawrocki targany z jednej strony trwogą o swój talent, graniczącą chwilami ze zwątpieniem, z drugiej dojmującym przeświadczeniem o protekcyjnym do niego stosunku zwierzchnika, który w swoim łaskawie protegowanym podwładnym widzi jedynie materiał na synekurzystę albo na bierne narzędzie do obsługi biurowej. W takich warunkach pozycja poety-urzędnika byłaby nie do zniesienia, gdyby nie miłość, zbliżająca go stopniowo do pani Prezydentowej, odgadującej sercem wyższej kobiety męczarnie chorej duszy. Tej miłości chwyta się rozpaczliwie Zawrocki, jak światła rozjaśniającego szarą atmosferę domu,



gdzie mu ciężko i duszno między matką chorą na serce i siostrą, wątpiącą o jego talencie; wyciąga do niej ręce, jak do jedynej nadziei w odrodzenie twórczości pod wpływem wielkiego uczucia. Złudzenie trwa krótko; zaledwie przeżył pierwsze rozkosze podzielanego uczucia w objęciach ukochanej, która mu się oddała bez zastrzeżeń, już omyłką mu się wydaje miłość, niezdolna do wskrzeszenia talentu, a tymczasem maszyna robi swoje, i chwila, kiedy Zawrocki spostrze-ga się że zaczyna być wzorowym urzędnikiem, jest pierwszym mo-mentem rozstroju umysłowego poety. Do obłądu i samobójstwa nie-daleko: jedno i drugie sprowadza mania prześladowcza, motywowana doskonałym pomysłem, widokiem rodzaju sobowtóra, młodzieńca, który, jak Zawrocki, z aspiracyami artysty został urzędnikiem i w którym obłąkany widzi, niby w zwierciadle, całą swoją dolę zmarnowanego poety. Czy był poetą i czy się zmarnował? Tych pytań dramat nie rozstrzyga; ale musi mieć w sobie wewnętrzną siłę, sko-ro odtworzywszy wybornie całokształt, działanie, i rozpęd maszy-ny, samą potęgą jej funkcyi podnosi znaczenie ofiar, w zetknięciu z nią ginących. W gruncie rzeczy „maszyna“ nie zabija w Zawroc-kim poety, ale go raczej robi poetą; gdyby nie ona niktby może na Zawrockiego nie zwrócił uwagi – i ona też ze swoją świetnie zaob-serwowaną i plastycznie oddaną charakterystyką życia urzędniczego, z kontrastami artystycznie wydobytemi z zestawienia środowisk więcej zapewne zainteresuje w teatrze, aniżeli losy bohatera.

W galeryi „zmarnowanych twórców“ nie brak żonatego a na-wet dietnego. Jest nim bohater sztuki p. Emmy Jeleńskiej p. t. „Syn,“ piszący poezye dekadencckie, podziwiane przez jego jedynaka gimna-zistę, ale lekceważone przez żonę, niewiastę tak poziomo uczciwą, że poeta szukać musi gdzieindziej natchnienia i znajduje je w obcowaniu z kobietą „wyższą“, która wyższość swoją okazuje przedewszyst-kiem w gotowości oddania się bardowi i podniecenia w nim osłabłej twórczości miłosnymi upojeniami. Już wycieczka przyszłych kochan-ków do Wiednia postanowiona. Już Romeo z kufierkiem w ręku po-dąża na dworzec, gdzie go z walizką oczekuje Julia, kiedy cały ten romansowy plan niweczy ukazanie się gimnazysty, rannego w pojedyn-ku z kolegą, którego wyzwał był do walki na stare, zardzewiałe pi-stolety, za posądzenie ojca o miłośćkę za domem. Chłopiec może lu-bować się wierszami erotycznymi modernistów, może rozkoszować się nowymi dreszczami rodzica-poety, ale z oburzeniem odpycha myśl, żeby ten poeta miał piękną poezyę wierszy tłómaczyć na brzydką pro-zę życiową. Wytworzona tym stosunkiem słów do czynów sytuacja, daje materyał do bardzo ładnej, bardzo delikatnie przeprowadzonej

sceny między ojcem i synem, która zmusza do wejścia w siebie niedoszłego grzesznika i powinna była zakończyć sztukę, wyraziwszy przewodnią jej ideę. Niepotrzebny powrót z dworca zawiedzionej Egery i jej skrucha niczem nieuzasadniona są fałszywą nutą w tym końcowym akordzie.

Wręcz odwrotnie dzieje się w „Mocarzu“ p. S. Brzozowskiego: skrucha dość niespodzianie ogarnia mężczyznę, budząc w kobiecie tylko szatańską jakąś ironię. Rodzaj Ibsenowskiej Hildy przesuwają się, jak widmo, w krytycznych momentach działalności publicznej bohatera, ciągnąc go ku sobie, dla tego właśnie, że mocarz i że najrozkoszniejszą mocą byłoby zawładnąć mocarzem. Nie zdołała go jednak ujarzmić nawet tajemniczymi dawnymi spotkań wspomnieniami; pokonała go natomiast inna siła, z którą liczyć się dotąd nie chciał. Fanatyczny przywódca stronnictwa skrajnego, nie cofający się w słowach ani w czynach przed żadnymi środkami „mocarz“, posługuje się do zwalczania przeciwnego obozu redagowanym przez siebie dziennikiem, w którym własny artykuł oszczerzy, godzący w kierownika partii konserwatywnej, każe podpisać jego synowi, oddanemu ślepo radykalnej robocie. Ten zaś spełniając, jako posłuszne narzędzie, nakaz, zmuszający go do wyrzucenia się dla bezwzględного ideału wszelkich osobistych uczuć, zabija piórem ojca, a uczyniwszy to, widzi jeden tylko sposób przypomnienia despotyzmowi społecznemu niezniszczalnych praw jednostki: umrzeć, z własnej ręki i poniesioną swobodnie śmiercią okupić dokonane w sekciarskiej zaciętości ojcobójstwo. Gdy tedy w jednym pokoju kona ofiara mocarza, w drugim on sam rozpoczyna rozmowę z nieznanym sobie i niespodzianie zjawiającym się, a niewidzialnym gościem—z sumieniem. Rozmowa jest oczywiście tragiczną, a tragizm jej potęguje się jeszcze złowrogą interwencją kobiety-demonia; żeby jednak rozwiązaniem psychologicznym sytuacji miało być ukorzenie się mocarza przed kapłanem, powracającym od zwłok samobójcy, tego bynajmniej nie uzasadnia nawet przełom, odbywający się wobec widza w duszy bohatera; wygląda to raczej na efekt melodramatyczny, który osłabia wrażenie sytuacji. Nie jedyny to słaby moment w sztuce, zbudowanej zresztą z niewątpliwym temperamentem dramatycznym: cały środkowy akt odbija nastrojem i stylem od dwóch skrajnych. Dla zachowawców dobrał autor tony Maeterlincka z nużącym przyborem efektów oczekiwania i powtarzania, wśród których falują kontury, błędną fizyognomie przedstawicieli konserwatyizmu; natomiast bohaterowie radykalni, jakkolwiek przypominają w pewnym momencie sceny z dramatu Sienkiewicza „Na jedną kartę“, mają zacięcie Ibsenowskie. Jest więc

„Mocarz“ niejednolity, ale bije w nim tętno istotnego, choć jeszcze nie zrównoważonego talentu.

Zakończymy słówkiem o poecie, który „z odmětu“ wytworzonego w pojęciach moralnych teorią „miłości kosmicznej“ spodziewa się wyłowić na wsi, gdzie bawi w gościnie, łatwą między kobietami zdobywcz. Od podlotka poczawszy, mężatka, rozwódka, stara panna, wszystkie, jak zahypnotyzowane znajdują się pod urokiem gościa, ale kabotyn miłości potyka się w stanowczej chwili o najpospolitszą uczciwość i pełen pogardy dla polskiego barbarzyństwa dąży gdzieindziej szukać uznania u kobiet wyższej kultury. „W odměcie“ utwór p. Władysława Palińskiego, ma dużo cech kliszy fotograficznej, więc szwankuje tam artyzm; czuć jednak w sztuce znajomość sceny i zręczność w przystosowaniu do niej aktualnego tematu.

Aktualność jest zresztą stopniem—słabym, ale stopniem zawsze—tego, co silniej i wszechstronniej drga, jako pewien moment życiowy, w całym materyale konkursowym. Kobieta, w której uosobiono sfinksową duszę sztuki, i która w niewolniczych pętach trzyma wycieńzonego egotyzmem mężczyznę, nęcąc go mirażem twórczych rozkoszy—oto rzeczywista bohaterka chwili obecnej, wprowadzana mniej więcej udatnie w szeregu wyróżnionych utworów. I inny jeszcze występuje tam czynnik—dusza ludu. Przepaść zdaje się dzielić te dwa bieguny psychologii społecznej; a jednak zbliża je ku sobie moc namiętności, które u góry zwą się filozoficznie „siłami kosmicznymi“, u dołu poprostu popędami natury. W bezwzględności apetytów kulturalnych jest jakaś cząstka barbarzyństwa żywiołów niekulturalnych, a niziny życiowe najjaskrawiej może ilustrują teorię, że treść życia ludzkości—to głód i instynkt rozrodczy. Kobieta i ziemia są też treścią dramatu ludowego, jeżeli wogóle o dramacie może być mowa tam, gdzie bohaterowie tak mało mają świadomości własnych stanów psychicznych, a najtragiczniejsze dla widza sytuacje, nie są niemi dla tych, którzy zostali w nie wplątani ślepą grą żądz bezwiednych. W rozmaitych oświeceniach grę tę przedstawiano i do dziś dnia sztuka czeka na usprawiedliwiony psychologicznie, a szarmonizowany artystycznie rozkład światła i cieni. W konkursie próbował tego optymista, pesymista i artysta: pierwszy dał „Zośkę“, drugi „Sprawę Kępiny“, trzeci „Noc Lipcową.“

O „Zośce“ wspominam jedynie dla ścisłości, jako o idyllicznem usiłowaniu przywrócenia harmonii między chłopem a szlachcicem. „Sprawa Kępiny“ to tragedia teatralna; „Noc Lipcowa“—to dramat życiowy. Autor pierwszej—pan Edward Grabowiecki, ma za sobą przeszłość aktorską, która zaznaczyła się we wszystkich jego utwo-

rach scenicznych dobrą znajomością terenu i rąm, ujmujących ludzi i ich czyny w złudne linie specjalnej perspektywy, oświetlonej błyskami silnych kontrastów. Jeżeli gdzie, to w sztuce ludowej znalazło się pole do takich kontrastów, do wyjaskrawienia ich, na ponurem tle, ogniem wybuchających żywiołowo namiętności. Wiemy już jakie to są namiętności i nie spodziewamy się z prostej ich kombinacji żadnych nowych motywów; a jednak wysnuł z nich p. Grabowiecki bardzo efektowne sceny, dzięki żywemu poczuciu teatru i umiejętnemu dopasowaniu do jego optyki zarówno zewnętrznego przyboru każdej sytuacji, jak i ryczałkowej psychologii swoich bohaterów. Pod jednym tylko względem ten zmysł teatralny nie dopisał autorowi: nie zaostrzył w nim wrażliwości na to, co rozwlekłe i zbyteczne, i temu zapewne przypisać wypadnie, niezależnie od złej gry aktorów, niepowodzenie „Sprawy Kępińskiej” w Łodzi. Bo dramat p. Grabowieckiego uwolniony umiejętną ręką od niescenicznego balastu, skondensowany do silnych momentów, błyskawicowo rozświetlających głębie duszy bohaterów, ma niezawodne warunki powodzenia. Musiałaby wtedy zając ta zawzięta nienawiść, z powodu jednej dziewczyny, dwóch przyrodnych braci, z których jeden rosły, piękny, dzielny ma wrócić do domu, drugi upośledzony, brzydki, ale bez pamięci rozkochany, gotów szczęśliwemu kochankowi odstąpić połowę swego majątku, gotów za swoje przyjąć jego dziecko, byle „poniechał” kochankowi. Musiałaby zainteresować ta walka w duszy Maćka miłości do kobiety z namiętnością do ziemi, zakończona klątwą, wydobytą przez Wincentego pod groźbą śmierci, że za „grunt” wyrzeknie się swej Józefki i pójdzie w świat, nie przeszkadzając bratu do ożenku z opuszczoną. A cóż dopiero powiedzieć o wytwarzającym się z tej klątwy dramacie, gdy Maciek powróciwszy z flisakami, rozgorzał do bratowej dawnym kochaniem, zaniemógł na duszy i ciele od tego kochania i póty chorzał, póki mu miłosny uścisk Józefki nie przywrócił mocy nienawiści, która teraz ku jednemu zwraca się celowi: pozbyć się przeszkody do szczęścia. Scena, kiedy oboje palą w kominie poświęconą w dzień zaduszny gromnicę, z niezachwianą wiarą w zabobon, obiecujący im śmierć Wincentego z ostatnim błyskiem świecy, kończy imponująco ten zbrodniczy romans, zostawiając na czytelniku silne, głębokie wrażenie. Od teatru zależy, od sił jakimi rozporządza, od umiejętności z jaką posilkuje się niemi, aby i widz te same wyniósł wrażenie.

Bliżej życia niż teatru, stoi „Noc Lipcowa”, bliżej, — co jest w niej różnorodność czynników społecznych i psychologicznych wyłączona ze „Sprawy Kępińskiej”, zamkniętej w chłopskim tylko świecie. Au-

tor „Nocy“ p. Bolesław Gorczyński pokazał ten świat w lekkim zestawieniu ze szlacheckim; nazywam je zaś lekkim, bo charakterystyka dworu wydaje się pobieżną, a jednak z tej lekkości z tej powierzchowności wynikł właśnie dramat i ze „zbliżenia“ chaty z dworem urodziło się dziecko. Być może, iż w tonie tej satyry widział p. Gorczyński istotny tragizm, charakteryzując płytkość dziedzica, który wśród rozpraw o polepszeniu ekonomicznego bytu włościan wnosi im do domu moralny rozkład. Bądź co bądź, cała waga dramatu przeniesiona jest do chaty, gdzie Sworzeń, wracający z wojska zastaje w domu jedną kołyskę więcej, niż zostawił. Autor „Sprawy Kępiny“, byłby może odrazu krwawo zakończył to spotkanie męża i żony; w panu Gorczyńskim, jak już wspominałem, tkwi materyał na psychologa-artystę, odnalazł więc w duszy Sworzunia iskrę miłosierdzia, pozornie rozjaśniającą przebaczeniem dalsze pożycie małżeństwa. Jasność to jednak zwodnicza, bo od tego przebaczenia zaczyna się dopiero prawdziwy psychologiczny dramat: zmaganie się lepszych pierwiastków prostej, łagodnej natury, ze złemi instynktami, na jej dnie skłębionemi aż do chwili, kiedy je zewnętrzny jakiś bodziec rozpęta. Tym bodźcem jest, jak zwykle wódka, wprawiająca chłopą w szal, którego ofiarą pada cudze dziecko, pod jego dachem urodzone. Otrzeźwiony zbrodnią odzyskuje Sworzeń swoją gołębią duszę po to tylko, żeby się dobrowolnie oddać w ręce sprawiedliwości wobec dziedzica, zapóźno trochę zgnębnego następstwami swojej lipcowej sielanki. Wszystko to mieści się w trzech krótkich aktach, prawie obrazach, malowanych w ciepłym a dyskretnym kolorycie i z niepospolitą powściągliwością charakterystyki, świadcząca o wrodzonym w młodym autorze poczuciu miary i artyzmu.

Wzmianką o „Spadkobiercach“, utworze odznaczonym za zalety literackiej roboty niewiadomego autora (Gryfa), splatającego dramatyczny węzeł z temperamentowych i charakterowych dziedziczności, zamykam ten rzut oka na plon konkursu Sienkiewicza, zaznaczając w konkluzji objaw pożądany: dźwiganie się młodych zdolności i talentów samoistną siłą na poziomy, gdzie już się za epigonami przestają oglądać.

## III.

W operze stał się fakt ważny: wystawiono Wagnera i Wagner miał powodzenie. Mówię w tej chwili językiem wagnerzystów, dla których „Tannhäuser“, „Lohengrin“, znane już na naszej scenie, nie są jeszcze właściwym Wagnerem; mówię zaś dla tego, że w wystawieniu widzę prawdziwszą tego faktu doniosłość, aniżeli w powodzeniu, które najwłaściwiej będzie zaliczyć do rzędu fantazyi, zaobserwowanych już w stosunku publiczności do repertuaru dramatycznego. Znając tę publiczność, trudno zrozumieć dla czego była obojętną dla „Tannhäusera“ i „Lohengrina“, dzieł noszących na sobie ślady dawnej ulubionej modły operowej; znając tę publiczność jeszcze trudniej pojąć dla czego podobała się jej „Walkyrya“, tak głęboko już przenikniona reformatorskim duchem. Nawet tekst polski „Walkyryi“ nie może tu być rozstrzygającym momentem, bo w ostatnich czasach wykonanie przez polskich śpiewaków „Tannhäusera“ i „Lohengrina“ nie przysporzyło im słuchaczy. Jakaż więc jest przyczyna tego niespodziewanego sukcesu? Ta prawdopodobnie, która przez solistów wciąga w Filharmonii słuchaczy w sferę wielkiej symfonicznej muzyki. Takim solistą w komplecie śpiewającym u nas „Walkyryę“, jest p. Bandrowski. Wykształcony na Wagnerze, nadający doskonałą wokalną dykcją plastyczny wyraz szerokim wagnerowskim frazesom, artysta w tajemnicza publiczność w to, co stanowi duszę dramatu muzycznego: w psychologiczny związek dźwięku i słowa, w głębie uczuć, które dzięki temu przymierzem na jaw wychodzą, a może oswajając słuchaczy z wagnerowską *monodią* budzi romantyczne atawizmy, od których i sam Wagner nie był wolny w najśmielszych swoich rewolucyjnych zapędach. W gruncie rzeczy mistrz z Beyreuthu nie przestał być nigdy romantykiem, a to, co reformując burzył było raczej formą niż treścią romantyzmu; rewolucjonista miewa swoje żale i zwroty ku przeszłości; w takich przewrotowych w stosunku do tej przeszłości dziełach, jak Tetralogia, wprowadza tu i owdzie porzucone czynniki i sprzeniewierzając się naprzykład staroflorenckiej *monodii*, wszechwładnej w „Tristanie“ powraca do wielogłosowego śpiewu, (terset wodnic w „Złocie Renu“, duet Siegmunda i Sieglindy i zbiorowy śpiew ośmiu cór Wotana w „Walkyryi“). A i sama *monodia*, jest-że czem innym, jak wyrazem wybujałego subiektywizmu, który był romantycznym dziedzictwem, przekazanem dzisiejszym cza-

som i skwapliwie przez nie na użytek rozwichrzonego *ja* przejętem? Bądź co bądź, p. Bandrowski stał się poniekąd inicjatorem i może udało mu się zrobić wyłom w obojętności Warszawy dla Wagnera. Polski język, choć wyłącznie o tem inicjowaniu nie stanowił, przyszedł mu naturalnie z dzielną pomocą, obznajmiając publiczność z treścią poematu, o ile to było możliwem przy wyrwaniu jednego ogniwa z cyklu Niebelungów.

Cykl ten przedstawił niedawno czytelnikom „Biblioteki“ profesor Flach; wiedzą zatem, że ukochana córka Wotana, Brunhilda, za nieposłuszeństwo rodzicowi, który na żądanie żony, Frycki, wysłał ją, jako zwiastunkę śmierci do Siegmunda, Wotanowego syna, winnego kazirodczej miłości dla swej siostry, a żony Hundinga, Sieglindy, musi zasnąć, otoczona płonącym wieńcem i w tym śnie zaklętym czekać, aż znajdzie się ktoś, co ją wyrwie z ognistego uścisku i innym ogniem w swoich rozplamieni objęciach.

Jeżeli wskroś tekstu całej teatralogii biegnie nić ideowa, łącząco wszystkie jej części w jedną „tragedyę Wotana“ to w dramacie muzycznym tę ciągłość podtrzymuje z żelazną konsekwencyą spłot „motywów przewodnich“, nie tylko przypominających co się działo, ale przepowiadających co się dziać będzie w duszach bohaterów. Dla tego tak trudno charakteryzować w oderwaniu nastrój, psychologię tej muzyki; dla tego naprzykład „Walkyryę“, trzebaby rozważać w związku z prologiem („Złoto Renu“), gdzie cała akcja rozpoczyna się z Wotanowej myśli i snuje się muzycznym wątkiem, aż do ostatniej nuty „Zmierzchu Bogów“. Dla tego pierwszy akt „Walkyryi“ takie ma znaczenie, uprzytomniając nam w orkiestrze nieobecnego na scenie Wotana, nawet wtedy, kiedy na tle cudnej symfonii wiosny, dzieci jego ulegają bezwiednie występnyim uczuciom, w namiętnym wypowiedzianych duecie. Dla tego z taką uwagą wsłuchiwać się trzeba w opowiadanie Wotana w akcie drugim, przedstawiające cierpienia boga „który wciela się w dzieci, aby własny błąd odkupić, i który, z woli Fatum musi sam skazywać je na śmierć i widzieć, jak z ich śmiercią ginie wszelka nadzieja zbawienia“. Wtedy dopiero nabiera dzikiej poezyi akt trzeci, ze swoim żywiołowym galopem Walkyryj, ze swoim wruszającym do głębi pożegnaniem Wotana, ze swoim wyczarowanym z orkiestry ogniem, który broni snu Brunhildy wałem nieprzebytym dla śmiertelnych, a dostępnym tylko dla Zygryda.

Może kiedyś zobaczymy wyzwolenie Walkyryi przez syna Siegmunda i Sieglindy,— tymczasem godzi się wyrazić wszelkie uznanie Dyrekcyi, która, nietylko wcieliła do repertuaru arcydzieło Wagnera, ale wykonanie „Walkyryi“ polskim powierzyła śpiewakom. Pró-

ba była ryzykowna; powiodła się jednak w tem chociażby znaczeniu, że wykazała w artystach tutejszych godną wszelkiej pochwały sumienność i duży nakład pracy, dzięki któremu nie zatarło się nic z piękności wielkiego dzieła. Bardzo zajmującą Sieglindą była pani Zbońska: inteligencya w śpiewie i grze artystki opromieniła tę śliczną postać urokiem prawdziwej poezyi. Najniebezpieczniejszym eksperymentem w tych niezwykłych przedstawieniach wydał się występ w partyi Wotana, dyletanta, oddanego wprawdzie całkowicie muzyce, ale wstępującego po raz pierwszy na deski teatralne. Szczęśliwa jednak gwiazda przyświecała widocznie i temu eksperymentowi,—bo p. Konrad Zawilowski wywiązał się z trudnego zadania nie jak amator, lecz jak artysta, który, jeżeli nie imponował wielkimi zasobami wokalnemi, lub skończoną sztuką śpiewu, to ujawnił doskonałe zrozumienie deklamacyi wagnerowskiej i subtelność w wydawnieniu psychologicznych w niej odcieniów. Najłabsze wrażenie wywarła tytułowa bohaterka, przedstawiona przez panią Tomkiewiczową. Wytrawna to widocznie śpiewaczka, ale partya Brunhildy nie leży w jej głosie. Siostry jej dzielnie się sprawiły: nawoływania ich w akcie trzecim miały dziką energię. Orkiestrę przygotował pracowicie p. Podesti, który jednak lękał się widocznie swego włoskiego temperamentu, bo chwilami zbyt często rozwlekał tempa. Wystawa opery bardzo jest staranna.

Jednocześnie z tryumfami w teatrze jednego reformatora, wprowadzono na estradę Filharmonii drugiego rewolucjonistę z jego szkoły, tak zwanego Ryszarda II-go. Nie pierwszy raz występował tam Strauss; słyszeliśmy jego dzieła, widzieliśmy nawet, jak sam dyrygował wykonaniem swego „Sowizdrzała“; ale, jeżeli „Sowizdrzał“ (*Till Eulenspiegel*), zadziwił słuchaczów, to zdumienie zaciekawione-go audytorjum spotęgowało się jeszcze wobec poematu „Tak śpiewał Zarathustra“.

Oba dzieła wyszły jednak z tego samego kierunku myślowego. „Sowizdrzał“ nie jest oczywiście orkiestrową ilustracją przygód znanego w literaturze psotnego obwiesia, lecz modernistycznym wybuchem „szubienicznego humoru“, który, wbrew anegdocie o bohaterze, nigdy nie umiera, bo jest wiecznym protestem indywidualisty przeciwko ciżbie. W tej sferze ideowej „Sowizdrzał“ stanowi w szeregu poematów Straussa, po „Don Kichocie“, drugie ogniwo sąsiadujące bezpośrednio z „Zarathustrą“. Imponująca pomysłowość tematyczna, ruchliwa, jak fantazyja bohatera, mieniająca się w barwach, światłach i cieniach, jak śmiech urągający tłumom, olśniewa poprostu bogactwem inwencji i kolorytu.



Ale to sąsiedztwo z „Sowizdrzałem“ ma pewne dla „Zarathustry“ niebezpieczeństwa: może łatwo przenieść do nastroju słuchacza ryzykowny pierwiastek humoru, pod którego wpływem osobliwsze zakończenie tego malowidła muzycznego tonacją H-dur, gwałtem skojarzoną z tonem C, motywu wstępnego, wyda mu się konceptem, streszczającym całą charakterystykę dzieła. Można naturalnie ostrożnie się zachowywać wobec komentarzy, upatrujących w niskiem kontrabasowym *pizzicato* na nucie C pomruk gniewnego konserwatyzmu a w świetlanem, górnem H wykrzyk geniuszu, tryumfującego nad bezsilnością swego odwiecznego wroga; można sceptyczną zająć postawę względem tłumaczenia tak ciężko inkryminowanej, oschłej fugi, splatającej się z rzutami w górę i z chromatycznymi spadkami na dół ruchliwych figur, jako muzycznego symbolu bezdusznej wiedzy; można wreszcie zadać sobie za wielu innymi pytanie: czy gdyby żył dzisiaj, byłby z takiego Zarathustry zadowolony Nietzsche, który w muzyce hołdował nie dionizyjskim, lecz apolińskim ideałom? Można to wszystko — tylko nie można Straussa, ani jego Zarathustry zbywać tanim dowcipem Riehla: „że myśl nie da się wydmuchać na trąbce, ani wysmyczkować na strunach“. O tem, jaką w muzyce trzeba przeprowadzić różnicę między myślą a ideą zastanowiliśmy się już z powodu innych kompozytów Straussa; obecnie dodać tylko wypadnie, że podobnie, jak w „Zarathustrze“ Nietzschego nie chodzi o ściśle logiczną budowę jakiegoś systematu myślowego, ale raczej o odtworzenie świata uczuć, o poetycko-wieszczą apoteozę nowego nadczłowieka, jako przyszłego na tej ziemi prawodawcy, słowem o wyśpiewanie w dionizyjskiej prozie czegoś co ma być „pieśnią nad pieśniami proroka na pustyni“, — tak w intencji Straussa było zapewne wywołanie nastroju przedstawioną w orkiestrze ewolucją duszy człowieka, wybijającego się na wyżyny, gdzie królować ma „nadczłowiek“.

I tu różnica między poetą a kompozytorem. U Nietzschego znajdujemy „nadczłowieka“, jako postać gotową, skończoną; u Straussa śledzimy jego drogi ku wielkości, towarzyszymy na nich „stawającemu się“ Zarathustrze, który w naszej obecności przebywa główne fazy swego rozwoju i odsłania uczuciowe głębie wewnętrznego, doskonalszego człowieka.

Artur Seidl zestawiając Nietzschego „Narodziny tragedyi z ducha muzyki“ z poematem „Tak mówił Zarathustra“ dochodzi do wniosku, że w tym poemacie spełniły się „narodziny filozofii z ducha muzyki“. Gdyby tak było, Strauss stałby jeszcze bliżej Nietzschego ze swoim rapsodem muzycznym. Nie zapędzając się tak daleko w metafizykę tonów, stwierdzimy raczej że jest w „Zarathustrze“ wielka

potęgą, tam zwłaszcza, gdzie, jak w pierwszej połowie poematu, kompozytor porusza się w świecie ludzkich, nie nadludzkich namiętności. Jeżeli to ma być walka,—to ten świat broni się imponująco, tragicznie i doprawdy zapasy silniej w orkiestrze wstrząsają, aniżeli samo zwycięstwo.

Poemat Straussa, wykonany wzorowo pod inteligentnym i energicznym kierunkiem dyrektora Młynarskiego, pomnaża szereg zasług w tym kierunku Filharmonii. „Potępienie Fausta“ Berlioza, zamknie chlubnie w tym sezonie owocną działalność instytucji.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

## *Nowe drogi, nowe bogi.*

Szukajcie prawdy jasnego promienia,  
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!

.....  
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,  
Choć macie sami doskonalsze wznieść.

*A. Asnyk.*

Najnowsze prądy poezji naszej nie stosują się do tych wzniosłych wyrazów wielkiego poety. Niewątpliwie, dąży tak zwany modernizm do odkrycia „nowych, nieodkrytych dróg“, szuka „prawdy jasnego promienia“, wznosi doskonalsze, jak sam sądzi, ołtarze, ale jednocześnie z zaciekłością, iście wandalską, burzy dawne świątynie, nie bacząc na to, czy w samej rzeczy przestało w nich mieszkać bóstwo.]

I wyklina się z dumną pogardą wszystkie dawne wiary, hasła i ideały, przechodzi się, jak koń Attylowy, po bujnych niegdyś niwach, głosi się natomiast nowe godła, niezrozumiałe, niedostępne dla szarego tłumu „zjadaczy chleba“.

Obecnie mamy sposobność przyjrzeć się zblizka barwom i zbrojom nowego zaciągu bojowników.

Dopóki bowiem modernizm ogniskował się w Krakowie, kupił się dokoła „Życia“, Warszawa słuchała o nim, jak o żelaznym wilku; numery „Życia“ rzadko kto posiadał, jeszcze rzadziej je ktoś czytał, składały się więc pojęcia chaotyczne.

Chwytano w lot to, (co było w tym ruchu najjaskrawsze, najskrajniejsze, i rozdymano do rozmiarów karykatury.

Od dwóch lat natomiast Warszawa miała możność sprawdzać dokładność swoich pojęć estetyczno-literackich w stosunku do „nowej sztuki“: a tym sprawdzianem były ukazujące się w nierównych bardzo odstępach czasu, z arystokratycznym lekceważeniem nędznych

rzesz prenumeratorów, zeszyty „Chimery“. Wreszcie, po dwóch latach bez mała, ukończył się pierwszy rocznik, składający się z 12 dużych zeszytów. Z początku obudzał niezdrową ciekawość jednych, szukających tam pornograficznych „kawałków“, gromy oburzenia i drwiny płaskie drugich, potem opinia społeczna uspakajała się stopniowo, obojętniała, wreszcie zapomniano o tej wczorajszej jeszcze „kwestyi dnia“. I kiedy ukazało się ostatnich sześć zeszytów, zamykających rocznik, zbyto je kilku lub kilkunastowerszowemi wzmiankami o „wytwornem wydaniu“, „bogatej treści“ itp.

Nie zabieraliśmy jeszcze dotychczas głosu w tej sprawie, nie obcąc zbyt pośpiesznie sądzić z jednego lub dwu zeszytów i stawiać opacznych wniosków; teraz jednak, mając przed sobą cały rocznik, poświęcimy mu kilka uwag krytycznych. A przedewszystkiem zadamy sobie pytanie, czego chcą ci „dekadenci“, jakie nowe pierwiastki wnoszą do świątyni naszej poezyi, czem są wobec terażniejszości i czasów przyszłych dziejów pieśni polskiej.

Poeci i autorzy, zjednoczeni do niedawna pod hasłem „Życia“, obecnie pod sztandarem „Chimery“, nie nadają sobie żadnego miana. „Chimera“ głośno sarka i szydzi z tych, co chcą wmówić w nią modernizm, dekadentyzm, secesyę, — mjana, które właściwie nic nie oznaczają, są istnymi dziwolągami pod każdym względem: logicznym, historycznym, językowym; jej współwyznawcy jednoczą się pod chorągwią sztuki. „Połączyć nas może — mówi — tylko sztuka, ta jedyna i wieczna, co nie zna kierowników i haseł, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska“. „Nowej sztuce“ przystałoby może najbardziej miano „neo-romantyzmu“ lub „symbolizmu“, zanim z mroku czasów nie wyłoni się jakaś nazwa odpowiedniejsza.

Lecz mniejsza o nazwę, jakaż jest istota rzeczy?

Cofnijmy się nieco wstecz.

Kiedy przed trzydziestu kilku laty poezya romantyczna zachwiała się w posadach, a pozytywizm niebawem ją obrywać jeden po drugim listki z wawrzynu jej chwały, nastąpiła chwila upadku ducha. Zdawało się, że skrzydła, na których duch ludzki wznosił się w „rajskie dziedziny uludy“, należą już do narządów szczątkowych, które z biegiem czasu, u następnych pokoleń, znikną zupełnie. Wszystko, co „bluźniło rozumowi“, powadze „szkiełka i oka“, „cyrkla, wagi i miary“, co spychanie z posad bryły świata zaczęło od paradoksu matematycznego, że „jedność większa od dwóch“, uległo najsurowszemu potępieniu. Głosząc zasadę, że tylko fakty, podpadające pod zmysły, stwierdzone doświadczeniem, mogą być przedmiotem

wiedzy, pozytywizm jednocześnie zatrząskiwiał bramę tajemniczej krainy „czucia i wiary“.

Czy poza zmysłami istnieje coś we wszechświecie? o tem nie wiemy, nigdy widzieć nie będziemy — i daremno byśmy usiłowali przebić wzrokiem tę nieprzeniknioną zasłonę, okrywającą zagadki bytu. Jałowe dociekania! pusta gra wyobraźni! daremna strata sił umysłowych i czasu!

Pozytywizm, który głosił hasło: wierzę tylko w to, co widzę, słyszę, czego dotykam, wrychle doprowadził do wniosku smutnego, pełnego bólu, rozpacz, niemocy, zniechęcenia: nie wierzę w nic. A potem przyszła kolej na inne przeczenia: nie chcę niczego, niczego nie pożądam, do niczego nie dążę, lecz wiem, że żyję, i ta samowiedza bólu-życia jest klątwą żyjących.

Płoszowski i cała, ciągnąca za nim plejada „bezdogmatowców“: Lange, urągający wszelkim hasłom i ideałom, Tetmajer, ze swoją melancholią istnienia i żądzą niebytu, Nirwany — to nieodrodne dzieci i wnuki pozytywizmu, to negacya, posunięta do ostatecznych granic, zaprzeczenie wszelkim żądom ducha ludzkiego, prócz jednej żądy, żądy — nicości.

Taki stan rzeczy nie mógł zadowolić umysłów. Biada społeczeństwu, któremu by po zburzeniu dawnych ideałów zaszczerpiono tę filozofię nicości! Tu więc kres zdobył skalpelu pozytywistycznego. Pod groźbą strasliwą należało wyrwać się z apatyj, znaleźć nowe ideały, nowe podstawy bytu, przyszłości..

Nie trzeba było szukać daleko, ale powrócić do owych niewzruszonych kamieni węgielnych, które niegdyś założyła młoda, bojująca romantyka pod budowę nowej poezji: „czucie“ i „wiara“.

Czucie, miłość wszechogarniająca i wszechpotężna, ocaliła niegdyś, dwadzieścia lat temu, poezję od zagłady. Miłość pokoleń ubiegłych, Skrzetuskich i Wołodyjowskich, obecnych, Ślimaków i Wołkuskich, i przyszłych, z rodu Balcera i Banasiowej, zwała w gruzy na opoce niby budowane gmachy pozytywizmu. Wyrosła stąd twórczość, co blisko trzyma się ziemi, nie zamyka oczu na rzeczywistość, chociażby najsmutniejsza była, kładzie dłoń ciepłą na wszystkie jej rany krwawiące, tendencyjna i artystyczna zarazem poezja miłości. A najdonośniej w tym hymnie brzmi owo umiłowanie ludu, tych dusz „prostych i mierznych“, które w „Panu Balcerze w Brazylii“ stają na wyżynach niedostępnych. I tu znajdują rozwiązanie owe zagadki bolesne, które od lat trzydziestu rozdierały serce pieśni naszej.

Zagadki społeczne. A filozoficzne? Czyż mamy poprzestać na tem, co nam da mikroskop i teleskop, rzec się raz na zawsze wiadomości pozaświata?

I oto zaczyna wzbierać powrotna fala mistycyzmu. Zrazu ten nowy kierunek nieśmiało jeszcze stawia kroki, sam nie zna przyszłej swej drogi. W „Życiu“ warszawskim (od r. 1887) było już jego przeczcucie, ale jeszcze nie dość jasne. A kierownik jego, Miriam, jeszcze nie był wówczas wykończył całokształtu systemu „nowej sztuki“. Nastąpiło to nieco później, w r. 1894, kiedy Miriam przełożył dramaty Maeterlincka, poprzedziwszy je wstępem, gdzie wyluszczył cały systemat estetyzmu nowoczesnego. I dopiero w „Życiu“ krakowskim, zwłaszcza pod redakcją Przybyszewskiego, i w „Chimerze“ warszawskiej, widzimy po raz pierwszy otwartą propagandę „nowej sztuki“ i pełne żaru fanatycznego zwalczanie „starej“.

I na tej drodze pełne zwątpienia i apatii duchy znajdują to ukojenie, którego daremno poszukiwało przedostatnie pokolenie pasierbów pozytywizmu, schyłkowców, co wryło się w „księgi, w metal, w liczbę, w trupie ciało“.

Bo nie udało się tym uczniom „mędrców przeklętych“ przywłaszczyć sobie „części Boskiej potęgi“. Dla tego bowiem „szkiełka i oka“ pozytywizmu dostępna jest tylko zewnętrzna powłoka rzeczy, zmienna i ruchliwa fala zjawisk, którą wszakże nie jest rzeczywistością, lecz odbiciem drobnej cząstki tej rzeczywistości w zwierciadle naszych zmysłów. I, jak mówi Asnyk w jednym w sonetów „Nad głębiami“:

Choć nam w błyskawic blasku się odłoni  
Głęb niezmierną, ciemna i straszliwa...  
Trudno nam dotrzeć spojrzzeniami do niej  
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Oto punkt wyjścia symbolizmu, pewnik, oddawna już stwierdzony i wciągnięty w registr kanonów metafizycznych. Kiedy więc „Chimera“ mówi nam, że to, co realisci czy naturalisci nazywają naturą, jest tylko „fenomeniczną jej powierzchnią, rozbiciem jej na poszczególne zjawiska, które w takim oderwaniu realnego bytu nie mają“, kiedy tę dostępną pięciu zmysłom naturę nazywa tylko „zjawiskowym płaszczem, osłaniającym jej istotę“, nie możemy żadną miarą przyznać twórcom „nowej sztuki“ patentu wynalazku.

Ale symbolizm nie poprzestaje na tej negacyjnej zasadzie. Od przeczeń przechodzi do twierdzeń, i to jak najbardziej stanowczych. Dusza ludzka może dotrzeć do jądra wszechrzeczy. A jedyną pośredniczką pomiędzy żadnym wiedzy duchem a owem tajemniczem, niedostępnem ni dla wzroku, ni dla słuchu w naturze — jest sztuka. Każde

bowiem zjawisko jest odbiciem cząstki nieskończoności, a sztuka ma właśnie za zadanie z tej cząstki odgadnąć całość. „Piękno—tak mówi „Chimera“—jest objawieniem się Istoty rzeczy w materialnej ich formie, manifestacją nieskończoności w skończoności.“ Tak więc artysta, jeżeli chce zasłużyć na to wzniosłe miano, nie powinien odtwarzać w swoich dziełach zewnętrznej powłoki zjawisk, lecz dotarłszy do istoty natury, „nauczyć się tworzyć w dalszym ciągu tak, jak natura tworzy, to jest wiążąc każdy szczegół z całością bytu“; a „im głębiej sięgnie, tem bardziej nieprzemijającym, od cielesnego pierwowzoru niezależnym, samoistnie żyjącym staje się jego utwór.“

Chodzi więc tylko o to, jak sięgnąć do owej tajemniczej głębi, o której zmierzeniu okiem śmiertelnem zwątpił niegdyś Asnyk?

Mamy na to wyraz gotowy w dziejach naszego bojującego romantyzmu. Bo jak romantyzm był buntem przeciw rozumowi, który zna tylko „martwe prawdy“, widzi „świat w proszku“ i w „gwiazd iskierce“, tak i dzisiejszy symbolizm czy neo-romantyzm wybucha namiętną walką przeciw temu wszystkiemu, co dała nauka i wiedza XIX wieku. Racyonalizm XVIII stulecia a pozytywizm minionego wieku—podobni do siebie, jak bracia, a romantyzm i symbolizm z tego samego wychodzą założenia. Lecz romantyzm na wszystkie zagadki bytu, które wiek oświecenia pozostawił nierozwiązane, znalazł od razu odpowiedź, i wszystkie „prawdy żywe“ stanęły otworem przed duchem człowieka: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko“, bo „szkiełko i oko“ nie sięgają dalej fenomenalnej powierzchni zjawisk, a „czucie i wiara“, inaczej mówiąc, bezpośrednia intuicyja artysty, odgadują „nieskończoność w skończoności“.

Dzisiejszy neo-romantyzm nie zadawała się taką prostotą wyrazu. Więc mówi się szumnie, a górnołotnie o „królewskim stanowisku“ sztuki, jako „Pani dusz, Wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej, Pośredniczki między indywidualnością i Absolutem“.

Lecz może sposób tworzenia, jakiego symbolizm używa, nie był zuany romantyzmowi? Przyjrząwszy się lepiej i baczniej, przekonamy się, że i pod tym względem „nowa sztuka“ miała już drogę uтворoną. Już romantyzm dowodził, że marzenia sennie nie są, jak utrzymują „mędrcy przekłęci“, „przypomnieniem“ tylko, lecz drogą intuicyi wieszcezej, złotym mostem między światem pozazmysłowym a duchem człowieka. Pozostaje jeszcze jeden krok uczynić, i będziemy mieli zasadę „nowej sztuki“, głoszącą, że jedynym źródłem natchnień poetyckich mają być nie przedmiotowe zarysy rzeczy, lecz podmiotowe ich widzenia, odbicia w absolutie duszy ludzkiej. Nie rzeczywistość więc winien odtwarzać artysta, lecz stan duszy, powstający

pod wpływem zetknięcia jej z rzeczywistością. I wtedy wyjdziemy poza błędne koło „fenomenalnej powierzchni rzeczy.“

Tak dowodzi i tego chce symbolizm dzisiejszy. I dlatego, zamiast zwrócić wzrok na zewnątrz indywidualności twórczej, zatapia go w przepaścistych głębinach twórczego ducha. Czyż jednak i pod tym względem nie miał symbolizm poprzedników? Nie napróżno powołuje się wciąż na Słowackiego, tego genialnego sternika „duchami napełnionej łodzi“. Słowacki też, ów mistrz nastroju, pozostaje dla symbolistów wzorem niedościgłym, jako przedstawiciel poezji podmiotowej, inaczej mówiąc, lirycznej, w przeciwieństwie do przedmiotowej, całą mocą ducha olbrzymiego na zewnątrz zwróconej poezji Mickiewicza.

Symbolizm nadaje tu tylko nowe miano istniejącemu już oddawna pojęciu, pisze nowy, bardziej filozoficzny komentarz do starego tekstu. Nastrój, symbol, absolut—to tylko wyrazy, pod którymi kryje się ta sama treść, niegdyś przez romantyzm chrzczona potocznie mianem liryzmu, marzycielskości.

Jeszcze jedno jest znamię symbolizmu, które również odnajdziemy bez trudu w dawniejszym, wieszczym romantyzmie. Symboliści, nie mogąc znaleźć prawdy w świecie zjawisk, odgradzili się od niego murem niechęci, chłodu, pogardy. Prawdziwy artysta winien, jak mówi p. Miriam w I zeszytce „Chimery“, wytrwać w zupełnej „samotności, wyrzec się wszystkiego, za czem ciało krzyczy, i żyć jeno ze swemi tęsknotami i pragnieniami najwyższemi“. Taki artysta od „niepoświęconego motłochu“ trzyma się zdala, a motłoch „odpłaca mu obojętnością“. Taki twórca „jest poetą marzenia — tego świata nie lubi: nie schodzi na rynki—tego świat nie przebacza, jest samotnikiem—za to świat go nie zna“.

I wyradza się stąd ów niepomierny arystokratyzm ducha, owa boska pogarda „filistrów“, „mydlarzy“, „troglodytów“, „snobów“, „zwartej większości“, „porządnych obywateli“, burżuazyi, plutokracji, udającej wyższość duchową, schłopiałej szlachty, rzemieślników, kupców, kantorzystów, prasy, dziennikarzy, czytelników, felietonów, odcinków, ekonomistów, społeczników, powieściopisarzy od wiersza, publicystów, rewolucyi, demokracji, „ochłokratycznej równości“, „frenetycznej orgii mierności“, „menerów rewolucyi“, przymusu szkolnego, socyologii, przyrodznawców, historyozofów, „Spencera, Comte'a, Buckle'a, Malthusa, Darwina i Haeckla,“ (których idee eksplodowały niegdyś, jak bomby, przed forum „znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, nawpół sennych pocziwców“), „wulgaryzatorów“, chorążych wszelakich idei i tendencyi w sztuce, pogarda wszystkiego, co zrodziła kultura wieku XIX od dziejów



mglawic prabytu, aż do „banalnie geometrycznych kwadratów ulic“, „potwornych szyldów“, „jaskrawo kłótliwych afiszów“ i innych przerażających brzydota owoców „postępu“.

Od tego świata brzydoty i pospolitości ucieka artysta w najgłębszy zakątek swej jaźni duchowej, bo w świecie tym niemasz miejsca dla piękna, dla ideału, dla sztuki“. „Hrabia Zuzin kupił sobie fonograf za dwa tysiące reńskich—woła z piekielną ironią jeden z takich „satanistów“ w powieści Przybyszewskiego „Synowie ziemi“—pan Domaszyński automobil, nasz wielki mecenas, który co tydzień pisze obrachunki naszych grzechów, spoczywa w objęciach zacnej, szlachetnej pani Delmonse — a my, my, nędzarze, nawóz — ha, ha, ha...“

Z podobną goryczą narzeka p. Przesmycki na ów powszechny, coraz wzbierający „zalew brzydoty“, „opadu ducha“, „nienawiści do sztuki“: „Wytworzył się przerażający, nigdy snadź dotąd niewidziany, proletaryat umysłowy, pełny zadowolenia, patrzący wrogo na wychylające się głowy z pod różniczkowego strychulca zdolności i wymagający od nich bezwarunkowego naginania się do przeciętnego poziomu. Rozpaszała się frenetyczna orgia mierności, podtrzymywana i podniecana jeszcze przez przeróżnych trybunów i heroldów równości, schlebających tłumom, mówiących im o tajemniczych siłach szczególnych, które mają być źródłem całego postępu, o ojcowstwie i, *eo ipso*, zwierzchniczem stanowisku środowisk i chwil dziejowych względem głębszych, genialnych jednostek, o wyższości zdrowego rozsądku mas nad wszelkiego rodzaju filozoficznymi koncepcjami czy intuicyjnymi wizjami artystów“.

„Nigdy snadź jeszcze—mówi w innym miejscu kierownik „Chimery“ — nie było takiego, jak dzisiaj, rozłam między życiem i marzeniem“. A na duszę naszą padają cienie wielkiego marzyciela-samotnika, Byrona, i wielkiego piewcy „sennych królestw“, co „nieme miał harfy i słuchaczy głuchych“. Wszak i oni, jeżeli wolno czynić takie porównania, zamykali się w samotni duchowej, i oni gardzili marną pospolitością życia powszedniego, i na ich czole legła piętnem klątwy sprzeczność między marzeniem a rzeczywistością, i oni, ze światem i ludźmi skłócenii, znienawidzili krytyków edynburskich i litewską „boćwinę“.

Jest wina „opadu ducha“, trzeba odszukać i winowajcę. „Chimera“ znalazła go—ni stąd, ni zowąd—w wielkiej rewolucji francuskiej. Ona-to spowodowała zanik zmysłu estetycznego w społeczeństwach Europy. „Rewolucya francuska—twierdzi p. Miriam—stawiając zasadę równości i znosząc różnicę klas, zniosła zarazem wy-

soką kulturę duchową stanów uprzywilejowanych, a nie dała jej stanom wyzwolonym“ i—według wyrażenia Trentowskiego—„schłopiła szlachtę, a nie uszlachciła ludu“. Był to więc zwrot—zdaniem p. Miriama — ze wszech miar ujemny; w dziedzinie sztuki zaś okazał się on wprost zabójczym. Oto bowiem „w ochłokratycznej równości zaprzepaściliśmy wszelką hierarchię. Zrobiwszy ideałem człowieka—mierność (zwaną też przeciętnością, czy normalnością) wzięliśmy ją za miarę, i wszystko, co pod strychulec jej zmieścić się nie chce i nie może, napiętnowaliśmy mianem szaleństwa, chorobliwości, zwyrodnienia, lub innemi, niegdyś poświętnemi, a dziś obelżywemi nazwanami: mistycyzmu, symbolizmu itp.“ Myt, legendę zastąpiliśmy „gazetą, jej anegdotami czy i n t e r v i e w’ami, i znieważaniem lub poufałym klepaniem po ramieniu olbrzymów ducha“. Rewolucya francuska i czasy Napoleońskie—pisze kierownik „Chimery“—„wprowadziły na widownię świata, i to pod hasłem absolutnej równości, całe nowe, dotychczas nie uczestniczące w życiu duchowym, masy społeczne i dały sztuce nową publiczność, zupełnie różną od tego, co się tak zwało przed rokiem 1789“. „Byli to ludzie, którzy dotąd przeważnie nie mieli do czynienia z rzeczami intelektualnemi, pozbawieni wszelkiej kultury artystycznej, nie znający żadnych tradycyi twórczych, ignoranci pod temi względami absolutni, zajęci zbytnio swą nową sytuacją polityczną i społeczną, aby mogli interesować się rzeczami duchowemi“.

Wśród tej właśnie nowej publiczności poczęła się otwarta, głęboka nienawiść do sztuki, zażarta walka z nią. „Wyrabiano otwartą niechęć do każdej rzeczy gruntowniejszej lub głębszej, jako do zamachu na indolencyę umysłową czytelnika, a zarazem do karygodnej chęci imponowania mu... Studzono gorliwie wszelkie zapaly, porywy i entuzjazmy, ośmieszając je i piętnując wzgardliwemi mianami szaleństwa, młodzieńczości, poezyi, donkichoteryi i t. p. Zabijano wszelką wrażliwość, odzwyczajając od chwilowego choćby milczenia i zastanowienia; ośmielano wreszcie do wydawania najzuchwalej stanowczych sądów, w najbardziej szablonowych i nie mówiących frazesach. Zaraza jęła szerzyć się piorunująco. Obniżenie poziomu dusznego doszło do ostatecznych granic, 99% tego, co się szumnie zwie dziś inteligencyą, podciągnąć można stanowczo pod kategorię wspomnianej wyżej burżuazyi, która życiem swem zadaje kłam racyi swego istnienia“.

Taką jest owa „krucjata przeciwko Pięknemu“, od której szturmów broni „Chimera“ okopy sztuki, jedną z rzeczy „najwyższych najświętszych“. Zapal polemiczny—olbrzymi, entuzjazm ku sztuce pięknemu—żarliwy; ale wszystkie te wywody historyczne i kultural-

no-literackie mają za sobą część tylko słuszności. Zgodzimy się z p. Miriamem, że znaczna większość dzisiejszej tak zwanej inteligencji jest nią tylko pozornie, a rzeczami wiedzy, sztuki i literatury interesuje się tylko z „przyzwoitości“, bo tak każe dzisiejsza „komilfowość“. Zapewne, że przeciętny filister, który nic nie czyta prócz „swojej“ gazety, o wszystkim wyrokuje z kurulnego krzesła zdrowego rozumu, na niczem się nie znając, oburza się na niemoralność Wenery Milońskiej, a sam grzęźnie w błoku moralnem po uszy, jest najmniej sympatycznym wytworem rozwoju społecznego w XIX stulecia.

Przeciwko tej właśnie obłudzie burżuazyjnego rozumu i moralności burżuazyjnej skierowane są namiętne apostrofy „Chimery“.

Ale dalsze ogniwa tego rozumowania są już dowodem wysokiej jednostronności. Rozgoryczeni do życia współczesnego, symboliści w osobie p. Przesmyckiego, zwracają tęskne wspomnienia w przeszłość i—znajdują arkadyjskie czasy dla sztuki, w epoche... a n c i e n r e g i m e u.

Zdawało się, że romantyzm na wieki pogrzebał kulturę pseudoklasyczną, poezję ód wysokopiennych, sielanek perfumowanych i rozmiarzonych równo, niby ogrody wersalskie, przystrzyżonych tragedyi. Zdawało się, że dławiąca się z braku powietrza w atmosferze salonów i buduarów literatura, odetchnąwszy szerokiem tchnieniem romantyzmu, nie zapragnie już nigdy powrócić na „progi pańskie“. Zdawało się, że poezya, która zerwała szkolarskie więzy poetyki Horacego czy Boileau, nie obejrzy się już ni razu poza siebie, nie zatęskni do czasów minionych.

Romantyzm zburzył i zdeptał wszystko, co dał wiek XVIII, całą kulturę salonu i oświecenia, zatykając na gruzach zwycięski sztandar swobody ducha twórczego. Neo-romantyzm pragnie jednym pociągnięciem pióra przekreślić całe ubiegłe stulecie, stawiając jako wzór i ideał,—czasy Ludwika XIV i XV. Nie „studzono wtedy gorliwie wszelkich zapalów, porywów i entuzjazzmów“, piętnując je „wzgardliwemi mianami“, nie! któżby się imał tak powolnych środków. Wszak była od wszelkiego „studzenia“ Bastylia, a kto tam się dostał, na całe życie musiał wyrzec się entuzjazzmów“.

Neo-romantyzm w tem uwielbieniu epoki z przed 1789 roku wpada w sprzeczność z samym sobą. Mistycyzm ten nowożytny w walce z r o z u m e m XIX wieku—powołuje się... na kulturę wieku r o z u m u, „oświecenia“...

Ależ rewolucya francuska, krusząc podstawy dawnych pojęć i wierzeń, uskrzydlać ducha ludzkiego wielkim protestem przeciw więzom wszelkiego rodzaju, dała właśnie ów szeroki rozmach roman-

tyzmu, powołała dogmat swobody ducha twórczego. Romantyzm—to dziecię r. 1789, romantyzm—to rewolucya literacka.

Jakże więc wybrnąć z tych sprzeczności? jak zadość uczynić logice i historii?

Kończy się wszystko na lichym frazesie wykrętnym: „Trwale jakoby uznanie dla wielkich twórców romantycznych—pisze „Chimera“—nie może służyć za dowód przeciwny, było ono bowiem owocem i ostatnim prawie objawem resztek zniweczonej przez rewolucję francuską kultury, oraz wielkiego, wyprzedzającego Rewolucję i przerwanego przez nią chwilowego podniesienia duchowego w drugiej połowie XVIII i pierwszej ćwierci ubiegłego“.

„Chimera“ więc nie ma żadnych dowodów dziejowych na poparcie swych zapatrywań.

Symbolizm, brzydząc się rzeczywistością, mając ją za ułudną grę naszej wyobraźni, gardzi wszystkim, co ziemskie, odpycha nie dbałym ruchem arystokraty duchowego to wszystko, co z ziemi i z życia doczesnego początek bierze. A więc precz ze sztuką, która służy celom postronnym, precz z tendencją! Sztuka nie powinna grać roli „rozrywki, przyjemniającej życie, lub wózka dla tendencji jedynie“; wyrzeka się, że u nas formułę „sztuki dla sztuki“, traktuje się jako „absurd lub igraszkę“. Żąda się, aby sztuka sobie służyła zarazem za cel i środek, jako „Pośredniczka między indywidualnością i Absolutem.“

Stąd—„anielska pogarda“ dla tych, co ośmielili się inaczej myśleć i pisać, lekceważenie przedstawicieli poezyi „tendencyjnej“, choćby nawet takich mistrzów, jak Konopnicka, i wynoszenie ponad zasługę wszystkich żołnierzy—wodzów czy ciurów—swojej broni. Zaciętrzewienie „Chimery“ pod tym względem nie ma granic.

O co właściwie chodzi tym ludziom? Aby tendencya nie rozpieierała się w sztuce z krzywdą artyzmu i nie wysuwała się z utworu wszystkimi porami, jak igły jeża z worka? Ależ o tem wiedzieliśmy już dawno, nie miałyby więc „Chimera“ potrzeby wybijać otwartych drzwi.

Ale niel tu chodzi o coś więcej, i to właściwie jest ze wszystkiego najgorsze. Chodzi o to, by poezya nie głosiła żadnych hasel, nie wznosiła żadnych sztandarów, wyrzekła się wszelkiego bojowania pod groźbą wyświecenia ze świątyni sztuki nowoczesnej, aby nie była ani zdźbła „społeczną“.

Dziwne żądanie! jakgdyby nie mogła być jednocześnie „społeczną“ i pełną artyzmu, jakbyśmy nie mieli w dziejach naszego romantyzmu tylu arcydzieł prawdziwie wielkich, przesiąkniętych tak zwaną „tendencyjnością“ do ostatniej zgłoski?

I co nam daje „Chimera“ w zamian za tę tak wielką abdykację? obraz najgłębszych, najtajniejszych szychtów duszy ludzkiej? ależ czyni to nie tylko „beztendancyjny“ Przybyszewski czy Berent, ale, i to znacznie lepiej, nawskroś tendencyjny Żeromski lub Reymont. Zgłębienie treści stworzenia, prabytu czy metabytu? być może, ale ów wielki mistrz symbolizmu dzisiejszego, Słowacki, nigdy nie był bezdogmatowcem społeczno-filozoficznym, dawał jeden z najwznioślejszych dowodów, że najwyższy artyzm potrafi iść ręką w rękę z najwyższą tendencyjnością. A przecież Słowacki był jednym z tych, co najgłębiej sięgali do „nagiej istoty bytu“.

Więc może wielka wytworność stylu? jeżeli ma ona wspierać się na wątłych kolumnach rymów wyszukanych, sonetów koronkarskich, ghazel, rond, lub, co gorsza, dziwacznych zestawień pojęć odległych w porównaniach i przenośniach, to... przyznać należy, że za drogo płacimy za te błyskotki.

A może artyzm, wielka sztuka lub wielkie piękno, poniewierane tak w czasach dzisiejszych?

Niezawodnie, ale jakże dziwnem wydaje się oświadczenie symbolistów, że oto — my tylko sami posiadamy klucze od wielkiego skarbcza Sztuki, a „po tamtej stronie“ nie może być prawdy, nie może być objawienia; niema prawdy duszy - absolutu i świata - absolutu wśród „łąk zielonych“, nad „Niemnem błękitnym“ u Mickiewicza, ale jest prawda w karczmach, kawiarniach, domach rozpusty, w zwierzęcych podrygach duszy w powieściach Przybyszewskiego lub Berenta!

Tak więc „Chimera“ odgradza poezję od życia nieprzebytym murem obojętności i lekceważenia, powraca do kosmopolityzmu poezji pseudoklasycznej, która tylko zewnętrzną swą szatą — językiem — świadczyła o swem pochodzeniu. I dokąd doprowadzi nas „Chimera“, głosząc, że sztuka połączy kiedyś swych wyznawców pod jednym godłem „po przez dalekie kraje i obce mowy, po przez drobiazg osobistych niechęci, wbrew drażnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym“? Jeżeliby sztuka do takich miała doprowadzić wyników, stałaby się, bezwątpienia, czynnikiem rozkładowym, i tu, w samej rzeczy, kryłoby się ziarno dekadencji najoczywistszej i najzgnubniejszej.

Napróżno jednak „Chimera“ przestrzega swych wyznawców przed widmem „tendencji“ społeczno-historycznej. Ci bowiem z pomiędzy nich, którzy w swoim własnym obozie uchodzą za najbardziej utalentowanych, nie napróżno przez Przybyszewskiego synami

z i e m i nazwani: oni to — Wyspiański, Kasprowicz — zażąją kłam dogmatowi beztrendencyjności.

Jeżeli więc „Chimera“ pragnie, aby porzucić „żale i bunty z powodu różnych nędz i bólów społecznych, które, bądź co bądź, nie są wiekuiste, dziś istnieją, jutro przeminąć mogą“, a zwrócić się natomiast do bólu człowieka, to żąda rzeczy, która w zastosowaniu okazała się już niemożliwą, a gdyby nawet była możliwa, stałaby się wówczas w najwyższym stopniu szkodliwą.

Nietrudno nam teraz odpowiedzieć na pytanie, czy „Chimera“ posiadała wszystkie klucze tajników wszech natury, wszystkie „złote rogi“ przyszłości? Z kart „Chimery“ bije taka duma, taka ufność w prawość swej sprawy, taka bezwzględność w ferowaniu wyroków, jak gdyby poza misto-estetyzmem nie było zbawienia.

Neo-mistycyzm powstał, jako reakcja przeciw naturalizmowi w poezji, pozytywizmowi w filozofii, obojętności ku sztuce w życiu powszednim. Ale, jak każda reakcja, zachodzi nieraz w dziedzinę paradoksów, dziwolągów logicznych i etycznych. Jeżeli narzeka na dzisiejszego „filistra“, na panoszącą się naokół brzydotę, na doszczętny zanik rozumu estetycznego, prawdą jest, co mówi. Ale gdy obwinia o to rewolucję francuską, hasło równości, jego „trybuów“ i „heroldów“, niemasz w tem słuszności. Gdy z goryczą mówi o nędzy artystów, o powodzeniu karyerowiczów sztuki, o braku pomocy dla twórców prawdziwych, zachęty, odpowiedniej atmosfery wyżyn ducha, nic niema nad to słusniejszego. Ale jeżeli pomawia się o zanik estetyzmu w społeczeństwach europejskich — „demokratyczny przy-  
mus do oświaty elementarnej“, nie możemy powstrzymać się od uśmiechu niedowierzania. Jeżeli nie schodzi się do „tłumu“, nie rozumiejącego potrzeb duchowych, jeżeli nawet gardzi się jego „zwartą więk-  
szością“, rozumiemy to i oceniamy. Ale gdy odrzuca się ze wstrętem niesiony przez dawnych mistrzów „kaganiec“, depce się go, a jednocześnie zamyka się w kryształowym pałacu marzeń, dokąd nie dochodzi żaden odgłos ziemski, twierdzimy, że jest to zboczenie wielkie z idealnej linii rozwoju, zboczenie, które wrychle zmusi i zmusza już niejednego do szybkiego nawrotu. Kiedy z oburzeniem mówi się o setkach nędznych ramot, zwanych powieściami, które z poezją i sztuką nie mają nic wspólnego, a przyczyniają się znakomicie do gmatwania pojęć estetycznych, gotowiliśmy bodaj podzielić ten święty ogień gniewu i żalu; ale gdy potępia się w czambuł całą, tak pogardliwie zwaną „literaturę“, inaczej mówiąc, realizm w sztuce i poezji, jest to dowodem ślepej jednostronności. Skoro wyszydza się dzieła „pocziwe“ w tendencji, w artyźmie bezpłciowe, piszemy

się na to najzupełniej: ale gdy wyświeca się wszelką ideę ze sztuki, cofamy się z przerażeniem przed takim przewrotem w dziedzinie twórczości. Kiedy wywalcza się dla sztuki należne jej prawa i stanowisko w społeczeństwie, chętnie dzielimy zapał wojowniczy; ale gdy dowodzi się, że sztuka i jedynie sztuka zdejmie wszystkie pieczęcie z tajników natury, nie zgodzimy się żadną miarą na taką wyłączność pojęć, boć i nauka, i filozofia zdążają również, choć różnymi drogami, ku temuż celowi. A kiedy w sztuce przyznaje się jedyną wartość i znaczenie jej stronie p o d m i o t o w e j, wizjom i marzeniom, z których składa się obrazy, zastrzegamy się stanowczo, że i sztuka p r z e d m i o t o w a, realistyczna, choć inna w zasadzie i wykonaniu, nie ustępuje tamtej pod względem ilości i jakości arcydzieł.

Tyle teoria „nowej sztuki“. A wykonanie? Od teorii jeszcze stokroć jaskrawsze.

I tu dopiero „pęknięcie serca znać“. Bo wyszydza się „artystów-snobów“, „artystów-symulantów“, „heroldów secesyi i modernizmu“, wybryki byłego „Strumienia“, płaskości „nad-sceny“, okładki modernistyczne na książkach, dekoracje modernistyczne modnych kawiarni, słowem, wszystkie krańcowości i dziwactwa „nowego kierunku“ w sztuce. A jednocześnie na łamach tejże „Chimery“ spotyka się na każdym kroku takie przejaskrawienie i w treści, i w ilustracjach. Odżegnywa się od duszącej zmory naturalizmu, a jednocześnie w powieściach Przybyszewskiego, Berenta spotykamy sceny tak brutalnie naturalistyczne, że Zola by się ich nie powstydział. Wyklina się uroczyście wszelką tendencyjność, a mimowoli wchłania się w istotę swej twórczości wielką ideowość, jak to czynią wbrew zasadzie neo-romantyzmu „synowie ziemi“. Gardzi się sztukmistrzostwem formy, a jednocześnie cyzeluje się koronkowe sonety, rondele o kształtach dziwacznych i upajającej woni kwiatów podzwrotnikowych. Drukuje się wyczerpującą rozprawę o sztuce japońskiej, a jednocześnie daje się miejsce sztuczному orientalizmowi w „Komurosaki“ Reymonta.

Po „schyłkowcach“, niczego nie żądających i nie dążących do niczego, przyszli „nowi ludzie“ z gorącym pragnieniem moralnego punktu oparcia. Jedni znaleźli go w ideałach społecznych, drudzy w mistycyzmie i marzycielstwie. Czyż mogą jedni drugim powiedzieć: „Wasza droga kłamna?“ Za błękitami bój się toczy odwieczny, bój o realizm i podmiotowość poezyi. Ale zwycięstwo w żadną nie przechyliło się stronę. I Słowacki tylko w chwili najwyższej ekstazy duchowej mógł widzieć włóczęgo u wozu trupa swego wroga.

Najwyższem zwycięstwem, nie jednego obozu — wszakże, lecz — poezyi, byłoby, gdyby, się dało szczeblując po stopniach coraz wyż-

szych przemian, dojść do formy jeszcze doskonalszej, łączącej w sobie idealizm zasady poezji „tendencyjnej“ z idealizmem techniki twórczej w „nowej sztuce“. Ukazują się już pewne objawy zbliżenia dwu wrogich sobie kierunków, objawy nieliczne, ale znamienne. To pobudka do potęgi ducha, równowagi moralnej, krzepkości ciała i duszy, poświęcenia...

Ale „złoty róg“ jeszcze nie rozbrzmiał po górach i nizinach...

HENRYK GALLE.



# ROZMAITOŚCI.

---

## Beniowski w Ameryce.

---

Wertując pięciotomowe wydanie Sparksa: *Pism Washingtona*, zawierające, mówiąc nawiasem, może trzecią, lub czwartą część jego olbrzymiej korespondencji, przechowanej w autografach, natrafiłem na jeden list słynnego wodza, Beniowskiego, z datą 1782 roku. Zaciekawiony kwestyą, jak mógł Beniowski poznać się z Washingtonem, który nigdy nie opuszczał Ameryki, lub co mógł sam robić w tym kraju, rozpocząłem poszukiwania — nasamprzód w drukowanych dziennikach Kongresu Lądowego <sup>1)</sup>, wydawnictwie bardzo rzadkiem i zaledwie w paru tylko dawniejszych bibliotekach Stanów Zjednoczonych znajdującem się w całości. Tu znalazłem parę wskazówek, które jeszcze bardziej zachęciły do dalszych poszukiwań. Uczyniłem je, skoro tylko okoliczności pozwoliły, w archiwach ministerjum spraw zagranicznych w Washington, DC., gdzie skupione są najważniejsze dokumenta, dotyczące wojny o niepodległość kolonii amerykańskich, a znalezione tam rękopisy odsłoniły zupełnie nieznaną dotąd kartę tego awanturniczego żywota, którą tu, jakkolwiek nie dającą się we wszystkich szczegółach odtworzyć, przedstawić usiłuję.

---

<sup>1)</sup> Continental Congress — nazwa, którą przybrał Kongres kolonii zjednoczonych, przeciwstawiając się w ten sposób wyspiarzom-Anglikom.

Głównem źródłem do życia Beniowskiego są, jak wiadomo, *Pamiętniki* jego, wydawane wielokrotnie i w rozmaitych językach. Pierwsze wydanie, z którego tłómaczone były inne <sup>1)</sup>, jest angielskie, z roku 1799. Oryginalny manuskrypt, o którym wydawca mówi w przedmowie, iż narówni z rysunkami i planami przechowuje się w British Muzeum, pisany jest w języku francuskim. Zbadał go tam pisarz węgierski, p. Janko, i znalazł pewne niedokładności w tłómaczeniu angielskiem, które posłużyło za pierwowzór dla innych. Prócz tego znalazł inne dokumenta, rzucające sympatyczniejsze światło na autora „*Pamiętników*“, a przy pomocy znawcy japońszczyzny, p. Kawamury, zdołał usunąć wątpliwości co do prawdy ustępów z „*Pamiętników*“, dotyczących pobytu Beniowskiego w Ameryce <sup>2)</sup>.

Z tej samej przedmowy wydawcy angielskiego, Nicholsona, dowiadujemy się, że J. H. Magellan, członek Towarzystwa Królewskiego <sup>3)</sup>, pokazał mu ku końcowi roku 1784 drukowany prospekt na wydanie „*Pamiętników Beniowskiego*“. Beniowski w tym samym czasie udał się był z ekspedycją na Madagaskar, która skończyła się nieomyślnie, bo śmiercią Beniowskiego w roku 1786. Magellan wówczas ogłosił „*Pamiętniki*“, powierzając rękopis Nicholsonowi i obiecując mu dostarczyć wiadomości o dalszych losach Beniowskiego aż do jego śmierci. Tymczasem w końcu 1788 roku Magellan utracił pamięć wskutek choroby.

Jeśli zważymy jednak, iż mimo to wydawca podaje szczegóły o ostatnich latach życia Beniowskiego od końca roku 1788, to dziwnem może wydać się zupełne pominięcie milczeniem pobytu Beniowskiego w Ameryce i jego usiłowań w walce o niepodległość tego kraju. Tłómaczy się to wszakże, naturalnie, tą okolicznością, że Beniowski występował w owym czasie z propozycjami do rządu angielskiego, dotyczącemi Madagaskaru. Nie wypadało mu więc przypominać temu krajowi, że bardzo niedawno stał w szeregach jego nieprzyjaciół.

Po epickiej ucieczce swej z Kāmczatki w roku 1771, Beniowski, okrążywszy lądy Azji i Afryki, a dostrzegłszy warunki tak przyjazne dla kolonizacji na Formozie, zaproponował rządowi francuskiemu <sup>4)</sup>, aby założył tam osadę. Ludwik XV polecił mu skutecznie to na Madagaskarze, jako punkcie bliższym i ważniejszym ze względów

1) Między niemi trzy polskie: 1791, 1796 i 1807.

2) O pracy p. Janko referowała po polsku p. B. Jaroszevska: „Beniowski w świetle nowszych badań“ („*Ateneum*“, rok 1894, tom drugi, str. 316 — 328.

3) To jest Akademii Umiejętności.

4) Beniowski odpłynął z Bolszeriecka dnia 22 kwietnia 1771 roku; przybił do brzegów Francji (Bretanii) 18 lipca 1772 roku.

strategicznych i handlowych. Jako też od marca roku 1773 do końca 1776 zajęty jest Beniowski sprawami Madagaskaru, a tak zjednał sobie ludność miejscową, iż został obrany na naczelnika (*ampanasakabe*)<sup>1)</sup>. Około tego czasu wszakże stanął w nieprzyjaznych stosunkach z zarządem kolonii francuskich w Ile de France, wskutek niesłusznych wymagań. Beniowski zamierzał oprzeć stosunki na życzliwości i przyjaźni dla ludności rdzennej i, jak widzieliśmy, uzyskał jej zaufanie; przeciwnie, u rządu panowały poglądy na politykę kolonizacyjną, podobne do tych, jakie i dziś powszechnie nią kierują. W grudniu więc 1776 roku Beniowski opuścił wyspę i udał się do Francji. Tu, wyjaśnwszy pobudki swego postępowania, otrzymał podziękowanie i szpadę honorową. Wszakże rząd do jego planów się nie przychylił. Udaje się wtedy do Austrii i uzyskuje tam dowództwo nad pułkiem szeklerów, a później starostwo w Fiume.

Dnia 25 grudnia 1783 roku robi Beniowski propozycję rządowi angielskiemu, dotyczącą wpływu na tej wyspie. Rząd nie sprzyjał przedsięwzięciu, lecz Beniowski uzyskał pomoc prywatną Magellana, który ofiarował mu sporą sumę na ekspedycję. Aby ją powiększyć, udał się naprzód Beniowski z ładunkiem do Ameryki. Dnia 14 kwietnia 1784 roku wyjechał z Anglii na statku „Robert and Alma”, którego kapitanem był Mc-Dougall; dnia 8 lipca przybył do Baltimore. Stamtąd wyjechał 25 października tegoż roku na „Intrepide”. Po wielu trudnościach i przeszkodach dostał się na Madagaskar, i tam został zabity czy to przez krajowców, czy może przez Francuzów, którym go oni wydali (dnia 23 maja 1786 roku).

Takie szczegóły (nieco zmodyfikowane przez późniejsze badania p. Janko) podaje wydawca „Pamiętników” o losie Beniowskiego. Dostrzegamy tu przerwę ścisłych dat pomiędzy rokiem 1777<sup>2)</sup> a 1783. Na ten to czas przypada pobyt Beniowskiego w Ameryce.

Najwcześniejszą datą, pod którą spotykamy imię Beniowskiego w papierach Kongresu Lądowego, jest 3 września 1779 roku. Dnia tego Wydział wojenny<sup>3)</sup> przedstawił następującą propozycję Kongresowi:

Wydział wojenny miał rozmowę z panem, nazywającym siebie Le Baron de Benyowsky, a wymienionym w liście generała Gatesa, przedstawionym Wydziałowi. Niczego nie mogliśmy się dowiedzieć ze świadectw, które

1) Dnia 16 września 1776 odbierał przysięgę od 12,000 tubylców.

2) The Board of War — był to komitet stały, utworzony z kilku członków Kongresu, a mający za obowiązek bliższe wnikanie w sprawy wojskowe i referowanie ich Kongresowi. Utworzony został ten Wydział na początku roku 1778; pierwszym prezesem jego był Gates.

3) Data ostatniego listu Sartine'a do Beniowskiego w sprawie Madagaskaru jest: 4 kwietnia 1777 roku.

przedstawił, prócz tego, iż wiozł list do generała Pułaskiego, którego nazywał swoim bratem przyrodnim<sup>1</sup>; żąda jedynie środków dostania się do niego. Sądzić należy, iż jeśliby był oszustem, nie pragnąłby udać się tam, gdzie tak łatwo mógłby być zdemaskowanym. Pozostawiamy decyzję Kongresowi, zgodnie z obowiązkiem naszym, a jeśli zgodzi się na propozycję naszą, pozwalamy sobie wnieść:

Aby Monsieur le Baron de Benyowsky został zaopatrzony w konia i tysiąc dolarów, w celu umożliwienia mu udania się do generała Pułaskiego, obecnie znajdującego się przy Armii Południowej.

Stosownie do zarządzenia Wydziału

Ryszard Peters<sup>2</sup>).

Rezolucya, w duchu raportu tego, została przez Kongres wydana, o czem świadczy drukowany „Journal of the Continental Congress“.

Beniowski skwapliwie skorzystał z okazanej sobie pomocy. W czasie, gdy odbywały się te pertraktacje, K. Pułaski znajdował się już w okolicach Savannah, gdzie sądzono mu było przelać szlachetną krew za niepodległość obcego narodu. Dnia 9 października odbył się niefortunny i źle pomyślany szturm, spowodowany, jak się zdaje, przez zarozumiałość d'Esteigne'a, któremu, jako reprezentującemu potężnego współprzymierzeńca, nie śmiało oprzeć się po amerykańsku rozważny, nieco może ocięczały, Liwingston. Pułaski, raniony karciączem, niezbyt nawet ciężko, przypłacił życiem niedolężne metody chirurgiczne ówczesne. Dostał zakażenia krwi i umarł 11 października na statku „Wasp“, na którym przewożono rannych do Charles townu.

Z memoriału Beniowskiego do Kongresu, który niżej przytaczamy w całości, dowiadujemy się, iż przybył on zaledwie na kilka dni przed śmiercią Pułaskiego do Savannah. Po śmierci zaś swego dawnego towarzysza broni, nie miał zapewne co czynić tam Beniowski. Legia Pułaskiego oddana była pod dowództwo Armada, a Beniowski znalazł się znów w Filadelfii.

Około 20 grudnia przedstawił on Kongresowi memoriał, w którym ofiarowuje swoje usługi w wojsku amerykańskim. Memoriału

<sup>1</sup>) Czy istotnie Beniowski podawał siebie za brata przyrodniego Pułaskiego, czy może członkowie Wydziału, niezbyt biegli we francuszczyźnie, wytlómaczyli angielskim wyrazem „half-brother“, francuski: „frère d'armes“, to jest towarzysz broni, do którego to tytułu Beniowski miał niezawodnie prawo.

<sup>2</sup>) Reports of the Board of War. W rękopisach Kongresu Lądowego w Waszyngtonie, ser. 147. Tom drugi, fol. 441.

tego nie znaleźliśmy w papierach Kongresu Lądowego. Wydział wojny, rozpatrzywszy go, złożył następujące przedstawienie Kongresowi pod datą 20 grudnia 1770 roku.

Wydział, wzięwszy pod uwagę memoriał barona Beniowskiego (Benoufsky), znajduje się w zwykłym swym kłopotcie względem podobnych zgłoszeń. Pan (gentleman) ten [nazywający siebie baronem Beniowskim] <sup>1)</sup> nie przedstawia żadnych dowodów, świadczących o jego charakterze, lub randze w służbie zagranicznej. Rozmawialiśmy z nim, a nie mamy powodów do uważania tego, co nam przedstawił, za nieprawdziwe, chociaż nie możemy stwierdzić tego żadnymi świadectwami. Jakkolwiek zresztą rzecz może się mieć w stosunku do charakteru osobistego, jesteśmy przekonani, że pan ten nie może być użyty w naszej służbie. Wnosimy przeto

Rezolucyę: Wydział wojny donosi Br. Beniowskiemu, że w obecnych warunkach armii nie może być w niej użyty. [Wydział wojny proponuje wydać mu zapomogę, aby umożliwić mu powrót do Europy, oraz wypłacić mu..... dolarów, jako zwrot wydatków, poniesionych na przyjazd] <sup>2)</sup>.

Z rozkazu Wydziału wojny

Ryszard Peters.

Zwrot kosztów i udzielenie zapomogi na podróż powrotną praktykowane były już poprzednio, głównie w stosunku do oficerów francuskich, którym agenci amerykańscy w Paryżu, a zwłaszcza Silas Deane, nie mogli, wskutek nacisku wpływowych osób, odmówić pewnych przyrzeczeń co do służby amerykańskiej, a których Kongres przyjąć nie mógł. Czasami udzielano ich osobom, przez gorliwość dla sprawy Amerykanów dobrowolnie przybywającym. Ale precedens taki mógł wprawić Kongres w niemały kłopot, zwłaszcza wobec tłumnie ściągających się w pierwszych latach walki awanturników i karyerowiczów. To też nie dziwimy się, że propozycja ta została wykreślona — zapewne przy odczytaniu protokołu w Kongresie. Prawdopodobnie nastąpiło to po odczytaniu następującego raportu Wydziału wojny, datowanego 24 grudnia 1779 roku:

Wydział, po uczynieniu przedstawienia, dotyczącego pana, zwanego baronem Beniowskim, dowiedział się o nim

<sup>1)</sup> W nawiasie [ ] umieszczamy wyrazy, wykreślone w brulionie.

<sup>2)</sup> Wykreślone.

pewnych rzeczy, nie sprzyjających jego wymaganiom; prosi więc, aby Kongres zawiesił swoje postanowienie, dopóki Wydział nie uczyni dalszych poszukiwań, dotyczących jego charakteru.

Wreszcie w drukowanym Dzienniku Kongresu znajdujemy następujące postanowienie pod datą 10 maja 1780 roku.

List od barona Beniowskiego z dnia 9 był przeczytany.

Postanowiono, aby sekretarz zawiadomił barona Beniowskiego, że prośbie jego zawartej w liście z dnia 9-go nie może być uczynionem zadość.

Do tej chwili mamy więc tylko dorywcze wiadomości, świadczące o tem, że Beniowski od czasu do czasu zgłasza się do Kongresu z rozmaitemi żądaniem, lub propozycjami, które są odrzucane i że wogóle osoby, wchodzące w skład Wydziału wojny, okazują pewną nieufność względem niego, nieufność zresztą usprawiedliwioną do pewnego stopnia przez szereg doświadczeń poprzednich z rozmaitymi cudzoziemcami z jednej strony, przez brak jakichkolwiek pozytywnych dowodów, lub listów polecających u Beniowskiego z drugiej. Ale oto pod datą 20 czerwca 1780 roku przedstawia Beniowski memoriał do Kongresu, który nie uległ zniszczeniu i pozwala nam odtworzyć szczegóły jego wędrówek, tak zresztą fantastyczne, że budzą wątpliwość, czy nie są zabarwione przez wrodzoną skłonność autora do koloryzacyi:

Wasz memoryalista — czytamy tu — był kapitanem konnicy na służbie cesarskiej <sup>1)</sup>; był również w służbie króla francuskiego, jak to udowodnić może za pomocą świadectw.

Na początku sporu pomiędzy Ameryką a Brytanią wsiadł na statek, udający się do Ameryki, aby przyłączyć się do armii tego kraju; był wszakże tak nieszczęśliwy, iż dostał się w ręce nieprzyjaciół i został uwięziony przez dłuższy czas w Portsmouth, skąd wreszcie udało mu się uciec. Wkrótce wszakże, gdy udać się miał do Ameryki, został powtórnie uwięziony i przywieziony do Plymouth, skąd również uciekł, a obstając przy swoim zamiarze, zo-

<sup>1)</sup> Miało to istotnie miejsce 1755—1757. Wstąpił do wojska Beniowski, mając lat szesnaście. (Urodzony na Węgrzech w roku 1741).

stał po raz trzeci uwięziony. Dzięki wstawieniu się hr. d'Almadovar, odzyskał wolność, lecz utracił wszystko, co posiadał. W końcu udało mu się dostać do Ameryki, gdzie natychmiast udał się do oddziału, zostającego pod komendą generała hr. Pułaskiego. Przez niego, jako przez bliźkiego kuzyna, a pełniąc przy nim rolę dzielnego oficera, miał nadzieję uzyskać stanowisko w armii. W kilka dni jednak po jego przybyciu do legionu, największe ze wszystkich nieszczęść spotkało go — przy szturmie Savannah generał padł u boku waszgo memoryalisty <sup>1)</sup>, a z nim razem jedyny przyjaciel, jakiego miał wasz memoryalista w Ameryce. Pozostaje obecnie tu jako obcy, bez przyjaciół, bez pieniędzy, bez zajęcia, gdyż, od młodości będąc żołnierzem, nie ma doświadczenia w żadnym innym zawodzie, a nawet bez żadnych środków egzystencyi. Nie pozostało mu więc nic innego, jak udać się do was z prośbą o udzielenie mu bezpłatnego przejazdu do Europy obok drobnej sumy na opłacenie wydatków, tu dokonanych, bądź o przyjęcie go w służbę. Jeśli, jak go poinformowano, obecny stan armii nie daje możności uczynić tego, prosi, o udzielenie mu konia, aby mógł udać się do armii, pod komendę Jego Ekscelencyi Głównego Dowódcy, jako ochotnik, gdzie postępowaniem swoim spodziewa się wkrótce uzyskać przychylną notę do Szanownego Kongresu.

Po tym memoryale, o którego skutkach nie znajdujemy śladów w papierach Kongresu, nic nie słyhać o Beniowskim przez rok i trzy kwartały. Czy udało mu się odjechać do Europy, aby stamtąd wrócić z lepszymi poleceniami i dowodami, niż jakie mógł dotychczas przedstawić? Czy może, dotarłszy do armii, zaprzyjaźnił się tu z oficerami cudzoziemcami i przebywał w ich towarzystwie przez cały ten czas?

Jakkolwiekby, dopiero 28 marca 1782 roku udaje się Beniowski listownie do Waszyngtona, a cała treść i ton listu nie pozostawiają wątpliwości, iż jest to pierwszy list naszego współrodaka do głównego dowódcy amerykańskiego. List jest zredagowany po francusku; datowany z Filadelfii, City Taverne. Na kopercie, adresowanej również po francusku, notatka: „otrzymany 19-go“, a z treści widać, że oddawcą był baron Stueben.

<sup>2)</sup> Zaznaczmy w nawiasie, iż jest to już trzeci człowiek, który rościł pretensje do tego, iż był przy Pułaskim w chwili, gdy ten został ranny. Pierwszym jest Rogowski, autor znanego pamiętnika; drugim Bentalon, oficer francuski w służbie amerykańskiej, który, zdaje się, jest jedynym i prawdziwym świadkiem tej chwili.

Generale!

Niedostateczna znajomość języka angielskiego zmusza mnie do uproszenia pana barona Stuebena, aby był wyraziicielem słów moich wobec Waszej Ekscelencji.

U ałem się do Ameryki pod auspicjami ministra francuskiego, lecz celem moim było służenie Stanom Zjednoczonym, niezależnie od wszelkiej innej służby, lub wpływów. Proszę cię, Generale, o poręczenie wobec Kongresu na moją korzyść. Ofiaruję waszej ojczyźnie (której obywatelem pragnę zostać) moją krew, moją wiedzę i moją odwagę. W razie zaś, jeśliby moja propozycja została przyjęta, proszę Cię o łaskę, iżbym mógł odbyć najbliższą kampanię pod Twoją komendą i przy boku Twoim: może być, że szczęśliwe okoliczności pozwolą mi usprawiedliwić oznaki poważania i ufności, któremi mnie zaszczytujesz. Zaszczyciłeś zaufaniem swoim kuzyna mego (cousin Germain), Pułaskiego; zechciej przenieść je i na mnie: gorliwość moja i przywiązanie usprawiedliwią dobroć Twoją.

Opuściłem niedawno służbę cesarską, którą pełniłem podczas ostatniej wojny przeciwko królowi pruskiemu w roli *General de Bataille*, a wróciłem do służby francuskiej w jedynym celu, aby móżd przewieźć się do Ameryki. Oto jest moja przeszłość. Reszta zależy od sądu Waszej Ekscelencji.

Mam zaszczyt być i t. d.

hr. Beniowski.

Odpowiedź Waszyngtona pod tą samą datą jest bardzo grzeczna, ale odmowna <sup>1)</sup>. W krótkim czasie jednak nieprzyjazne Beniowskiemu konstelacje zmieniły się nagle na wprost przeciwne. Domyślać się należy, iż przyczyną tej zmiany było przybycie ambasadora francuskiego, de la Luzerne, który prawdopodobnie znał osobiście Beniowskiego z Francyi, a w każdym razie musiał wiedzieć o jego stosunkach z dworem francuskim i zasługach wobec Francyi. W memoryale bowiem, przedstawionym Kongresowi 6 maja 1782 roku, Beniowski powołuje się na pośrednictwo ambasadora tego i aprobatę przez Waszyngtona planu swego; ten ostatni zaś w odpowiedzi Beniowskiemu nadmienia o otrzymanym od de la Luzerne liście, popierającym go.

List ten znaleźliśmy w kilkudziesięciotomowym zbiorze autografów listów do Waszyngtona <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Ob. Sparks: „Washingtonwritings“, tom ósmy, strona 256.

<sup>2)</sup> „Letters to Washington“, MSS., tom pięćdziesiąty piąty, fol. 337. Archiw. Ministerjum spraw zagranicznych.



Oto jest jego brzmienie:

Filadelfia, 18 kwietnia 1782 roku.

Panie!

P. hr. Beniowski doręczył mi za moim powrotem tu plan, który zamierzał przedstawić Waszej Ekscelencyi podczas pobytu Waszego w Filadelfii. Ponieważ jednak oficer ten jest mi specjalnie polecony przez Dwór, nie chciał uczynić kroku tego przed moim przybyciem. Nie chce on nic proponować Kongresowi, nie zasięgnąwszy uprzednio rady Twej i nie uzyskawszy Twej aprobaty; w tym więc celu udaje się do armii Twej. Nie potrzebuję przypominać Waszej Ekscelencyi zasług i czynów, które zalecają p. Beniowskiego. Jest on Ci dobrze znany, a jestem najmocniej przekonany, że jeśli uznasz, iż może być użytecznym dla Stanów Zjednoczonych, nie będzie w nikim miał szerszego poparcia w wykonaniu tych planów, które go przywiodły na ten ląd.

Mam zaszczyt i t. d.

Chevalier de la Luzerne.

Plan Beniowskiego polegał na sprowadzeniu do Ameryki korpusu, mającego charakter niezależny ciała legionarnego, a zwerbowanego i wyekwipowanego w Niemczech. Cała legia miała składać się z trzech korpusów, z których pierwszy zostawać miał pod komendą pułkownika, drugi — podpułkownika, a trzeci — majora. Ogólna liczba ludzi wynosić miała 3,483. Korpus pierwszy tworzyć miał centrum, dwa pozostałe — prawe i lewe skrzydła. Główne dowództwo spoczywać miało w ręku generała legii, któremu towarzyszyć miał brygadier <sup>1)</sup>. W skład legii wejść miała piechota, konnica i artylerya, a mianowicie dwa szwadrony kawaleryi, cztery kompanie piechoty, jedna kompania grenadyerów, jedna brygada artyleryi, jedna kompania strzelców i jedna brygada wozów. Beniowski zobowiązywał się zwerbować, odziać i zaopatrzyć w broń całą tę legię, oraz przywieźć ją do Ameryki za sumę 518,000 liwrów (100,000 dolarów), która miała być spłacona w trzech ratach, po  $\frac{1}{3}$ , w miarę przybycia każdego oddziału. Cała legia miała stać w terminie nie dłuższym nad dwaście miesięcy. Dalsze warunki omówione są w piętnastu punktach,

<sup>1)</sup> List Beniowskiego do Waszyngtona z datą: „kwiecień, 1782“. Rękopisy ministryum spraw zagranicznych w Waszyngtonie, DC. „Letters to Washington“, tom pięćdziesiąty piąty, fol. 299 -- 306.

dotyczących żołdu, sposobu jego wypłacania, zabezpieczenia po ukończeniu wojny, na wypadek kalectwa, promocyi i t. d. Główniejsze z nich są następujące: Kongres miał gwarantować pewien obszar ziemi, który posłużyłby dla osiedlenia legionistów po ukończeniu wojny. Żołd całej legii wynosić miał 89,500 liwrów miesięcznie i 8,000 liwr. na sztab; Beniowski miał zostać generałem legii; legia nie miała być nigdy rozbijana na pomniejsze oddziały, lecz mogła być wysyłana do oddzielnych armii całemi korpusami, według rozkazu Głównego Dowódcy; cała legia również jak i sam Beniowski, mieli złożyć przysięgę obywatelską Stanom Zjednoczonym.

Cały ten plan, z datą 24 marca, przesłany był Waszyngtonowi przez pośrednictwo barona Stuebena (generalnego inspektora armii), którego prosił Beniowski, aby rozmówił się z Głównym Dowódcą i zakomunikował mu jego opinię. Jakoż na pisanym projekcie znajdujemy szereg uwag, poczynionych ręką Waszyngtona, a w odp. wiodzi jego szczegółowy rozbiór pojedynczych punktów. Stosownie do tych uwag, Beniowski zmodyfikował swój plan, zaum go przedstawił Kongresowi:

Paniej 1).

Na żądanie Twoje i wskutek listu Jego Ekscelencyi Kawalera de la Luzerne, poświęciłem planowi, który zamierzasz przedstawić Kongresowi, a którego tu załączone jest tłumaczenie, całą uwagę, do jakiej jestem zdolny. Pozwolę więc sobie zaznaczyć, że użyteczność wprowadzania korpusu legionowego, złożonego z Niemców, do służby Stanów Zjednoczonych Ameryki, zależy, według mego zdania, od stanu spraw politycznych w Europie, od prawdopodobieństwa dalszego trwania wojny i od sposobu, w jaki będzie prowadzona, nie mniej jednak i od czasu, potrzebnego na to, aby legia ta mogła stać się czynną. Co do pierwszego, nie mam możności utworzyć sobie sądu; myślę jednak, że drugie nie jest tak problematycznym, aby skłoniło Kongres do odrzucenia kontraktu, który, z pewnemi zmianami, a przy pewności, że ludzie staną na miejscu w ciągu dwunastu miesięcy od dnia dzisiejszego, może przynieść nam znaczne korzyści.

Rozważania polityczne muszą niewątpliwie wywrzeć wpływ swój na decyzję, dotyczącą planu takiego rodzaju i takiej rozległości, a z mojej strony jest może niewłaściwem odważać się na zbyt określoną opinię co do jego właściwości. Lecz na żądanie Twoje i na życzenie Jego Ekscelencyi ambasadora francuskiego, wynurzę tu sąd swój na poszczególne artykuły w tym porządku, w jakim po sobie następują.

1) Pisał Waszyngton pod datą 27 kwietnia 1782 roku z Newburgh,

Koszta 518,000 liwrów na zwerbowanie, ubranie, uzbrojenie, wyekwipowanie i transport korpusu, złożonego z 3,481 ludzi są istotnie umiarkowane..

Dalej idą uwagi techniczne, dotyczące każdego z piętnastu punktów, których tu nie powiaramy. Poczyniwszy odpowiednie do tych uwag zmiany w projekcie kontraktu, a usunąwszy z niego punkta, które wydawały się Waszyngtonowi niewłaściwemi <sup>1)</sup>, Beniowski przedstawił go Kongresowi razem z memoryałem następującej treści, pod datą 6 maja 1782 roku, adresowanym do prezesa tego ciała:

Panie!

Byłoby zbyt cieżko przedkładać Waszej Ekszelencyi przyczyny i powody, które skłoniły mię do opuszczenia własnej ojczyzny i do ofiarowania usług obcemu państwu. Muszą one być dobrze znane Waszej Ekszelencyi ze znanego losu Polski, oraz wypadków, które pobudziły kuzyna mego, generała hr. Pułaskiego, do przybycia tu i ofiarowania usług Stanom Zjednoczonym. Zaznaczę więc jedynie, że po zrujnowaniu i podziale kraju mego, ofiarowałem usługi swe Francyi, gdzie byłem przychylnie przyjęty i gdzie gorliwość moja została wynagrodzona rangą generała brygady w armii królewskiej, oraz orderem wojskowym świętego Ludwika. Reputacya, jaką tam uzyskałem, spowodowała, iż cesarz niemiecki powołał mnie do służby swojej, a za pozwoleniem króla francuskiego, służyłem mu w ciągu ostatniej wojny z Prusami w randze i stanowisku generała-majora. Po zawarciu pokoju między temi państwami, wróciłem do Francyi, skąd obecnie przybywam, aby wziąć udział w obronie słynnej sprawy Stanów Zjednoczonych. Przedstawiwszy życzenie swoje ministrowi

<sup>1)</sup> A mianowicie ósmy i dziewiąty. W pierwszym z nich mówiło się, że Beniowski będzie pobierał co miesiąc 89,600 liwrów na opłatę żołdu legii i jej utrzymanie; w drugim, że suma, 8,000 liwrów miesięcznie będzie mu udzielanych na opłatę jej sztabu. Uwaga Waszyngtona, dotycząca tych punktów, brzmi, jak następuje: „Artykuły 8-my i 9-ty nie mogą być, mojem zdaniem, dopuszczone; dostarczałyby bowiem pewną ilość opłaty i środków subsystencyi miesięcznie dla korpusu, który, wskutek śmierci, dezercyi i innych okoliczności, może być znacznie zredukowany. Są one przytęm niezgodne z pojęciem, jakie sobie utworzyłem o słuszość i 5-go punktu (głoszącego, że opłata korpusu będzie dostarczana zgodnie z wynikami rewizyi inspekyi), i mają tendencyę do przeciwstawiania interesów br. Beniowskiego interesom Stanów Zjednoczonych; co nie jest politycznem, chociaż jestem przekonany, że żadne niewłaściwe pobudki nie mogą wpłynąć na Twoje postępowanie“.

francuskiemu, a uzyskawszy następnie pozwolenie króla, przedstawiam się pod temi auspicjami ze specjalnym planem, który uczyni służbę moją użyteczniejszą. Mam zaszczyt przedstawić go przez ambasadora królewskiego, a za zgodą Jego Ekscelencyi generała Waszyngtona, który przejrzał mój plan i dał aprobatę na każdy jego artykuł, jak o tem przekona Waszą Ekscelencyę podpis jego na załączonym dokumencie, Pragnę gorąco, aby propozycje moje zostały przyjęte przez Kongres; zapewniają one bowiem dwojaką korzyść Stanom, a mianowicie: przyrost ludności, zdolnych i dzielnych obrońców i obywateli. Propozycje te spoczywają prócz tego na jasnym i ekonomicznym planie, oraz na zasadach najściślejszej karności wojskowej. Takie są korzyści, które kongres zapewni Stanom, przyjmując moje propozycje, a nie dają im innego zabarwienia, prócz tego, które tkwi w ich naturalnej sile.

Dołącza do tego prośbę o jak najrychlejsze podpisanie kontraktu, upoważnienie do zawierania układów z oficerami i o nominacyę własną.

Z notatki na autografie widać, iż propozycja Beniowskiego odczytana była w Kongresie tegoż dnia, 6 maja, i odesłana do Wydziału wojennego; oddana do referatu po raz pierwszy (14 maja) Komisji, złożonej z Clarke'a, Rutledge'a i Bland'a; następnie powierzono ją powtórnie (27 maja) innej Komisji, w której skład weszli Madisson, Scott i Ramsey.

Pierwsza z tych Komisji złożyła swój raport w dniu 24 maja. Wymienia w nim, że Beniowski przedstawił osobiście dowody, iż był w armii francuskiej w randze pułkownika, następnie awansowany na generała brygady i odznaczony orderem wojskowym świętego Ludwika; że propozycja jego aprobowana jest przez Waszyngtona i t. d.

Komitet Wasz sądzi,—czytamy dalej,— iż przyjęcie na żołd Stanów Zjednoczonych 3,483 czynnych, wytrawnych żołnierzy, którzy zostaną użytecznymi obywatelami po ukończeniu wojny, lub przynajmniej ta ich część, jaka zostanie przy życiu, stanowić będzie znaczną ulgę ciężarów, spoczywających z konieczności na Stanach, już wycieńczonych i mających ludność przerzedzoną; że wydatki, poniesione na werbunek i utrzymanie tego wojska, będą o tyle mniejsze od kosztów utrzymania takiej samej ilości żołnierza, pobranego w tych Stanach, wśród ich mieszkańców, że da się odczuć jako ulga w waszych ciężarach pieniężnych.

Komitet więc jest tego zdania, że warunki przedstawione są umiarkowane i mogą być przyjęte przez Państwo Zjednoczone, zgromadzone na Kongresie, na podstawie czego postanowiono:

Kongres przyjmuje warunki, proponowane przez hr. Beniowskiego, jako umiarkowane same w sobie, a korzystne dla Państw Zjednoczonych, oraz nakazuje, aby minister wojny wystawił dwa odpisy umowy, czyli konwencji, zawartej w imieniu Państw Zjednoczonych, zgromadzonych na Kongresie, na podstawie owych artykułów, a zgodnie z ich duchem i brzmieniem; umowa ta ma być ratyfikowana przez prezydenta ze strony Kongresu, oraz bar. Beniowskiego, któremu udzielona zostanie władza i prawo omówione w 1, 2, 3 i 4 artykułach dodatkowych.

Postanowiono, że oficerowie niemieccy i francuscy, należący do armii Państw Zjednoczonych, a nie przywiązani do jakichkolwiek specjalnych komend, lub korpusów, którzyby zechcieli wstąpić do legii bar. Beniowskiego mającej nazywać się Legią Amerykańską) mogą to uczynić; że zostaną w takim razie w Ameryce pod komendą Głównego Dowódcy, aby opiekować się oddziałami legii i ćwiczyć je, w miarę ich przybywania.

Zwyczajem było, iż Wydział wojny nadawał propozycjom swoim formę rezolucyi Kongresu; w razie przyjęcia ich przez głosowanie, podpisywał je prezes i oddawano w tej formie do druku. W razie zmian jakichkolwiek, robiły się poprawki przy czytaniu w Kongresie. Dokument, przed chwilą przytoczony, nie ma żadnego podpisu; tylko na odwrotnej stronie stoi (jako „indorsment“): „Raport pp. Clarke’a, Rutledge i Blanda o propozycji bar. Beniowskiego, przedstawiony 24 maja 1782 roku.

Wiemy już, że propozycja Beniowskiego oddana była powtórnie do zreferowania innej Komisji, a ta złożyła raport swój 28 maja.

Brzmi on tak:

Propozycja wprowadzenia do służby Stanów Zjednoczonych korpusu legionowego, przyłączona do listu z dnia 6 maja, rozważana była przez Kongres z uwagą, na jaką zasługuje, ze względu na doniosłość swoją [również jak i na auspicye, pod którymi przedstawioną była] <sup>1)</sup>. Gorliwość dla sprawy amerykańskiej, którą wykazuje autor, a którą ujawniają wspaniałomyślne warunki propozycji, nie omieszkała obudzić słusznego szacunku dla jego charakteru, oraz dyspozycji, przyjaznej jego życzeniom. Wszakże rozważania, w żadnej mierze nie czyniące ujmy temu sza-

---

1) Wyrazy wykreślone.

czunkowi, oraz tej dyspozycyi, zmuszają Kongres do uchynienia lecia uczynionej mu propozycyi <sup>1)</sup>.

Jakie były powody tej nagłej zmiany opinii? Czyżby stanowiła o niej ta drobna różnica kilku dni, które oddzielały pierwszą decyzję od drugiej? Czy może raczej wpływał skład osobisty obu komitetów i dążności stronnictw, lub koteryi, które reprezentowały? Skłonni jesteśmy przyjąć, że jeśli decydował tu osobisty skład Komisji, to tylko w tej mierze, w jakiej członkowie każdej z nich skłonni byli optymistycznie, lub pesymistycznie zapatrywać się na bliskość rokowań pokojowych.

Istotnie, kapitulacya Cornvallis w dniu 17 października 1781 roku była ostatnim ciosem, zadany Ameryce, przez połączoną siłę kolonistów i Francuzów. Wiadomość o niej napeliła gniewem i przerażeniem dwór londyński, a radością postępowe żywioły w Anglii, które sprzyjały Amerykanom i uznawały słuszność ich żądań. Dnia 4 marca 1782 roku speaker donosił izbie posłów, iż król, na prośbę izby lordów, zgadza się na przedsięwzięcie kroków pokojowych, a niebawem wydany został bill odpowiedni. Ministerium Northa, winowajca tyłu klęsk, poniesionych przez Anglię, musiało ustąpić liberalnemu, z Karolem J. Foxem na czele. W maju najwyższe dowództwo wojsk angielskich w Ameryce, odjęte Clintonowi, powierzone zostało Guy Carletonowi, sprzyjającemu Amerykanom, który też natychmiast przerwał kroki nieprzyjazne. W lecie rozpoczęły się rokowania pokojowe z Franklinem w Paryżu, które zakończyły się preliminarzami pokoju, podpisanymi dnia 20 listopada.

Konstelacye polityczne zmieniły się więc bardzo szybko, a w sposób przyjazny dla Ameryki. Tegoż samego dnia (14 kwietnia 1782 roku), w którym de la Luzerne wysyłał do Waszyngtona list, polecający Beniowskiego, pisał do niego także drugi list, w którym komunikował mu rozmaite wieści, jakie zastał po przybyciu do Filadelfii. Przesyłając mu „les hommages respectueux“ od głównych oficerów armii francuskiej w Ameryce, donosił jednocześnie, że zastał listy od Dworu. „Słone z lutego bieżącego roku i nie przynoszą żadnych widoków pokojowych. Pośrednictwo dworów Petersburskiego i Wiedeńskiego nie uczyniło żadnych postępów, a dwór Londyński, zdaje się, jest zdecydowany próbować szczęścia w nowej kampanii, w której rozwinie całą potęgę, jaka mu pozostaje“. Dodawał do tego narzekania na nieliczność armii amerykańskiej i żądał dokładnych wiadomości w tym przedmiocie <sup>2)</sup>.

Pod wpływem tych wiadomości i pisał Waszyngton swoje uwagi o projekcie Beniowskiego. Ale ku czasowi, gdy pierwsza Komisya przedstawiła swoją rezolucję, wieść o zmianie ministerium musiała

<sup>1)</sup> Papiery Kongresu Lądowego, serya XIX, tom pierwszy, fol. 293, 271 i 269.

<sup>2)</sup> „Letters to Washington“ (MSS.). Tom pięćdziesiąty piąty, fol. 338.

już była nadejść: projekt należało teraz rozważyć nie ze stanowiska jego wartości technicznie wojskowej, lecz z punktu widzenia politycznego prawdopodobieństwa jego potrzeby wogóle. Dla tego też od razu go powtórnie do referatu i zamianowano nową Komisję.

Jak przyjął tę rezolucję Beniowski, i jak wpłynęła na dalsze jego zamiary?

O usposobieniu jego pouczają, a odpowiedź na pytania te dadzą dwa jego listy, ostatnie, jakie się przechowały z pisanyca.

Pierwszy jest datowany z Filadelfii dnia 13 maja. Adresowany do Waszyngtona, świadczy o niecierpliwości, z jaką oczekiwał rezolucyi, a najprawdopodobniej pisany był w tajnej nadziei, iż wódz zechce wpłynąć na jej przyspieszenie:

Mam zaszczyt donieść Waszej Ekscelencyi o mojem tu przybyciu <sup>1)</sup>. Propozycye moje przedstawione są kongresowi, łącznie z uwagami o nich Waszej Ekscelencyi, i lada dzień spodziewam się otrzymać ostateczną decyzję. Nie chciałbym wszakże odkładać chociażby na chwilę podziękowania Waszej Ekscelencyi za uprzejmość i dobroć. Jego dla mnie, a proszę jednocześnie o laskawe złożenie szacunków moich Pani swojej i proszę werzyć, że we wszelkich okolicznościach mam zaszczyt być, tak, jak się podpisuję, z największym szacunkiem Waszej Ekscelencyi pokornym i powolnym sługą

bar. Beniowski.

Oczekuję listu Waszej Ekscelencyi i klucza cyfrowanego <sup>2)</sup>.

Drugi list pod datą 15 czerwca (1782), datowany również z Filadelfii, pisany był do br. Stuebena. Angielskie tłumaczenie jego znajdujemy również wśród listów do Waszyngtona, przesłane mu zapewne przez Stuebena <sup>3)</sup>.

Drogi Przyjacielu!

Miałbyś wcześniej wiadomość ode mnie, gdyby nie choroba, która mnie męczyła. Moje sprawy tu są wreszcie ukończone. Kongres uznał za właściwe odrzucić moje propozycye, nie będziemy więc, Kochany Przyjacielu, służyć pod je (nakowemi barwami. Niech i tak będzie.

Listy, które tylko co z Francyi odebrałem, donoszą mi o zmianie ministeryum. Piszą mi także, że La Fayette

<sup>1)</sup> Z Newburgh, gdzie przedstawił Waszyngtonowi swój plan.

<sup>2)</sup> „Letters to Washington“ (MSS.). Tom sześćdziesiąty szósty fol. 231.

<sup>3)</sup> „Letters to Washington“ (MSS.). Tom pięćdziesiąty siódmy, fol. 141.

nie można się prędko tu spodziewać; nie mogę wszakże uwierzyć, iżby już się zniechęcił. Co do mnie osobiście, nie pozostaje mi nic więcej, jak wracać. Ponieważ jednak nie wiem, kiedy odjedzie pierwszy statek królewski, nie mogę oznaczyć czasu swego wyjazdu. Nie mam bowiem chęci podróżować na okręcie kupieckim; wcale mi nie uśmiecha się perspektywa dostania się do Nowego Yorku... <sup>1)</sup>.

Udzieliwszy dalej rozmaitych wiadomości politycznych i rozważań o możliwym wpływie zmiany ministryum francuskiego na sprawy amerykańskie, tak kontynuje:

„Piszą mi, a nawet zapewniają, iż mogę spodziewać się gubernatorstwa <sup>2)</sup>; nie chcę wszakże uprzedzać przyszłości. Gdy powrócę, zobaczę, jak sprawy stoją. Cieszę się nadzieją spotkania Cię w Paryżu w roku bieżącym...

Po kilku dalszych uwagach, dotyczących spodziewanego następcy de la Luzerne'a, znajdujemy ustęp, dotyczący Waszyngtona:

Będę pisał do generała Waszyngtona, aby mu życzyć z całego serca wszelkiej pomyślności. Nie mam powodu narzekać na niego; przeciwnie. doświadczyłem od niego największej uprzejmości. Przywiązany więc jestem do niego przez wdzięczność, również jak i do Ciebie, kochany Przyjacielu. Mój szcunek i przyjaźń zawsze towarzyszyć Ci będą.

Chociaż działalność Beniowskiego w Ameryce nie sądzono było wykroczyć poza plany i zamiary, wszakże ta korespondencya niezawodnej autentyczności o człowieku, który jest prawie więcej mytem, niż postacią historyczną, rzuca ciekawe światło na jego charakter. Podziwiamy mianowicie jego energię, przedsiębiorczość i wytrwałość w postanowieniach, a zarazem i sprężystość, z jaką odbijają się niepowodzenia od tej hartowanej duszy, rychło powracającej do nowych i śmiałych pomysłów.

W. M. KOZŁOWSKI.

<sup>1)</sup> Nowy York był wówczas w ręku Anglików.

<sup>2)</sup> Czy na Madagaskarce? Skłonni jesteśmy przyjąć te widoki za wynik chęci pokazania, że mało go obeszło niepowodzenie rokowań z Kongresem.



# Piśmiennictwo.

---

ZYGMUNT GLOGER: „Encyklopedia staropolska ilustrowana”. Tom trzeci, Warszawa, 1902. Stron 350, wielkie 8-o w dwie szpalty.

Dzieła, którego dwa pierwsze tomy omówiliśmy dawniej, pojawił się świeżo tom trzeci. Nie myślimy powtarzać, cośmy o szlachetnej tendencji autora, o pożytku i potrzebie, a raczej konieczności podobnego wydawnictwa, o wielkim nakładzie pracy, o szczegółach wykonania, dawniej już przytaczali; wobec ustalonej opinii o dziele i autorze jego, nie myślimy ponownie zwracać uwagi oświeconego ogółu na popieranie tej pracy, oznaki hołdu, złożonego świetnej przeszłości, i miłości, przejętej wszystkim, co swojskie.

Treść tego tomu równie obfita i dobrana, jak w obu poprzednich. Żadna dziedzina dawnego życia, publicznego czy prywatnego, nie uszła uwagi pilnego i szczęśliwego zbieracza, rozkładającego swe zasoby przed czytelnikiem, oprowadzającego widza wdzięcznego po wszystkich nawet zakątkach, po celach klasztornych czy komnatach zamkowych, po kościołach i izbach sądowych i sejmowych, po karczmach z weseliskiem hucznym, po łaźniach, młynach, kuźniach i t. d.; orderzy i medale, monety i pieczęcie (na tym artykule urywa właśnie tom trzeci, zaczynający od k a p e l u s z y — artykuły idą w porządku abecadlowym nagłówków); części ubrania i zbroi; szczegóły zabaw i uczt, pokarmów i napojów, łowów i kuligów, szkół i cechów, rzemiosł i przemysłu, ogrodnictwa i pszczelarstwa, — wszystko przesuwają się przed oczami widza; wskrzesają zamarłe postaci i zwyczaje, podania i dzieje, instytucje i zakłady, komisje edukacyjna i boni ordynis miejskie. Coraz częściej posługuje się autor i pomocą obcą, znawców i zbieraczy; z dziejów Warszawy dostarcza mu szczegółów p. Gomulicki (o początkach jej litografii; o dawnych obwołaniach); z dziejów wojskowości polskiej ostatniego jej wieku p. Gembarzew-

ski; zmarły świeżo brat Wacław dał artykuł o obrazach cudownych; dr. Kopera o pomnikach krakowski h i insygniach koronacyjnych; się rozpiął, p. Kraszewski o dawnych labiryntach ogrodowych; z Sadowskiego, Kolberga i innych badaczy przejęto całe ustępy. Pomniki społeczne, listy, ogłoszenia, klepsydry, np. oryginalny list polski Potockiego z roku 1529, klepsydra po Adamie Czartoryskim 1833 r. i po Ant. Malczewskim, cytacje z najrzadszych broszur (opisu łaźni pińczowskiej z XVII w. wierszem i t. d.) a wreszcie liczne, autentyczne ilustracje dopełniają malowniczego obrazu. I życzylibyśmy tylko jeszcze więcej rycin i jeszcze więcej artykułów — ale to rzecz, od prenumeratorów głównie, nietylko od dobrej woli autorskiej zawisła.

Nie pominiemy kilku uwag krytycznych. Ceniąc znaczenie przysłów, co w swoim rodzaju też niby ilustracją przedstawia, przytacza je autor stale, a czasem objaśnienia ich bliższe daje. Więc np. pod słowem k o r d wspomina autor przysłowie N i e d o k o r d a p a n i e H o r d a i prawi o nieumiejętnym rębaczu i hordzie Tatarskiej. Załączmy jednak, ponieważ mamy bardzo wiele podobnych przysłów, że to myłka, że niema tu żadnej reminiscencyi historycznej, aluzyi do osobistości lub stosunków, że to jedynie bezmyślny dodatek gwoli rymul i nie się z niego wyprowadzać ani objaśniać nie godzi. Takie Strachy na Lachy, Skąd data z Mikstata, Nie do korda panie Horda, Beatus qui tenet mówi pan Benet i setki innych, nie a nie nie znaczą, brzmiały pierwotnie tylko tak: strachy to, z kąd data, beatus qui tenet, nie do korda; na Lachy, z Mikstata, panie horda dodawał głupiatki zaczątek, czy jakiś inny filozof z pod ciemnej gwiazdy, tak samo jak mu niewystarczało przysłowie: każda liszka swój ogon chwali, lecz stale (w XVIII wieku) prawili: i x p i x c ū m v o c a l i k a ż d a l i s z k a s w ó j o g o n c h w a l i i t. d. Dawniejsza literatura nie zna tych marnych dodatków i nienależy ich przytaczać, bo nie się za nimi nie kryje, prócz bezmyślnej chętki przyciągnięcia za włosy jakiegoś rymu, choćby polszczyźnie przytem karku nadtrącić miano. Więc te ilustracje słowne nie są nic a nie autentyczne; to coś niby Majeranowski z s. p. Pszczółki krakowskiej.

Znajdzie się czasem i inna nieautentyczność; np. Konik Zwierzyniecki jest prastarą zabawą cechową, ale z Tatarami i ich inkursją w najmniejszym nie stoi związku. Twierdzenie, jakoby k a r r e t urzędnika-celnika, nowego Zacheusza niby, oznaczał również obronę się nie da. K a r n a l nie kapturek dla sokołów, lecz kamień

w sygnecie. Ciągnięcie kota nie poszło od ciągnięcia uciążliwego kotwicy po suszy, lecz od ciągnięcia kota na powrozie (wiązano do powroza fryca, miał on uwiązanego u drugiego końca kota ciągnąć, lecz to czepiali się wszyscy razem tego końca, a kota i niebyło wcale, i ciągnęli nieszczęśliwego fryca po wodzie i błocie; kara to i wojskowa i cechowa, jak np. rzeźnięcie się w koszu). Kasztelan, nie tylko gra w karty, lecz grano o kasztelana (t. j. za darmo, o honor) w warcaby lub szachy: gdy z dwu grających jeden się ciągle przechwalał, „nie zrobił mnie kasztelanem“, drugi się nań ofuknął: „trudno z błazna kasztelana udzielać“ i do podobnej gry (o kasztelański stolek) warcabowej ściągają się wiersze Opaleńskiego, przytoczone przez autora. Kwietnia niedziela przetrwała długie czasy, nie ustala rychło i pełno po dawnych rękopisach tekstów, recytowanych przez żaków w procesyi palmowej; mamy ich dotąd kilkanaście, nieraz bardzo obszernych, a niektóre są i w druku i chociaż nie brakło momentów śmiesznych, przeważały znacznie poważne i pobożne rozmyślenia, parafrazy na temat słów ewangelicznych — przecież p. Gloger cytuje sam (na str. 298 pod „Oracyami“) jakieś niezupełnie nam zupełnie dziełko, St. Skoreckiego deklamacye na dzień wielkanocny dla ćwiczenia pacholąt szkolnych“ z r. 1591 — znam z tego samego roku Tomasza Bielawskiego „procesyą wielkanocną“: one to odpowiadają typowi tych procesyj kwietniowej niedzieli, ludus palmarum i w parze z niemi chodziły. Nie godzilibyśmy się na różne wywody słowne, np. pod kozubalec (zamiast korubales, jak kretales i inne opłaty szkolne z kłeska po łacinie nazywane, ogólnie od żydów, nietylko za nowe osiedlenie się na jakiejś pustoszy miejskiej, wybierane); pod kulikiem (szukano niby ptaszka kulika od dworu do dworu, nie od kuli i podobnych rzeczy nazywano tę zabawę) i t. d. Pod pamięcią przytacza autor pamięć Strzępińskiego, biskupa krakowskiego, że „całą biblię przez brata jego Piotra wierszem ułożoną z pamięci bez myłki recytował— ależ to braciśzek (zakonny) Piotr (z Rygi), ułożył był treść biblijną wierszami i jeżeli tu Długosz miał na myśli nie samą „Aurorę“ Piotra, lecz krótszą tych wierszy redakcyę, to sztuki zbyt wielkiej Strzępiński wcale by nie dokonał. Pod Marraną nie należało bez zastrzeżeń powtarzać zmyśleń kronikarskich o bogini czy bałwanie Marranie — nazwa to przecież chrześcijańska Ligawka, długa na kilka stóp „trąba“ pastusza, nie od legania ale od prastarego ligania (wydawania okrzyku) przezwana; Mierzeja również nie międzyrzeczem. Pod kartami przytoczona „Pikieta niestatecznej fortuny“—ale to nietylko rękopis, lecz drukowana spólcześnie broszura;

nie ochopnia, ale ochopień nazywała się ta szata zwierchnia i t. d.

Wobec obfitości niektórych artykułów (np. o orderach polskich, zapytalibyśmy, czy czasem nie brak czegoś istotnego. Niema np. artykułu o muzeach. Prawda, książka p. Glogera obejmuje rzeczy do r. 1830, ależ tu należałoby się zrobić wyjątek, gdyż właśnie najliczniejsze przedmioty, Encyklopedyi dotyczące, mieszczą się po naszych muzeach prywatnych, więc należałaby się ogólna wzmianka o zbiorach ksiąg, rękopisów, rycin, obrazów, medali, zbroji i innych starożytności, Czartoryskich, Czapskich, Lubomirskich, Raczyńskich, Sanguszków, Czetyrtyńskich, Działyńskich, Czarnieckich, Zamoyskich Lanckorońskich, Baworowskich, Pawlikowskich i t. d. — Jeżewskie zbiory autora samego i niedawno do Warszawy szczęśliwie przybyłe zbiory pułkownika Chojnowskiego, lub zbiory Bersohna tamże, Koziańskiego we Lwowie, Kościelskiego w Miłostawiu i inne, — im wszystkim należałoby się choć po kilka słów wzmianki; ważność to uzupełnienia do samej Encyklopedyi, uzupełnienia niby żywe, autentyczne. Brak takiego artykułu razi tembardziej, skoro autor niewyczerpany w ciągłym nawoływaniu ludzi dobrej woli do ratowania od ostatecznej zagłady, niknących w naszych oczach, zabytków materialnych przeszłości; bardzo wymowne te jego słowa i spodziewamy się, że znajdą nieraz oddźwięk; w tym tomie np. pod *K o w a l s t w o* znajdziemy taki apel i pod innymi terminami.

Może należałoby też w objaśnieniach samych słów być bardziej oszczędnym. Encyklopedia nie słownik staropolski, Lindego nie zastąpi nigdy, więc mogłaby się zadowolić najkrótszym objaśnieniem i po cytacye odsyłać do słownika — jej zadaniem wyłącznie realia, rzeczy, nie słowa. Ona nie potrzebuje więc i żadnych wywodów etymologicznych, a szczególnie fałszywych strzedz się winna (np. wystarczało pod *ł o k t u s z ą* powiedzieć, że to *p ł a c h t a* i nie prawić jakoby ona od zawijania *ł o k e i* nazwana, skoroż to termin niemiecki); podobnież obeszło by się i pod *k n y s z e m* bez etymologii, aż nadto wątpliwej — termin to ruski, polski i t. d.; toż pod *o b e l n y* (termin powtarza się i w Prawdzie Ruskiej, więc nie może z łaciny pochodzić!), zato pod *o l b o r a* należało się objaśnienie pochodzenia słowa samego: i w *o b e l n y m* i w *o l b o r z e* skurczyło się pierwotne szerokie znaczenie na bardzo ograniczone i szczupłe.

Ależ to są tylko drobne skazy i plamki, które łatwo w ostatnim tomie poprawić, usunąć. Życzymy jak najrychlejszego dokończenia dzieła: każde bowiem abecadłowo ułożone dzieło pozostaje dopóty torksem bezkształtnym, póki niema całości; całość okaże najlepiej war-

tość trwałą, podstawową Encyklopedyi, która winna się znaleźć w ręku każdego badacza, literata, miłośnika rzeczy ojczystych. Czy podola autor w jednym tomie, czwartym reszcie materii? wątpić wolno, skoro trzeci na Pieczęciach urywa; za wielką uważalibyśmy szkodę, gdyby zbyt się w ostatnim tomie miał ścieśniać. Z największą wdzięcznością uznać należy, że wertowanie tych kart sprawia największe zadowolenie; one bawią i pouczają zarazem. Ciągła odmiana przedmiotu; różne rozmiary artykułów, od kilkuwierszowych do kilkustronicowych (np. artykuł „Klejnoty i insygnia koronne“ ciągnie się od str. 34 do 44; por. też Ł o y, Ordery str. 298—306 itd.); wplatania anegdot Żery, wierszy humorystycznych W. Potockiego (np. na Łysych), listów i „lamentów“ dawnych, opisów społecznych; przytaczania rozmaitych legend, wspomnień i t. d., ożywiają nadzwyczaj tok dzieła a raczej artykułów jego; natrafiasz coraz na niespodziankę, druk stary, list nieznan, rycinę Elzewirową, tradycję domową, zwyczaj ludowy a coraz z innej strony kraju, warstwy społecznej, z innej odległości dziejowej; nie słabnie uwaga czytającego; nie skąpi też autor słów ciepłych, uwag mądrych — nie korzy się on przed bałwanami modernizmu, nie potępia w czambuł przeszłości, ale i zbyt jej nie idealizuje, stara się oddać jej co sprawiedliwe i mimo woli budzi dla niej uszanowanie i miłość. Jest to dzieło nietylko antykwaryusza biegłego, zapalonego zbieracza, jest to dzieło myślącego, kochającego swoje i swoich obywatela.

A. BRÜCKNER.

---

DR ZYGMUNT GARGAS „Związki zawodowe jako przedmioty administracji publicznej“. 1901.

Zawodem w znaczeniu podmiotowym zowie autor przynależność jakiejś osoby do jednej z gałęzi zarobkowania, i to przynależność stałą. Wstąpienie więc do jakiegoś zawodu jest stosunkiem trwającym niejednokrotnie przez całe życie, a zawodem w znaczeniu przedmiotowym jest ogół czynności, skierowanych do jakiegoś ściśle oznaczonego celu produkcyjnego. Związkiem zawodowym zowiemy pewien ogół osób, połączony węzłami stałej przynależności do jednej z gałęzi zarobkowania, wykonywających czynności skierowane do pewnego ściśle oznaczonego celu produkcyjnego. Związki zawodowe są w wielu wypadkach identyczne z klasami społecznymi. Zwłaszcza ma to

miejsce w tych wypadkach, gdy związki zawodowe posiadają zasadniczą cechę wszelki-go prawa publicznego—przymusowość.

Związki zawodowe od dawna pełniły funkcje administracyjne, utrzymywały część życia społecznego w normalnym toku. Dawniej ich znaczenie i od tym względem było o wiele wybitniejsze. Następnie jednak przesunięcie się punktu ciężkości ze związków zawodowych na państwo spowodowało chwilowe ich zniesienie zupełne. Związki zawodowe doby współczesnej odróżnia zasadniczo od związków zawodowych dawniej istniejących to znamię charakterystyczne, że dawne związki nadawały piętno całemu życiu społecznemu, stanowiły o organizacji politycznej, dziś dzieje się to tylko wyjątkowo. Zawód jest przede wszystkim z natury rzeczy pojęciem gospodarczem. Związek przeto, strzegąc interesów zawodowych, stoi na straży interesów gospodarczych. Jednakże interesa gospodarcze sprowadzają zawsze skutki natury moralnej lub duchowej. W każdym zawodzie wyrabia się też odrębna godność stanu, mająca, na zewnątrz przynajmniej, charakter stanowczo niematerialny. Związki zawodowe, w każdym razie nie nadają piętna całemu życiu gospodarczemu, nie stanowią o całokształcie organizacji politycznej. Obecnie można należeć do kilku związków zawodowych, gdy dawne związki pochłaniały całe jestestwo wsiych członków.

Związki zawodowe, mające charakter związków publicznych, oparte są na zasadzie przymusowości, tworzone na zasadzie norm prawa publicznego, pełnią one funkcje administracyjne. Funkcje te należy uważać za samorząd, a związki za organa samorządne. W Austrii istnieje siedem kategorii związków zawodowych, opartych na zasadzie przymusowości: stowarzyszenia przemysłowe, stowarzyszenia górnicze, izby handlowe i przemysłowe, izby adwokackie notaryalne i lekarskie, wreszcie kasy brackie (górnice). Z tych tylko pierwszych sześć kategorii ma charakter ogólny, podczas gdy funkcje kas brackich są ograniczone celami bardzo specjalnemi. Nie należy do związków zawodowych, jak to Blodig czyni, zaliczać zakładów ubezpieczenia robotników od wypadków, ani kas chorych, ponieważ związki te obejmują pewne warstwy, czy klasy społeczne, nie uwzględniając wcale, lub tylko ubocznie, różniczkowanie się tych klas wedle zawodów.

I związki zawodowe opierają się o terytoryum. Ale tutaj, moment terytoryalny usuwa się na drugi plan, albowiem wspólność zawodu stanowi w tym wypadku moment decydujący. Związek zawodowy był przede wszystkim związkiem osób. O ile niema w danej instytucji naleciałości historycznie wytworzonych, widocznem jest dążenie do oparcia tych związków o organizacje terytoryalne. Tak, izby nota-

ryalne korespondują z okręgami sądowemi. Więcej samoistności okazują już izby handlowe i przemysłowe, obejmujące kilka powiatów, względnie całe kraje koronne. Przynależność do związku nie zależy od dobrej woli osoby interesowanej, lecz jest wpływem normy prawa publicznego, wpływem przymusu. Naczelnym organem związków jest ogólne zgromadzenie członków, wyjątkowo tylko zgromadzenie delegatów. Wyjątek ten zachodzi wówczas, gdy stowarzyszenie liczy więcej niż 300 członków, jest zaś objawem prawidłowym w izbach handlowych i przemysłowych.

Funkcye ogólnego zgromadzenia są dość ograniczone. Jest ono organem uchwalającym i kontrolującym. Ważniejszym dla ocenienia znaczenia związków zawodowych, dla całokształtu administracji publicznej, jest stanowisko zarządu. Zarząd bowiem załatwia interesy związku i jest zazwyczaj uorganizowany kolegialnie. Wyjątek tylko zachodzi co do izb handlowych i przemysłowych, w których zarząd uorganizowany jest biurokratycznie. Wszystkie związki zawodowe mają wprawdzie jeden i ten sam cel: strzedz interesów zawodowych; ale jedne to czynią ogólnie, stając na straży wszelkich interesów zawodowych, jak np. stowarzyszenia przemysłowe, inne zaś zakreślają swej działalności cele bardziej specjalne, jak kasy brackie. Związki zawodowe, grupujące w swem łonie osoby należące do klas, przeważnie wyższe stanowisko zajmujących w hierarchii społecznej, obejmują większe terytorya. Są bowiem liczebnie słabe, aby więc przedstawiać jakąś siłę społeczną, muszą rozciągać swą działalność na jakies szersze terytoryum.

Związki zawodowe pełnią funkcye administracyjne, czyli zarządzające swemi sprawami. Do funkcji tego rodzaju należy ustanowienie organów związku, przyjmowanie nowych członków, zarząd majątkiem związku, zarząd spraw zawodowych wogóle. Funkcye wykonywane przez związki są albo istotne, czyli związkom właściwe, albo im poruczone przez państwo. Przeważająca część funkcji administracyjnych przez związek wykonywanych, podpada pod pojęcie pierwszej kategorii. Tak np. stowarzyszenia przemysłowe winny przede wszystkim strzedz interesów zawodowych przemysłu. Funkcye administracyjne wykonywane przez związki zawodowe mają albo charakter zwierzchniczy, albo charakter społeczny. Związki zawodowe uczestniczą z mocy i nakazu państwa w rządzeniu społeczeństwem, uczestniczą w panowaniu. Te funkcye zwierzchnicze znajdują najdosadniejszy swój wyraz we władzy karzącej związków. Związki te stojąc na straży godności stanu interesów związku i, strzegąc przepisów związkowych, mogą nakładać na swych członków kary pieniężne,

zawieszenia w urzędowaniu, lub nawet wyłączenie od wykonywania zawodu.

Funkcye zwierzchnicze wykonywają też związki zawodowe, nakładając daniny przymusowe. Charakter publiczno-prawny posiadają też opłaty i taksy, pobierane przy wstępie do stowarzyszenia przemysłowego, względnie do kasy brackiej. Charakter danin przymusowych mają też wszelkie datki asekuracyjne przymusowe. Przeważająca część funkcji administracyjnych, wykonywanych przez związki zawodowe, ma charakter tak zwanych funkcji społecznych. Związki zawodowe stoją pod nadzorem państwa. W Austrii starostwo wykonywa nad nimi nadzór, a względnie ministerjum handlu, a organa nadzorcze są wogólności czynne w dwóch kierunkach: raz winny one baczyć na to, by związki pełniły swe funkcje w ramach dawnej organizacji prawnej, by nie przekraczały swego zakresu działania; powtóre, winny się one starać o to, by związki spełniały swe cele, a raczej, by w spełnianiu swych celów postępowały zgodnie z interesem publicznym. Związki zawodowe są dotychczas w Austrii związkami pracodawców. O ile nie są one wyłącznie związkami pracodawców, reprezentacya pracodawców stanowczo przeważa. Prawo głosowania mają tylko członkowie, a zakres działania zgromadzenia czeladników jest bardzo ograniczony. Wyjątkowe stanowisko zajmują kasy brackie, które są związkami pracodawców i robotników, ze stanowczą przewagą żywiołu robotników.

Organizacya zawodowa w Austrii jest jeszcze nie dość rozwinięta. Szupła ilość zawodów jest dotychczas zorganizowana, ale i te organizacye, jakie dotychczas istnieją, są bardzo niedostatecznym wyrazem interesów danego zawodu. Obok związków zawodowych, opartych na zasadzie przymusowości, istnieje w Austrii cały szereg związków zawodowych pracodawców, opartych na zasadzie asocyacji prywatnej. Zwłaszcza rolnictwo i przemysł wytworzyły wielką ilość takich związków, które spełniają po części funkcje administracyjne, jakkolwiek trudno je nazwać podmiotami administracyi publicznej, dla braku charakteru publiczno-prawnego w organizacji tych związków. Związki zawodowe obejmują bardzo różnorodne kierunki życiowe. Związki współczesne nie obejmują wprawdzie całości życia, jak się to niegdyś działo w związkach wieków minionych, ale zakres spraw, przez związek załatwianych, jest jeszcze bardzo znaczny. W niektórych wypadkach kumulacya różnych spraw, w jednym związku załatwianych, okazuje się bardzo właściwą, wyrabia bowiem większą solidarność i większą łączność samych członków. Ale w niejednym wypadku ta łączność właśnie doprowadza do rozlicznych stron



ujemnych, wyradza tworzenie się klik, system protekcyjny, stronnictwość w orzeczeniach sądów rozjemczych itp.

Rozprawa p. Gargasa poświęcona została ważnej kwestyi z dziedziny nauki administracji, która dotychczas w literaturze naszej leżała zupełnie odłogiem. Jeżeli spotykaliśmy się od czasu do czasu z pracami poświęconemi samorządowi i organizacyi, to związkami zawodowymi i ich doniosłością, oraz funkcjonowaniem w społeczeństwie nowożytnem, nikt się u nas nie zajmował. Ze względu, że w literaturze naszej jest to przedmiot zaniedbany, autor byłby się zasłużył więcej, gdyby sprawę naukową, wybraną przez siebie, opracował porównawczo, a nie poprzestał na prawodawstwie austriackiem. Zwłaszcza przedstawienie instytucyi angielskiej mogło być dla czytelnika bardzo pożytecznem. Również przy objaśnianiu pojęcia selfgovernmentu angielskiego wypadało uwzględnić krytykę Redlicha w dziele poświęconem samorządowi angielskiemu, które do poglądów Gneista, miarodajnych w powyższym kierunku przez długi czas, wprowadziło pewne modyfikacye. Zresztą argumentacya autora jest ścisła, czytanie należyte i monografia związkom zawodowym poświęcona niewątpliwie jest pouczająca.

A. R.

---

DR ZYGMUNT GARGAS: „Staszyc jako statysta“. 1902.

W chwili kiedy Staszyc wydał pracę: „O statystyce Polski, krótki rzut wiadomości potrzebny tym, którzy ten kraj chcą oswobodzić i tym, którzy w nim chcą rządzić“ (1807), panowała w historii statystyki doba przełomowa. Odbywała się bowiem walka dwóch zasadniczo sobie przeciwnych teoryi, czyli niejako walka dwóch światów. Z jednej strony stoi nauka urzędowa, z drugiej samorodny odruch społeczeństwa w dążeniu do ogarnięcia nowych horyzontów, do dotarcia do nowej prawdy i wiedzy, i życia. Praca Staszycy przedstawia też podwójny interes, raz dla tego, że pojawia się w chwili ożywionego sporu naukowego o cele, zadania i granice statystyki, powtórnie, dla stanowiska autora, który, nie tylko, że jest wybitnym mężem stanu i politykiem, ale, który zgłębił umiejętności ściśle, posiadał znajomość filozofii, jak nikt przed nim i współcześnie.

W Polsce statystyka nie miała zbyt długiej przeszłości. Urządzenia państwowe Rzeczypospolitej nie wymagały liczenia dusz i głów; podstawą wszelkich bowiem dochodów była pewna miara zie-

mi, albo dym, brany częściej w znaczeniu zagrody. Dopiero rozbiory z jednej strony, a dążenia do reformy sejmu czteroletniego z drugiej, spowodowały pewne zmiany na lepsze w tym względzie. Ścisłe prywatnych obliczeń statystycznych, jeszcze przed Staszycem, dokonywał Czacki w swem pomnikowym dziele „O litewskich i polskich prawach”. W teoryi statystyki przeważa w Polsce współczesnej szkoła Achentalla, Couringa, dla której statystyka jest równoznaczną ze status rerum notitia. Nie idzie ona jednak tak daleko, by aż wykluczać zasadniczo wszelki żywioł cyfrowy.

Definicja statystyki Stawiarskiego (1812) pochłonęła wszystkie zgoła umiejętności społeczne, traktując zarówno o instytucjach, o urzędzeniu, o psychice społecznej. Jedyne jej ograniczeniem jest, że zajmować się ona ma tem jedynie, co dziś się znajduje, że więc wyłącza moment historyczny. Ten punkt widzenia nie jest wyłączną właściwością Stawiarskiego, Czacki nie podaje wprawdzie definicji statystyki, ale to, co w niej traktuje, dowodzi, że i on jest zbliżony do teoryi Stawiarskiego. Dużo inaczej w szczegółach i w samym zasadniczym postawieniu kwestyi traktuje tę sprawę Staszyc. W zebraniu wiadomości faktycznych Staszyc miał nietylko cel teoretyczny, lecz chodziło mu o uzyskanie pewnej i niewzruszonej podstawy, jaką dać może jedynie znajomość dokładna stosunków faktycznych dla polityków i mężów stanu. U Staszyc wszystkie wiadomości są rzeczywiście potrzebne tym, którzy ten kraj chcą oswobodzić, i tym, którzy chcą rządzić, mają więc, bądź co bądź, charakter społeczny.

Staszyc pisał przede wszystkim broszurę polityczną, a nie uczoną dysertację. W r. 1807 trzeba było społeczeństwu skupić, przygotować, rozważyć, poznać własne siły, zliczyć dokładnie materialne zasady i określić wysokość ofiar. Temu zadaniu miała służyć właśnie statystyka Staszyc. Ale mimo wybitnie polityczny charakter broszury, sposób pojmowania statystyki przez Staszyc należy ze stanowiska ściśle naukowego uważać za wyższy i doskonalszy, niż pogląd Czackiego, albo Stawiarskiego. Staszyc nie pogardza, jak współczesny mu Schlötzer, cyframi, ale w poważnej mierze uwzględnia moment ilościowy. Dr Gargas rozbiera szczegółowo wszystkie prace Staszyc, w których tkwił pierwiastek statystyczny, i przychodzi ostatecznie do przekonania, że Staszyc, mimo całej niedokonalności swych badań statystycznych, mimo całej niedoskonałości swej metody statystycznej, nie jest bez poważnego znaczenia w dziejach statystyki w Polsce; on był jednym z pierwszych, którzy zwrócili uwagę na znaczenie momentu ilościowego w badaniu życia społecznego, on dążył więc do oparcia tych badań, rozumowań, czy dezyderatów lub postulatów politycznych, na bardzo ścisłej, na bardzo umię-

jętnej podstawie. Współczesny Staszycowi, Schlötzer, z góry spogląda na wszelkie badania ilościowe, a arytmetyków politycznych zwie dumnie „Tabellenknechte“. Zaslugą Staszycy jest też, że momentu statystycznego doszukuje się w bardzo różnych i różnorodnych zjawiskach życia społecznego, i to w chwili, gdy głównie statystyka ludnościowa stanowić poczęła przedmiot badań współczesnych. Jego niedoskonała metoda statystyczna tłumaczy się zresztą niskim stanem ówczesnej statystyki urzędowej. Jako statystyk stoi on niżej od Czackiego, który góruje nad nim większą ścisłością swych obserwacji statystycznych, większą dokładnością, wreszcie i większą samoistością i gruntownością. Nie jest wreszcie Staszyc statystykiem z zawodu, lecz pisarzem politycznym przede wszystkim; ale wśród statystyków należy do tych, których można było podówczas uważać za obóz postępowy.

Rozprawa d-ra Gargasa, poświęcona Staszycowi, jako statystykowi, jest ciekawą i pouczającą. Autor przedstawił nam polskiego uczonego na tle poglądów naukowych współczesnych i starał się gruntownie i krytycznie oznaczyć stanowisko naukowe, do jakiego Staszyc może rościć pretensje. Rozumowanie d-ra Gargasa jest wogóle jasne i przekonywujące, a przygotowanie naukowe staranne i zupełnie zadawalniające.

A. R.

---

HERMANN ROEREN „Zur Polenfrage“. 1902.

Członek parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego, Roeren, w broszurze wydanej w roku przeszłym, pod powyżej wymienionym tytułem, wystąpił przeciw hakatystycznym prądom, którym rząd pruski coraz więcej ulega, i przemówił jasno i dobitnie za równouprawieniem Polaków w dziedzinie prawnopaństwowej i administracyjnej. Autor zaznacza, że rząd pruski odstąpił od pojednawczego kierunku, jaki za czasów Capriviego przeważał, i że chwycił się polityki wynarodowienia Polaków, uważającej ich przede wszystkim w dzierzawach państwa pruskiego za obcy naród, przeznaczony na wyparcie z rodzinnych siedlisk, a który należy uczynić politycznie nieszkodliwym. Walka, wypowiedziana przez rząd pruski narodowości polskiej, zjednoczyła w poczuciu wspólnego niebezpieczeństwa wszystkich Polaków poza granicami Prus. Niema wprawdzie powodu do obawy, ażeby polityka, ożywiona technieniem hakatystów, wplątała Prusy w zawik-

łania wojenne; przyznać jednakże trzeba, że gdyby z innych między-narodowych powodów zawikłania owe wystąpiły, zachowanie się obecne Polaków mogłoby dla Prus być źródłem poważnych kłopotów.

Walka, jaką rząd pruski prowadzi przeciw narodowości polskiej, toczy się głównie w dziedzinie szkolnictwa i polityki kolonizacyjnej. Autor opisał szczegółowo cały przebieg sprawy wrzesińskiej, którą wytworzył rozkaz rządowy nauczania w szkołach ludowych religii po niemiecku. Rozkaz ów zniweczył przedewszystkiem piękny zwyczaj miejscowy wspólnego modlenia się całej rodziny. Matki polskie zapewniały, że dzieci ich nie rozumieją należycie religii w języku niemieckim. Religia dla biednych dzieci, jak utrzymywały, jest całym szczęściem w tem życiu. Gdy religii nauczano po polsku, matki miały wielką uciechę we wspólnej wieczornej modlitwie i w tem, że mogły kontrolować dzieci, czego się nauczyły z katechizmu i historii świętej. Dzisiaj dzieje się inaczej: ani dzieci nie rozumieją tego, czego się uczą, ani matki nie mogą ich zrozumieć.

Roeren napiętnował postępowanie władz pruskich w procesie wrzesińskim i zasadniczo potępił ograniczenie mowy rodzinnej w zakresie nauki religii i to wśród nieletniej młodzieży. Następstwem takiego nauczania jest nieznamość elementarnych zasad z dziedziny religii, a następnie i zamieszanie pojęć, które odejmują młodzieży wszelką podstawę moralną w dojrzałszej epoce. Przymus nauczania religii w języku niemieckim nie wynarodowi też Polaków, ani przysporzy państwu pruskiemu lojalnych poddanych. Hakatysci utrzymują wprawdzie, że ludność polska nauczyła się już tyle języka niemieckiego, iż może z pożytkiem uczęszczać na wykłady niemieckie religii. Faktem jednakże bezspornym pozostanie, że język niemiecki w zakresie religii niweczy łączność z domem rodzinnym i z kościołem, obrażając najdotkliwiej uczucia ludności miejscowej.

Karę zatrzymania w szkole, nawet po ukończeniu lat 14, nazywa Roeren surowością, przeciwną prawu i konstytucyi. Rozkaz gabinetowy z r. 1827 przepisuje wprawdzie, że dziecko może być ponad czas normalny zatrzymane w szkole, jeżeli nie zdołało sobie przyswoić koniecznych wiadomości, jakie powinien posiadać człowiek w jego wieku i położeniu. Przepis powyższy uznanym został w § 112 konstytucyi, ale nie stosuje się on bynajmniej do tej młodzieży, która nie chce brać udziału w wykładach religii. Nadano tym sposobem charakter kary przepisowi, który miał być środkiem pedagogicznym dla nierozwiniętych umysłowo, i uczyniono go środkiem służącym do istotnego torturowania młodzieży. Jeszcze w r.

1822, minister oświaty w Prusach utrzymywał, że: „każdy rząd, który religię i język, owe świętości narodowe, szanuje i otacza opieką, może być pewien, że serca poddanych zwrócą się ku niemu. Tymczasem każdy rząd, który się względem owych dóbr narodowych zachowuje obojętnie lub krzywdząco, poniża lud i wychowuje sobie złych poddanych.“ Jak widzimy, terażniejszość pozostaje w sprzeczności z owemi, prawdziwie złotemi, słowy.

Przedstawiwszy szczegółowo sprawę młodzieży w Toruniu, Roeren przechodzi do polityki kolonizacyjnej, której zadaniem ma być wyparcie żywiołu polskiego z siedzib rodzinnych i zastąpienie go pierwiastkiem kolonizacyjnym rdzennie niemieckim, a więc i protestanckim. Autor przypomina słowa Windthorsta, piętnujące w 1886 r. politykę Bismarkowską, stwarzającą komisję kolonizacyjną, obdarowaną po dziś dzień funduszem, dochodzącym wysokości 450 mil. marek. W mowach ówczesnych Windthorsta, Haenella i Virchova znajduje się po dziś dzień najlepsza krytyka i najgruntowniejsze oraz najsurowsze potępienie polityki kolonizacyjnej, która była jednym nieustającym bezprawiem i stworzyła wszędzie rozkład i korupcję. Następnie Roeren zastanawia się nad rezultatem osiągniętym przez politykę kolonizacyjną i przychodzi do przekonania, że oddaliła ona rząd pruski od celów przewodnich, to jest od ekonomicznego wyparcia żywiołu polskiego. We wszystkich kierunkach przemysłu, handlu, gospodarstwa wiejskiego, nastąpiło zjednoczenie i rozwój pierwiastku polskiego ze szkodą widoczną narodowości niemieckiej. Dzięki polityce wynarodowienia i wypierania ludności polskiej powstał wśród Polaków stan średni, wzmocnił się i skrzepił stan włościański, a ziemi nie przegrali Polacy w Monaco, ale ją silniej trzymali niż Niemcy.

Następnie poświęcił Roeren uwagę drobniejszym środkom rządowym przeciw Polakom. Środki owe, pozbawione wszelkiego gruntu prawnego, sprowadzają tylko jeden rezultat, a mianowicie: drażnią i obrazają ludność polską, co nie jest bynajmniej pożądanem. Do środków powyższej kategorii należy rozwiązywanie zgromadzeń, z powodu, iż członkowie używają języka polskiego. Najwyższy sąd administracyjny w roku 1876 uznał powyższe zgromadzenia za legalne i uprawnione, tymczasem władze policyjne rozwiązują w dalszym ciągu podobne zgromadzenia, tłumacząc się wykrętnie, iż nie mają agentów rozumiejących po polsku, którzyby mogli należycie kontrolować zgromadzenia polskie. Drugim środkiem niskim, a niepotrzebnie jątrzącym, jest wstrzymywanie listów, adresowanych po polsku. Poczta ma najwyraźniejszy obowiązek przesyłania listów i posyłek, jeśli tylko adres nie przedstawia poważnych wątpliwości. W wypadkach,

o których mowa, adres nie przedstawia najmniejszej wątpliwości i powodem do nieekspedycjonowania listów i posyłek jest język polski, który przez tyle lat był przez zarząd pocztowy rozumianym i dotąd przez żadne prawo zabronionym nie został, wreszcie cała walka z polskimi napisami na szyldach ma wstrętny charakter prawie dziecinnej dokuczliwości. Do tego przyłączyć należy prześladowanie nauczania polskiego czytania i pisania, które prowadzone jest z uciążliwą zaciętością i niejednokrotnie z pogwałceniem prywatnej swobody indywidualnej.

Wszystkie powyższe środki nie pomogły do wynarodowienia polskiej ludności i dla tego też nie zadowolniły hakatystów, którzy nawołują do coraz większej arbitralności i bezwzględności w powyższym kierunku. Wytworzyły one jednak istotnie niebezpieczeństwo, tylko nie to, które ukazują hakatyści. Wielkopolska agitacja rewolucyjna istnieje bowiem jedynie w wyobraźni hakatystów; ludność polska jest dla niej biernie usposobiona i widzi w niej ostateczny swój upadek. Za to poczucie solidarności w świecie słowiańskim, jakie się wyradza dzięki prześladowaniom Polaków, może w dobie zawiłań wojennych stać się poważnym kłopotem dla państwa pruskiego. Wśród Słowian bowiem zaczyna się urabiać przekonanie, że ich najzaciętszym i nieprzejednanym wrogiem są Niemcy. W ślad zaś za owym pierwszym wnioskiem idzie drugi, w myśl którego naturalnym obrońcą Słowian wobec Niemców może być Rosya, za którą zresztą przemawia pobratymstwo plemienne.

Najważniejszym błędem obecnego systemu postępowania pruskiego względem Polaków jest uważanie polskiej ludności za przybłądów, którzy są jedynie przez rząd pruski tolerowanymi. W rzeczywistości zaś należy się im zupełne równouprawnienie w dziedzinie prawa państwowego i równouprawnienie powyższe mają oni zapewnione traktatami międzynarodowymi, patentami królewskimi i konstytucją państwową. Jedną z kardynalniejszych zasad ustroju nowożytnego państwa jest ta mianowicie, że równość w ponoszeniu obowiązków i ciężarów państwowych wymaga w nieodzownym uzupełnieniu równości praw, przedewszystkiem państwowych. Gdyby Polacy owej równości prawnej nie mieli oddawna zapewnionej, należałoby im ją przyznać w imię powyższej zasady, która jest podstawową w porządku państwowym.

W końcu dowodzi Roeren, że hakatyści, a z nimi rząd pruski, nie zadawalają się germanizowaniem polskiej ludności lub ekonomicznem jej wypieraniem z siedzib ojczywych. Germanizowanie bowiem obejmuje jednocześnie protestantyzowanie i walka polityczno społeczną przybiera coraz wyraźniejszą barwę wyznaniową. Zarzuty, które Roeren

czyni rządowi pruskiemu pod tym względem, nie są bynajmniej ogólnikowe, ale poparte materiałem dowodowym, skrzętnie przez autora zebrany. Wogóle w całej broszurze Roerena panuje ton poważny, przedmiotowy, nie goniący za jaskrawymi efektami i nie posługujący się naciąganiem dowodzeniem, czy paradoksalną logiką. Roeren prócz tego przejęty jest nawskroś poczuciem sprawiedliwości i stoi na gruncie obowiązującego prawa, od którego się rząd pruski coraz widoczniej oddala. Rozumuje on chłodno, trzeźwo i jest nieprzystępnym dla wielkoniemieckich tendencji, usprawiedliwiających wszystko, nawet największe nadużycie, w imię narodowych celów wielkiego Cesarstwa. Dla nas broszura Roerena ma wielkie znaczenie i doniosłość. Przekonywa ona wyraźnie, na jakie dokuczliwości wystawioną jest ludność polska w państwie pruskiem, i jak, stojąc na twardym gruncie prawa, stara się obronić wiarę, język i ojczyste siedziby. Uznanie takie w ustach niemieckich jest dla nas bardzo cennem, a w miejscowej ludności budzi ufność i wiarę, że ostatecznie dobra sprawa przeważać musi.

A. R.

# Kronika miesięczna.

---

W dniu 15 marca r. b. upłynęło 20 lat od chwili, gdy J. E. ks. Wincenty Chościak Popiel, ówczesny biskup kujawsko-kaliski, zasiadł na tronie arcybiskupim w Warszawie.

J. E. urodził się w Krakowskiem, we wsi Czaple Wielkie, dnia 29 czerwca 1825 r., jako syn kásztelanica sandomierskiego, Konstantego Popiela i jego małżonki Zofii, córki Marcina Badeniego, senatora, wojewody i ministra sprawiedliwości. Ukończywszy w Krakowie wyższą szkołę, założoną ongi przez prof. Józefa Kremera, a następnie kursa prawne w Warszawie, w młodzieńczym wieku rozpoczął J. E. praktyczny zawód prawnika, wkrótce jednak z powodu śmierci ojca przeniósł się na wieś, do Czapel, gdzie pod wpływem wiadomości, że Konstanty Łubiński wstępuje do seminaryum, również powziął to postanowienie. Jakoż w r. 1847 widzimy go już w seminaryum kieleckiem, gdzie przebywał do roku 1849. Dnia 5 sierpnia tego roku przyjął święcenie kapłańskie z rąk biskupa sandomierskiego, Józefa Joachima Goldmana. Będąc już kapłanem, udał się na studia teologiczne do Lovanium. Po roku, wracając do rodziny, w Opawie został przez piskupa Skórkowskiego mianowany, a 3 września 1850 r. instytuowany na kanonika krakowskiego. Instalacya jednak z powodu rozmaitych przeszkód nie doszła do skutku.

Wróciwszy do Lovanium, przebywał tam ks. Popiel jeszcze dwa lata. Później udał się do Rzymu na uniwersytet „Sapienza“, gdzie w końcu 1853 otrzymał stopień d-ra św. Teologii.

Po pewnej praktyce w kongregacyi Soboru Trydenckiego, wrócił do Kielec, gdzie został mianowany sekretarzem konsystorza i profesorem Seminaryum. Dnia 4 września 1855 r. otrzymał prawo używania oznak kanonickich, a w 1856 r. dostąpił kanonii honorowej lubelskiej. Będąc jednocześnie wice-regensem seminaryum kieleckiego, wiele się przyczynił do jego podniesienia i rozwoju.



Po uwolnieniu ks. Bonawentury Budkiewicza od obowiązków rektora akademii duchownej w Warszawie, ks. arcybiskup Szczęsny Feliński, mianował; rektorem ks. Popiela i w dniu 7 maja 1862 r. zainstalował go na tej wysokiej godności.

Niebawem wszakże, bo już dnia 15 marca 1863 r. powołano ks. Popiela na biskupstwo plockie. Jeszcze przed konsekracją objął on rządy dyecezyi. W listopadzie 1863 r. otrzymał pozwolenie bierzmowania, celebrowania pontyfikalnie i udzielania czterech mniejszych święceń alumnom seminaryum. Dopiero jednak dnia 6 grudnia 1863 r. biskup safragan łowicki, ks. Henryk hr. Plater, konsekrował ks. Popiela w katedrze plockiej. Na tem stanowisku pozostawał ks. Popiel do r. 1875. Dnia 5 lipca tego roku był prekonizowany na biskupa kujawsko-kaliskiego. Bezpośrednio z tej stolicy w 8 lat później, mianowicie dnia 15 marca 1883 r. powołano go na tron arcybiskupi w Warszawie. Tutaj J. E. ks. Popiel rozpoczął szeroką działalność, składając liczne dowody wytrwałej i pełnej pieczy pracy nad dobrem dyecezyi. Samych świątyń za jego rządów stanęło w kraju kilkadziesiąt, że wymienimy kościół Wszystkich Świętych, św. Floryana, św. Augustyna, św. Piotra i Pawła, św. Aleksandra (w nowej postaci) i budujący się obecnie kościół Zbawiciela—w Warszawie; w Łodzi: kościół św. Krzyża, N. Maryi Panny i budujący się—św. Stanisława; nadto kościoły: w Grodzisku, Żyrardowie, Proninie, Przybyszowie, Mogielnicy, Kutnie, Złakowie, Gądkowicach itd.

Ks. Giebartowski, z którego artykułu w „Kur. Warsz.“ niniejsze wiadomości biograficzne czerpiemy, zwraca uwagę na listy pasterskie corocznie z powodu postu wydawane, tudzież na rozporządzenia administracyjne ks. arcybiskupa. Stanowią one, zdaniem jego, najlepszy materiał do wniosków o całej działalności Dostojnego Jubilata. „Te martwe kartki—mówi on—szerszemu ogółowi nieznane, ciche i ukryte, przejęłyby wielu zdumieniem, jak można było podolać skutecznie tylu i tak różnorodnym zadaniom“.

Istotnie, wielkich zdolności i wielkiej trzeba pracy, aby udźwignąć cały zakres obowiązków, związanych z tem trudnem i odpowiedzialnem stanowiskiem. Obchód jubileuszowy, zgotowany arcybiskupowi, był też dobrze zasłużonym hołdem i wyrazem uznania ze strony wszystkich sfer społeczeństwa za długoletnią, pożyteczną i bogatą w następstwa działalność J. E., jako strażnika ideałów i zasad katolickich.

Kilkakrotnie już pisaliśmy na tem miejscu o projekcie wystawy krajowej. Obecnie cała ta sprawa, przez jednych przyjmowana i popierana gorąco, przez innych traktowana z pewnemi zastrzeżeniami, weszła na tory zupełnie realne. Mianowicie, warszawski oddział Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu wystąpił do władz z odpowiedniem podaniem o wyjednanie pozwolenia na urządzenie w Warszawie w r. 1905 „Wystawy przemysłowej, rolniczo-gospodarczej i artystycznej gubernii Królestwa Polskiego.“ Do podania dołączono program, według, którego wystawa ma obejmować następujące działy: przemysł górniczy, wytwórstwo materiałów spożywczych, przerób materiałów włóknistych, tkaniny i odzież, wyroby ze skóry, pracę inżynierską ogólną i miejską, drogi i komunikacye lądowe, wodne i napowietrzne, sztukę budowlaną i materiały, tudzież urządzenia domowe, wyroby ze szkła, porcelany i gliny, wyroby z drzewa, słomy, sierści i korka, metalurgię, wyroby metalowe, przemysł kon-trukcyi maszyn, elektrotechnikę, puszkarstwo, instrumenty i przyrządy, młynarstwo, maślarstwo, wyrób krochmalu, przemysł cukrowniczy, przemysł papierowy i wyroby z papieru, przemysł chemiczny, rzemiosła i fabrykacye, urządzenia gospodarczo-rolnicze, nasiona i rośliny okopowe, gospodarstwo leśne, torf, maszyny i narzędzia rolnicze, melioracye rolne, ogrodnictwo, hodowlę bydła, organizacyę gospodarstw rolnych, pszczelarstwo, jedwabnictwo, higienę, sport, dobroczynność publiczną, szkoły i pomoce naukowe, drukarstwo, litografię itp. produkcyę, wydawnictwo i handel książek, fotografię, sztukę stosowaną, muzykę i sztuki piękne.

Jak widzimy—ramy tu zakreślono bardzo szerokie, a odpowiednie ich wypełnienie wymagać będzie ogromnego nakładu pracy i znacznych funduszków. Nasuwa to obawę, czy termin w podaniu określony, nie jest za blizkim, zwłaszcza, że do robót przygotowawczych komitet będzie mógł przystąpić nie wcześniej, jak po otrzymaniu przychylniej odpowiedzi od władz, która zapewne nie nadejdzie prędkiej, jak za kilka miesięcy. Ponieważ zaś wystawa ma być otwarta w dniu 14 maja 1905 r., więc na przygotowanie do niej zostanie zaledwie półtora roku. Nie jest to wprawdzie mało, ale w danym wypadku, gdzie idzie o przedsięwzięcie takiej miary, może się okazać nie wystarczające. Sprawy tej nie przesadzamy zresztą, do czasu uzyskania oficjalnego pozwolenia na wystawę. Wtedy będzie też właściwa pora do szczegółowego omówienia jej zadań.

W numerze 8 „Medycyny“ z r. b. ukazał się ciekawy artykuł p. t. „W sprawie lekarzy szpitali warszawskich“. Ponieważ sprawa ta obchodzi nietylko ogół lekarski, ale ma także znaczenie bardzo doniosłe dla szpitalnictwa warszawskiego, a przez to i dla społeczeństwa, postaramy się więc zapoznać czytelników z osnową tej pracy.

Jak wiadomo, ustrój wewnętrzny naszych szpitali opiera się na ustawie z r. 1842, która zdaniem lekarzy jest wprost wzorowa. Według tej ustawy lekarze szpitalni dzielą się na naczelnych, ordynujących i miejscowych. Do obowiązków naczelnego lekarza między innymi należy „rozdzielenie zajęć między osoby, należące do służby lekarskiej“. Przeznaczając oddziały dla lekarzy ordynujących, ma on zważać specjalnie na ich usposobienie, starając się dogadzać ich własnym życzeniom i zamiłowaniom w szczególnych gałęziach nauki. Bez ważnej przyczyny oddziały między lekarzami zamieniane być nie mogą, wyjąwszy, gdyby to zgadzało się ze wspólnem życzeniem właściwych lekarzy ordynujących. Obowiązki naczelnego lekarza w oddziale, w którym sam ordynuje, pod względem zajmowania się chorymi i dopilnowania porządku, są też same, co i lekarzy ordynujących w innych oddziałach. Do obowiązków zaś lekarza ordynującego należy: „zajmowanie się leczeniem powierzonych mu chorych i wskazaniem tego wszystkiego, co dla nich jest potrzebne i co w powierzonym mu oddziale szpitalnym odnosi się do polityki szpitalnej, tudzież do pilnowania, aby wszystkie jego przepisy i polecenia były wypełnione“.

Ustawa z r. 1842 nie zna lekarzy asystentów i ordynatorów nadetatowych. Posady te utworzone zostały później i o ile dla lekarzy asystentów próbowano stworzyć jakie takie przepisy, o tyle dla lekarzy tak zwanych ordynatorów nadetatowych nic nie stworzono. Dla charakterystyki autor cytowanego artykułu przytacza kilka §§-ów regulaminu dla lekarzy asystentów, zatwierdzonego przez Radę miejską D. P. w r. 1875. Według § 1—posady lekarzy asystentów są bezpłatne. Lekarze ci są wybierani w celu dania im możności praktycznego udoskonalenia się w rozmaitych gałęziach wiedzy lekarskiej pod kierunkiem ordynatorów szpitalnych, a także w tym celu, ażeby obecność młodszego kolegi chroniła ordynatora od rutyny i pobudzała do staranniejszego badania chorych i naukowego kierunku pomocy lekarskiej. Za normę przyjęto jednego asystenta przy ordynatorze, a przy ordynatorach specjalistach—po 2-ch. Lekarze—asystenci obowiązani są

uczęszczać na oddział 2 razy dziennie, a mianowicie: rano, kiedy jest ordynator, i wieczorem sami, mając przy sobie felczera. Nie pozostawia się im jednak tak na salach szpitalnych, jako też w ambulatoriach, żadnej samodzielności w leczeniu chorych bez pozwolenia ordynatora, który jest odpowiedzialny za każdą czynność swego asystenta, tycząca się chorych. Z drugiej strony ordynator może dać pozwolenie asystentowi na samodzielność tylko w tym razie, jeżeli otrzyma na to za każdym razem piśmienną zgodę lekarza naczelnego.

Asystenci mogą, jeśli ordynator uzna to za możliwe, wykonywać niektóre operacje, lecz tylko w obecności ordynatora i na jego odpowiedzialność i także za każdorazowym pozwoleniem lekarza naczelnego.

Dla t. zw. zaś ordynatorów nadetatowych niema żadnych przepisów, dla tego też cały szereg mianowanych w ciągu ostatnich lat kilku ordynatorów nadetatowych pełnił i pełni obowiązki swoje, stosując się do przepisów ustawy szpitalnej z r. 1842, która zna jeden tylko rodzaj ordynatora.

Ordynatorów takich powinno być po jednym na każdym stu chorych. Liczba 100 może się tu wydać ogromną wobec faktu, że od pewnego czasu mianuje się w Warszawie ordynatorów na 10 lub nawet na 6 łóżek szpitalnych. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę, że w Niemczech oddziały mają po 200—300 i więcej łóżek, w Austrii 90—120, we Francji i Anglii coś około tego, to liczba 100 nie wyda się wielką. I u nas w ustawie Rudnickiego z r. 1830 proponowano po 150 chorych na jeden oddział. Naturalnie, że jeden lekarz z taką liczbą chorych poradzić sobie nie może, dla tego też w szpitalach zagranicznych każdy lekarz ordynujący ma wystarczającą liczbę asystentów. Ordynator np. wydziału ginekologicznego, czy chirurgicznego, bez względu na to, czy oddział składa się ze 100 czy 10 łóżek, musi mieć asystentów przy operacjach. Również i w oddziałach wewnętrznych przy obecnym stanie wiedzy i techniki lekarskiej ordynator musi mieć pomocników — asystentów, jeżeli oddział ma być dobrze prowadzony.

Obowiązkiem lekarza ordynującego jest nie tylko leczyć chorych i dbać o należytą opiekę nad nimi, lecz, jak to już było mówione powyżej, iść z postępem nauki i chronić się od wszelkiej rutyny, a zarazem dać asystentom możność doskonalenia się w rozmaitych gałęziach wiedzy lekarskiej. Jest to zaś możliwe tylko w oddziałach dużych, gdzie materiały kliniczny jest obfity i gdzie różnorodność chorób zmusza i zachęca ordynatora i asystentów do pracy. Oddziały szpitalne nie mogą wybierać materiału czysto naukowego, jak to

w wielu miejscach robić mogą kliniki uniwersyteckie i dla tego więcej interesujący przypadek zdarzyć się może jeden na kilkanaście nieciekawych zupełnie chroniczków, dotkniętych uwiązdem starczym i t. p. Daleko więc korzystniej dla 6 czy 10 lekarzy asystentów pracować w dużym oddziale, gdzie mają możność wyrabiania się na dzielnych lekarzy, widząc znaczną liczbę najrozmaitszych chorych, niż gdyby tych 6 lub 10 asystentów rozproszyło się na kilka małych oddziałów, gdzie w ciągu długiego nawet pobytu mogą nie widzieć i nie poznać chorób bardzo ważnych, nietylko pod względem naukowym, lecz i praktycznym. Naturalnie, że i kierownik oddziału, mając większy i ciekawszy materiał kliniczny, pracować będzie z większym zapałem i wyrobi się na lepszego specjalistę, co dla społeczeństwa jest względem bardzo ważnym. Rozumieją to za granicą i nie rozdrabniają oddziałów ponad zwykłą normę. Zupełnie inaczej rzecz się ma w Warszawie, gdzie doszło do tego, że zatwierdzano ordynatorów na kilku zaledwie łózkach, nie dla tego, żeby to było z korzyścią dla szpitalnictwa, lecz dla tego, że znaleźli się kandydaci, dla których uznano za stosowne otworzyć te mikroskopijne oddziały już to przez podział istniejących, już to przez zamianę oddziału jednej specjalności na inną. Nie można się dziwić, że lekarze dążą do zostawia ordynatorami, gdyż leży to w naturze ludzkiej, iż każdy chciałby być samodzielnym i od nikogo niezależnym, nie może jednak tracić na tem szpitalnictwo całe. Urządzenie oddziałów szpitalnych pod względem pomocy naukowej i niezbędnych przyrządów do tej pory pozostawia bardzo wiele do życzenia, a łatwiej bez wątpienia jest urządzić dobrze jeden odział większy, niż zaopatrywać kilka mniejszych w najuiezbędniejsze przyrządy. Obecnie naprzykład w wielu oddziałach nawet takie rzeczy, jak mikroskopy, lekarze przynoszą własne, bo Rada miejska nie ma funduszków na zaopatrywanie w nie oddziałów szpitalnych, a pomimo to rozdrabnia się i tak już małe oddziały. Najgorzej jednak takie rozdrobnianie oddziałów odbija się na leczeniu szpitalnem w tych razach, kiedy dla dania jakiemuś nowo kreowanemu ordynatorowi paru łózek—dzieli się nawet jedną salę na dwa oddziały. Całą niewłaściwość i szkodę takiego postępowania łatwo oceni każdy, kto zna choć cokolwiek życie szpitalne.

Na jednej sali naprzykład wewnętrznej, podzielonej między 2 ordynatorów, leży dwóch chorych—każdy w innym oddziale. Chory jednego ordynatora cierpi na zwykłe zapalenie oskrzeli; chory drugiego ma gruźlicę płuc. Obaj kaszlą i ten kaszel jest dla nich najważniejszą oznaką cierpienia. Jeden wyleczy się w krótkim czasie, drugi leży miesiące. Wynik jasny: ordynator tuberkulika będzie uważany wśród chorych na sali za gorszego lekarza i może być narażony

na to, że chorzy z jego łóżka zechcą się przenieść na łóżka drugiego ordynatora.

Szpitala—czytamy nieco dalej—od chwili swego powstania miały czynić zadość nie tylko miłosierdziu publicznemu, podniesionemu później do obowiązku obywatelskiego i państwowego, i zabezpieczać życie i zdrowie ludzkie, które ekonomia polityczna uważać zaczęła za jedno z największych bogactw narodowych, lecz miały i mają za zadanie być przybytkiem nauki i ćwiczenia się w umiejętnościach lekarskich. W tym celu założył w r. 1714 pierwszą klinikę Boerhave w Lugdunie, w tym celu utworzono później całe setki klinik uniwersyteckich dla rozmaitych specjalności nauki lekarskiej. Ponieważ jednak w klinikach lekarskich adepci medycyny uczą się właściwie badać i tylko bardzo nieznaczną liczbę chorych mają możność obserwować, szczegółowiej wprost dla braku czasu, więc po skończeniu uniwersytetu muszą wstępować do szpitali, jako asystenci, czy wolontaryusze, ażeby dopełnić czy przetrwać nabyte w uniwersytecie wiadomości i praktycznie, pod kierunkiem starszych kolegów, wcielić swoje teoretyczne wiadomości w czyn. Znaczna część wstępuje też w charakterze asystentów do klinik uniwersyteckich, że jednak nie wszyscy mogą tam się dostać, bo przez znaczne nagromadzenie wytworzyłby się chaos, reszta zmuszona jest rozsypać się po oddziałach szpitalnych, gdzie często o głodzie i chłodzie pracują dla społeczeństwa, bo dają pracę, bez której żaden szpital nie może się obyć, jeżeli ma odpowiadać zadaniu. Należy czuć tylko wdzięczność dla tych sił młodych i oddawać sprawiedliwość ich ucziwości i poczuciu obywatelskiemu, że nie korzystają zaraz po skończeniu uniwersytetu ze stanowiska, jakie dyplom lekarski zapewnia, lecz chcą się przygotować należycie do tak odpowiedzialnego i pełnego rozmaitych trudności zawodu, jakim jest zawód lekarza praktyka. Każdy zatem musi przyznać, że szpitale takiego miasta, jak Warszawa, siłą faktu muszą być szkołami stosowania medycyny praktycznej dla całej masy młodzieży, kończącej wydział lekarski. Z drugiej strony—praktyka wszystkich szpitali na kuli ziemskiej przekonywa, że asystenci są niezbędni w szpitalach. I z tego względu rzecz biorąc, oddziały szpitalne nie powinny być tak rozdrabniane, jak to się od paru lat praktykuje.

Pomijamy tu dalsze w tym kierunku wywody, przechodzimy natomiast do sprawy mianowania lekarzy szpitalnych i do wniosków, postawionych w tym względzie przez autora artykułu.

Przy obsadzaniu posad lekarzy naczelnych—mówi on—oprócz przepisów obowiązujących, należy się kierować uzdolnieniem administracyjnym i sprawiedliwością w wyborze. Co do lekarzy ordynujących, to ci, jak naczelnicy, są mianowani na zasadzie tomu XIII § 26

ustawy lekarskiej, która mówi wyraźnie, że minister spraw wewnętrznych mianuje lekarzy z prawami służby państwowej w tych wszystkich miejscach, gdzie będzie wykazana rzeczywista potrzeba. Ponieważ zaś, zgodnie z ustawą, wszyscy lekarze ordynujący mają mieć własne oddziały, przeto należy, w myśl wyżej przytoczonego prawa, przed przedstawieniem do nominacji na ordynatora wyjednać w ministerium pozwolenie na utworzenie oddziału.

Potrzebę utworzenia nowego oddziału może przedstawić do zatwierdzenia tylko Prezes Rady Dobroczynności, uzasadnić zaś tę potrzebę powinni ordynatorzy szpitalni przez lekarza naczelnego. Co zaś do przedstawienia kandydatów, to wszystkie ordynatury powinny być obsadzane w jednakowy sposób. Niewłaściwe jest ogłaszanie na mniej ważną ordynaturę konkursu, a na inne, stokroć ważniejsze, naznaczanie ordynatora w inny sposób.

Streszczając się, autor zwraca uwagę na następujące postulaty:

1) Wielkość oddziałów szpitalnych nie powinna różnić się znacznie od normy, wskazanej w ustawie z roku 1842. Licząc się jednak z faktami już istniejącymi, obecnie istniejące oddziały zmniejszane być nie mogą, te zaś najmniejsze, składające się z kilku lub kilkunastu łóżek, winny być przy rozszerzaniu szpitali powiększane.

2) Potrzebę utworzenia nowego oddziału resp. posady ordynatora uzasadnić winni lekarze właściwego szpitala.

3) Ponieważ z powodu przemianowania ordynatora na etatowego liczba oddziałów się nie powiększa, nie może być w takim wypadku mianowany nowy ordynator nadetatowy.

4) Powinna być przyjęta jedna zasada dla obsadzenia wszystkich ordynatur (konkurs).

5) Na każdą wakującą posadę ordynatora oddziału winien być ogłoszony nowy konkurs.

6) Oddziały winny być tworzone tak, aby w każdym, a szczególnie chirurgicznym, byli chorzy i mężczyźni, i kobiety.

7) Lekarze miejscowi winni być wybierani przez głosowanie ordynatów z pośród asystentów rozmaitych oddziałów szpitala.

8) Liczba lekarzy miejscowych winna być powiększona, stosownie do liczby oddziałów szpitalnych i winni oni pobierać znacznie wyższą płacę, niż obecnie.

9) Lekarze asystenci powinni być dla uniknięcia rozmaitych kolizyj wybierani przez głosowanie wszystkich lekarzy szpitalnych na przedstawienie odnośnego ordynatora.

10) Lekarze asystenci powinni być stosownie wynagrodzeni za swoją pracę.

11) Termin pełnienia obowiązków asystenta w oddziałach chirurgicznych i ginekologicznych powinien być przedłużony przynajmniej do lat 6-iu.

12) Powinna być opracowana szczegółowa instrukcja dla lekarzy asystentów, zgodna z dzisiejszym stanem pracy szpitalnej.

13) Liczba lekarzy asystentów przy oddziałach szpitalnych powinna być powiększona stosownie do potrzeb oddziałów (wewnętrznych, chirurgicznych i innych).

14) Winni być dopuszczani do uczęszczania na oddziały lekarze wolontaryusze za wiedzą lekarza naczelnego i zgodą odnośnego ordynatora.

Tak się przedstawia cała ta rzecz w oświetleniu fachowem. Warto, aby komisya, wydelegowana obecnie z łona Rady miejskiej Dobr. Publicznej, przystępując do swych obrad nad kwestyą mianowania lekarzy w szpitalach warszawskich, wzięła to pod szczegółową rozważę, bo sprawa istotnie jest społeczna i ważna.

---

Jedną z najważniejszych kwestyi dla ludności wielkich miast— jest brak dobrego mleka. Odbija się to przedewszystkiem na zdrowiu i śmiertelności niemowląt. Warszawa pod tym względem już jest w kłopotcie niemałym. Fałszowanie nabiału odbywa się tu na wielką skalę, a cały szereg środków, przedsiębranych przez policyę sanitarną, nie może złemu zaradzić. Ale i mleko niefałszowane pozostawia wiele do życzenia—jest za mało tłuste i bardzo często pochodzi od krów niezdrowych. Takim jednak mlekiem karmi i podkarmia swe dzieci ogromny zastęp matek ubogich. Cóż dziwnego, że dzieci chorują i umierają. Ażeby złemu zapobiedz, a przynajmniej ograniczyć je—należałoby stworzyć instytucyę społeczną, która na wzór paryskiej, znanej pod nazwą „L'oeuvre philanthropique du lait,” zajęłaby się sprzedażą i rozdawaniem dobrego, pasteuryzowanego mleka wśród matek. Kwestyę tę poruszył niedawno ks. W. Kirchner, w felietonie, poświęconym opisowi „Domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie”. Powołując się na „Revue philanthropique”, pismo, wychodzące w Paryżu, ks. K. zaznacza, że „L'oeuvre philanthropique du lait”, tylko z początku potrzebowało subwencyi dobroczynnej, a potem już się samo mogło utrzymać z drobnych zarobków (po 2—3 centimów na litrze), jakie brało od bogatszych, i w pierwszej połowie 1902 roku rozdało biednym matkom darmo mleka za 2,177 fr. Dr Rotschild powiada, że 1,000 fr. wystarczy



na założenie podobnej instytucji, która później może istnieć o własnych siłach. Niewątpliwie—i dla tego stworzyć ją w Warszawie nie należałoby wcale do rzeczy trudnych. Idzie tylko o dobrą wolę i o inicjatywę. Ta ostatnia wyjść powinna z łona Towarzystwa higienicznego, a gdy ono rzecz opracuje i zwróci się do ogółu z prośbą o poparcie materialne, niechybnie znajdą się środki na urzeczywistnienie tej myśli i dokonanie pięknego dzieła, które znajdzie oddźwięk w sercach wszystkich matek. Kto wie nawet, czy nie zawiąże się specjalne ich stowarzyszenie, które zaopiekuje się przyszłą instytucją i da jej trwale podwaliny. Nie należy tylko zwlekać, bo sprawa jest pilna i doniosła. Może więc Towarzystwo higieniczne uznało by za stosowne urządzić w najbliższym czasie konferencyę na ten temat i zaprosić na nią wszystkich ludzi dobrej woli. Omówionoby tam szerzej podstawy, na jakich dałoby się oprzeć i zbudować w Warszawie „L'oeuvre philantropique du lait“, ku wybawieniu mnóstwa dzieci od śmierci i ku pożytkowi całego społeczeństwa.

O ile Warszawa pod niektórymi przynajmniej względami w kierunku zdrowotnym w ostatnich latach dwudziestu uczyniła ogromny krok naprzód, o tyle prowincya w zupełnem pozostała zaniedbania. Nie mówiąc już o wielu udogodnieniach, o czystości ulic, o higienie mieszkań po miasteczkach, o widnych i zdrowych chatach po wsiach, gdzie obecnie po dawnemu nieraz jeszcze chlew znajduje się tuż obok izby mieszkalnej—nasza prowincya pozbawiona jest nawet dobrej wody do picia. Nie koniec jednak na tem. Jest to zaledwie tło obrazu, na którego całkowite odmalowanie nie starczyłoby smutnych barw, obok bowiem tych czysto zewnętrznych warunków, rozwojowi chorób zaraźliwych na prowincyi i znacznej wskutek tego śmiertelności sprzyja niski stan oświaty, która jedynie i skutecznie może tu ze złem walczyć. Zresztą, czytelnicy nasi pamiętają zapewne to, co niedawno pisaliśmy na tem miejscu o niechlujstwie ludności wiejskiej, ujawnionem przy superrewizjach. Zaznaczyliśmy już wówczas, że praca nad uzdrowotnieniem prowincyi należy do najpierwszych obowiązków społecznych. Nie chcąc powtarzać tego obecnie ze wszystkimi motywami, pragniemy podkreślić co rychlej fakt, że wróżbę o rozpoczęciu takiej właśnie pracy przynosi nam ogłoszona świeżo zapowiedź o obradach nad higieną małych miast i wsi. Inicytorem tych obrad jest wiceprezes warszawskiego Towarzystwa higienicznego, dr. med. J. Polak, który też, uzyskawszy aprobatę Rady Towarzystwa, z całą

energiją zabrał się do wcielenia swego projektu w czyn, łącząc obrady z wystawą higieniczno-dydaktyczną. Wyjednał jeszcze w jej imieniu zezwolenie na urządzenie wystawy, oraz na zaproszenie do wzięcia udziału w naradach pewnej, ograniczonej liczby osób, nie będących członkami Towarzystwa, doktor Polak potrafił zjednać dla swej myśli ogólną sympatyę. Dziś, kiedy jesteśmy niemal w przededniu otwarcia owych narad, nie od rzeczy będzie zapoznać się z ich programem i zobaczyć, jakie też kwestye staną tam na porządku dziennym.

Na liście zgłoszeń na narady znajdujemy 49 tematów. Wszystkie z nich są nietylko żywotne ale i aktualne. Nie wątpimy też, że roztrząsanie ich przyniesie dużą korzyść społeczeństwu i wyświetli niejedną stronę życia naszego ludu. Między innymi zwracają tu na siebie uwagę takie referaty, jak lecznictwo ludowe, oczyszczanie ulic i domów w małych miastach, rozpowszechnianie szczepienia ospy, o małym szpitalu wiejskim, pomocy leczniczej dla ludu wiejskiego, o stanie i potrzebach sanitarnych Kalisza, o niektórych sposobach praktycznych szerzenia zasad zdrowotności wśród szerszego ogółu, obecny stan Płocka pod względem sanitarnym, o stanie higienicznym wód do picia w Królestwie Polskiem, o sposobach zaopatrzenia małych miast i osad w dobrą wodę do picia, o najpilniejszych potrzebach sanitarnych prowincyi i środkach ich załatwienia, chorobowość i śmiertelność ludności Żyrardowa w dziesięcioletnim okresie, obecny stan higieniczny chaty włościańskiej oraz najbardziej pożądane ulepszenia w tej mierze, o inicjatywie higienicznej u włościan, o dezynfekcyi, o kąpielach fabrycznych, w sprawie wykształcenia akuszerki, najwłaściwszy typ akuszerki prowincjonalnej o ujednostajnieniu postępowania podczas porodu i położu, w jaki sposób zapobiegać szerzeniu się chorób niewieścich wśród ludu, o organizacyi stałej pomocy położniczej na prowincyi itd.

Z tego pobieżnego przeglądu, już wnosić można, jak wiele pierwszorzędnej wagi kwestyi stanie się przedmiotem obrad.

Co do wystawy, która stanowi niejako uzupełnienie rozpraw teoretycznych w tej dziedzinie, to będzie ona otwarta dnia 24 kwietnia, i ma trwać do maja, mieścić się zaś będzie w gmachu ratuszowym. Obejmie ona cztery działy: ogólny, delegacyi do spraw położnictwa u ludu, delegacyi do spraw szpitalnictwa wiejskiego i delegacyi higieny szkół miejskich. Nie wątpimy, że pokazy w tym zakresie zainteresują nietylko lekarzy, jako sferę fachową, ale i ogół naszej inteligencyi, która znajdzie tu wiele rzeczy pouczających. Wierzmy też, że to wystąpienie publiczne Towarzystwa higienicz-

nego będzie impulsem, który pchnie energię społeczną w tak pożądanym kierunku, i że praca pójdzie odtąd łatwiej i szybciej, bo drogi zostaną wytknięte.

Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, mimo szczupłych środków i małego jeszcze poparcia ze strony ogółu, cudem niemal, dzięki zabiegliwości niektórych swych członków, stworzyło schronisko dla spokojnych chorych w Drewnicy pod Warszawą.

Od stacyi kolejki Mareckiej do schroniska—mówi p. L. Papiński—opisując ten zakład—kwadrans drogi pieszej. Okolica dość małownicza i zaludniona.

Przy lasku szereg domków letnich, dalej, przy stacyi kolei Petersburskiej, szkoła leśna. Wreszcie i sam zakład. Tu uderzają oczy dwa budynki o jednakowym typie, kryte blachą. Oba przeznaczone są dla chorych—jeden z nich dla mężczyzn, drugi dla kobiet. W pierwszym—dwa pokoje, oddzielone korytarzem od sali ogólnej, przeznaczone są dla 8 chorych z inteligencji. Tuż obok duża sala, podzielona na dwie części: mniejsza to sypialnia dla 8—10 chorych, mogących pracować w polu i w ogrodzie,—w większej urządzone będą warsztaty. Poza tą salą długi korytarz z wejściami do czterech pokojów, z których jeden mieści wannę i umywalnię, drugi, przeznaczony dla pięciu ciężko chorych, którzy nie będą mogli opuszczać łóżka, trzeci—izolator ze specjalnymi urządzeniami, czwarty wreszcie—szatnia z szafami na bieliznę i ubranie. Dalej wielka sala, bardzo widna, o 14 oknach—14 łokci długa, 20 szeroka—to sypialnia dla 30 chorych. I znów dwa mniejsze pokoje, każdy o trzech oknach, dla 8 chorych.

Wszystkie sale są skanalizowane, a do każdego pawilonu przeprowadzony jest wodociąg.

Obszerny budynek obok, przeznaczony jest na pralnię. Mieści on w sobie pompę do czerpania wody, kotłarnię, z której rozprawa się wodę ciepłą i zimną do użytku praczek. Podwójną podłogę zaopatrzone tu w kanał ściekowy, oddzielne pokoje przeznaczono na maglarnię i prasownię, tudzież na mieszkania dla praczek. Inny znów budynek to kuchnia dla zakładu z dużym piecem angielskim i piekarnią. W tym też budynku mieści się podręczna spiżarnia, duży o 4-ch oknach pokój dla kucharek i pokój dla służby zakładu z oddzielną kuchenką. Jeszcze dalej idą — stajnia, obora, spichlerz i stodółka.

Wogóle—twierdzi p. Papiński—trudno wymarzyć sobie lepszą miejscowość z odpowiednimi urządzeniami dla nieszczęśliwych chorych. Jedną tylko zachodzi jeszcze przeszkoda do rozwinięcia szerszej działalności—to brak środków. Podań o przyjęcie do schroniska wpłynęło już 200, tymczasem zaledwie 30 z pośród nich można uwzględnić. Reszta zależy od ofiarności publicznej. Zarząd T-wa liczy też na to bardzo i—zawiesić się nie powinien.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych pozyskało świeżo dar w postaci znanych zbiorów archeologicznych p. Choynowskiego, które właściciel w całości przekazał na rzecz tej instytucji. Zbiory te, ocenione na 100,000 rubli, a zgromadzone z niemałym trudem, stanowią same przez się prawdziwe muzeum w zakresie, w którym Warszawa posiadała bardzo mało. Piękny i prawdziwie obywatelski ten czyn zasługuje na powszechne uznanie i wdzięczność ze strony całego społeczeństwa.

## WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Posiedzenie *Wydziału Filologicznego* odbyło się dnia 9 marca z następującym porządkiem dziennym: prof. J. Łoś czytał „O dwu modlitewnikach polskich z wieku XVI“; czł. J. Tretiak mówił o Juliuszu Słowackim (część druga, 1840 — 1842).

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 16 marca z następującym porządkiem dziennym: czł. Kętrzyński czytał „O powołaniu Krzyżaków przez Konrada (trzy rozdziały)“; czł. Piekosiński wyłożył „Zarys historii włościan w Polsce Jagiellońskiej i prawo niemieckie wieków średnich“; sekretarz przedstawił rozprawę p. Ptasnika o Bonarze.

— NOWE KSIĄŻKI. — Ukazały się w handlu księgarskim pierwsze zeszyty pierwszego tomu monografii K. Hościcka pod tytułem: „Chopin. Życie i twórczość“ (Warszawa, 1903, str. 4 + 160). Dzieło to, owoc pięcioletniej usilnej pracy, ozdobione jest licznymi, ciekawymi ilustracjami (Chopina w 17-ym i 22-gim roku życia, pomnik Chopina w Żelazowej Woli, oficyna, gdzie się urodził Chopin, widok kościoła w Brochowie, portret Elsnera i t. d.). W obszernej przedmowie autor szczegółowo, na błędach prac dotychczasowych o Chopinie, uzasadnia potrzebę nowego wyczerpującego studjum, które ukaże się w dwóch częściach: część pierwsza obejmie pobyt Chopina w Polsce (1810 — 1830), treść tomu drugiego, który osobną będzie tworzył całość, stanowić będzie okres życia Chopina od roku 1831 do śmierci w 1849 roku. Po wyjściu całości podamy szczegółową ocenę tej dużej monografii.

— Wilhelm Feldman: Współczesna literatura polska. 1880 — 1901. Z 17-ma portretami. Warszawa, MCMIII. Nakładem Jana Fiszer'a, str. 487. Piękny, ozdobny druk krakowski, wyborny papier i liczne wizerunki tworzą z tej książki bardzo ładną całość. Mamy tu portrety: Asnyka, Kononickiej, Świętochowskiego, Sienkiewicza (z roku 1880), Jana Kasprowicza, E. Orzeszkowej, Prusą, Dygasińskiego, Ząpolskiej, Miriama, Tejmajera, Ze-

romskiego, Reymonta, Przybyszewskiego, Sienkiewicza (z roku 1900), St. Wyspiańskiego i autora książki.

— Prof. St. Ptaszycki wydał w Petersburgu „Polską bibliografię“ w języku rosyjskim za rok 1901 (str. 96). Mamy tu uwzględnione następujące działy: c) Językoznawstwo, b) Literaturę, c) Etnografię, d) Historię (w obszernem znaczeniu, a więc także geografję, archeologję, historję sztuki, historję kościelną i t. d.), e) Biografię, f) Polyografię. — Po tytule dzieła następuje spis wzmianek i ocen krytycznych w czasopismach. Rzecz cała umiejętnie i praktycznie ułożona, oddać może wyborne usługi uczonej.

— *Slovanský Obzor*, tygodnik, poświęcony sprawom społecznym, wychodzi w Pradze od 13 lutego bieżącego roku pod redakcją Jaroslawa *Rozvody*. W № 4 zamieścił przekłady noweli Żeromskiego pod tytułem: „Stíny“ i Abgara-Soltana „Kuba Sirotek“.

— P. Witold Klinger wydał w języku rosyjskim w Kijowie studjum swe o motywach bajek u Herodota (Kijów, 1903 roku, str. 220).

## BIBLIOGRAFIA.

### FILOZOFIA.

Leon Birecki: *Ontologia...* napisana na podstawie realnego doświadczenia. Przemysł, 1902. Nakład autora. Cena 2 kor., str. 159.

Ks. Broglie: *Reakcja przeciw pozytywizmowi*. Z oryginału przełożył Edward Jędrzejowicz. Kraków. Nakładem Księgarni Katolickiej, 1901, stron 263 (karton.).

Dr Fryd. Kirchner: *Katechizm historii Filozofii od Talesa aż do naszych czasów*. Tłumaczył z niemieckiego dr K. Krauz. Warszawa. Nakładem „Prawdy“, 1903, str. 479 + IV + II.

Fr. Paulsen: *I. Kant i jego nauka*. Z trzeciego wydania niemieckiego przełożył... i uzupełnił J. Wł. Dawid. Warszawa, 1902, str. 444 + 2 nłb. Cena rub. 2 kop. 50 z przesyłką.

*Przegląd Filozoficzny*. Rok VI. Zeszyt I. Warszawa. 1903. *Treść*: Dr J. Kodis: Kilka uwag o możebności psychologicznego prawa czasu; dr J. Łukasiewicz: Indukcja jako inwersja dedukcji; prof. dr P. Chmielowski: Przyczynek do zyciorysu i działalności Józefa Goluchowskiego.—Przegląd krytyczny: Dr J. Kodis: *Filozofia przyrody* W. Ostwalda.—Przegląd nauk poszczególnych: R. Nusbaumowa: *Teorya w świetle krytyki* Stala; prof. dr L. Silberstein: *Związek zjawisk w czasie*.—Autoreferaty: prof. dr H. Struve: *Zasadniczy charakter etyki jako nauki*; dr H. Nusbaum: *Czem jestem?*

W. Wundt: *Wstęp do Filozofii*. Przełożył z niemieckiego W. M. Kozłowski. Warszawa, E. Wende, b. r., str. 449 + 11 + 4 nłb.

## NAUKI ŚCISŁE. — PRZYRODA. — MEDYCYNA.

Dr A. Koch: Poradnik lekarski, zawierający opis wszystkich chorób... Przekład d-ra med. St. *Bartoszewicza*. Petersburg, 1903, stron 11 + 396. Nakład K. Grendyszyńskiego.

Erazm Majewski: Pochodzenie maku i jego nazwisk. Studium botaniczno-archeologiczne językoznawcze. Warszawa, 1903. (Odbitka z tomu XVII „Wisły“), str. 30.

Prace Sekcji Rolnej, w drugim półroczu 1902 roku. Dodatek do „Gazety Rolniczej“. Warszawa, 1903, stron 93.

Rozprawy Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 2. Dział A. Nauki *Matematyczno-Przyrodnicze*. Kraków, 1902, str. 472. Tablic 14.

Rozprawy Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 2. Dział B. *Nauki biologiczne*. Kraków, 1902, stron 373.

Dr A. Sempolowski: Wyniki prac i doświadczeń, wykonanych przez Stację doświadczalną w Sobieszynie. (Z dwiema rycinami). Warszawa, 1903, str. 162.

## SPRAWY SPOŁECZNE.

Jan Baudouin de Courtenay: Uwagi na czasie. (Odbitka z „Krytyki“), 1902, zeszyt XI i XII. Kraków, 1903, stron 23.

Dr J. B. Marchlewski: Stosunki społeczno-ekonomiczne pod panowaniem pruskim. Lwów. MCMIII. Polskie Towarzystwo Nakładowe. Warszawa. Księgarnia T. Paprockiego i S-ki, str. IV + 381 + 2 nlb.

Dr Szymon Rundstein: Z badań nad współczesną umową pracy. Lwów, 1903 (Odbitka z „Przeglądu prawa i administracji“), stron 49.

Tadeusz Smarzewski: Waka-ye w Anglii. Warszawa. Nakładem F. Hoesicka, 1903, str. 164.

Stanisław Witkiewicz: Bagno. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Lwów. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1903, stron 80.

## HISTORIA.

Tadeusz Korzon: Historia nowożytna. Z 87 rysunkami w tekście i 2 mapami historycznymi i tablicami genealogicznymi. Tom II od 1649 do 1788 roku. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa, 1903, stron II + 734 + 10 nlb.

Aleksander Kraushar: Barss, Palestrant warszawski, jego misja polityczna we Francji (1793 — 1800). Ze źródeł archiwalnych. Lwów. Nakład „Przewodnika naukowego i literackiego. 1903. (Z portretem Barssa), str. 8 nlb. + 186 + VII.

Dr Kazimierz Krotoski: Święty Stanisław Biskup w świetle źródeł. Rozbiór krytyczny źródeł, odnoszących się do kwestyi świętego Stanisława. Kraków. Druk W. I. Anczyca i Sp., 1902, str. 127 + 2 nlb.

Franz Krysiak: Offener Brief eines Polen an die irgeleitete öffentliche Meinung in Deutschland... Posen, „Dziennik Poznański“, 1902, str. 46. — Przytem: „Eine Entgegnung an die Adresse des Herrn Ministers des Innern, Freiherrn v. Hammerstein (4 str.), Berlin, im Februar, 1903.

Towarzystwo naukowe w Toruniu. Societas Literaria Torunensis. Fontes, VI. 1902. Visitationes Episcopatus Culmensis... (1667—1672). Curavit Bruno Czaplą. Toruń, stron 162.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Roczniak dziewiąty. Toruń, 1902, stron 190 + 2 nrb. *Zawiera*: ks. Stanisław Kujot: Kto założył parafie w dzisiejszej diecezji Chełmińskiej? dr W. Kętrzyński: Przydomki szlachty pomorskiej; ks. Paweł Czaplewski: Kasztelania starogardzka, czyli zaborska i in.

### HISTORIA LITERATURY. — FILOLOGIA. — SZTUKA. — MUZYKA.

Chimera. Tom 5. Zeszyt 13. 1902. Stron 160. *Treść*: C. Norwid: Milczenie; K. Zawistowska: Wybór utworów; M. Komornicka: Biesy; T. Miciński: W mroku gwiazd; J. P. Jacobsen: Wybór utworów; J. Marciniowska: W głębi; J. Zeyer: Dom „pod tonącą gwiazdą”; G. Pascoli: Nieśmiertelność, Felicitas, Księga; Helio: Wiek i człowiek; J. Lemański: Sąsiedzi. Bajeczka. Kronika.

Ignacy Chrzanowski: Anonima Protestanta XVI wieku erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty z rękopisu wydał... Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1903. (Biblioteka pisarzy polskich, № 43). Stron 158.

Michał Federowski: Lud Białoruski. Tom III. Tradycje historyczno-mejscowe oraz powieści obyczajowo-moralne. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1903. (Wydawnictwo Komisji Antropologicznej), str. 312 + 2 nrb.

Ferdynand Hoesick: Chopin. Życie i twórczość. Tom I. Zeszyt I i II. Warszawa. Nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka. 1903, stron LII + 158, (Portrety Chopina i liczne ilustracje w tekście). Cena zeszytu kop. 60. Całość rb. 3, z przesyłką 3.50.

Julian Klaczko: Wieczory florenckie. Dzieło, uwieńczone przez Akademię Francuską. Z upoważnienia autora tłómaczył St. Tarnowski. Wydanie trzecie poprawne. Warszawa. Nakładem F. Hoesicka, 1903, stron 315.

Materiały i prace Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I-szy. Zeszyt 2. Kraków, 1903. *Treść*: Holger Pedersen: Przyczynki do gramatyki porównawczej języków słowiańskich; Jan Rozwadowski: De morte prologus i żale konającego. Powtórne wydanie; tenże: Uwagi o dyftongach *ie, io* w południowo-zachodnim narzeczu białoruskiem; Kazimierz Nitsch: Studya kaszubskie: Gwara luzińska; Tytus Benni: Z dziedziny akomodacyi międzywyrazowej; tenże: O samogłoskach nosowych w wyrazach obcych; Jan Rozwadowski: Język rękopiśmiennej reguły żeńskich klasztorów ordinis Praemonstratensis z roku 1540.

Michał Muter milch: Piewca niedoli, Wacław Sieroszewski, Próba charakterystyki. Kraków. Skład główny u G. Gebethnera i S-ki, 1903, stron 41.



Poradnik językowy. 1903. № 3. Rocznik III. Redaktor i wydawca Roman Zawiliński. Kraków — Tarnów. W Warszawie, E. Wende i S-ka.

W. Pressen: Stanisław Przybyszewski. Studium literackie. Lwów. Księgarnia Polska, 1903, stron 167.

Rozprawy Akademii Umiejętn. Wydział Filologiczny. Serya II. Tom XIX. Kraków, 1902, stron 427. M. Kawczyński: Amor i Psyche w poezji starofrancuskiej; A. Brückner: Ezopy polskie; C. Morawski: Parallels moi; A. Brückner: Psalterze polskie do połowy XVI wieku; S. Windańkiewicz: Dramat liturgiczny w Polsce średniowiecznej; S. Zathej: „Fraszki“ Jana Kochanowskiego. Studium literackie.

Stanisław Zakrzewski: Malowidło w podziemnej bazylice świętego Klemensa w Rzymie. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1903, stron 37.

#### POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

Bret-Harte: Ostatnie nowelle. Przekład W. Z. Kościalkowskiej. Tom I, Warszawa, 1903, stron 152 (Biblioteka dzieł wyborowych, № 271).

Feliks Chwałibóg: Humoreski. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, Księgarnia St. Sadowskiego, 1903, str. 160.

Emma Jeleńska: Z Miłości. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, b. r., str. 260.

J. A. Kisielewski: Sonata. Dramat. Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie. Drukiem Anczyca w Krakowie. (Skład główny w księgarni Stanisława Sadowskiego, Marszałkowska 115). Rok ? stron 81 i 2 nlb.

Tenże: W sieci. Komedya. Nakładem... (jak wyżej), rok ? str. 120.

Aleksander Mańkowski: Podróż za granicę. Powieść. Skład główny w księgarni S. Dembego, str. 333.

Józef Nawrocki: Strofy. Lwów. Księgarnia Polska B. Połonieckiego, 1903. Str. 52 + 4 nlb.

Wład. St. Reymont: Z Pamiętnika.—W jesienną noc.—W Porębie.—Przy robocie.—Wenus.—Legenda wigilijna.—O zmierzchu.—W głębiach.—Dwie wiosny. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, stron 248.

Wacław Rogowicz: Hedda. Poemat. Warszawa M. Borkowski, 1903, str. 30.

Sewer: Michał Kopeć. W lesie. Z Krakowa do Medyolanu. Nowele. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, str. 335.

Leopold Staff: Dzień duszy. Lwów. Nakład B. Połonieckiego. Warszawa, E Wende i S-ka, MCMIII, stron 159.

Seibor: Kwiat Lotosu.—Sen.—Biją dzwony.—Kamień węgielny.—Pieśń drutów telegraficznych. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1903 str. 204.

Cecylia Walewska: Autor. Powieść współczesna. Warszawa. Stefan Demby, 1903 r., str. 346 (z portretem autorki).

G. Zapolska-Janowska: Jak tęcza. Powieść. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1903, stron 413. Na okładce portret autorki, zeszepecony stemplem księgarskim: „Egzemplarz recenzyjny“.

#### PISMA ZBIOROWE.

Adam Boniecki: Herbarz Polski. Tomu 5-go zeszyt 7-my. (F. — Filipowiczowie). Warszawa. Gebethner i Wolff. Cena zeszytu 75 kop.

Homiletyka. Pismo miesięczne, poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu, pod kierunkiem literackim ks. Maryana Nassalskiego. Rok szósty. Styczeń, 1903. Włocławek, str. 8 nrb. i 86.

Skorowidz do „Homiletyki“. Pierwsze pięciolecie, 1896 — 1903. Pierwsza serya. Włocławek, 1903, str. VIII + 88.

Wisła. Miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Marzec — Kwiecień, 1903. Tom XVII. Zeszyt II. Treść: E. Majewski i W. Jarecki: Bydło (pecus, bos, vacca, vitulus) w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego.—A. Chudziński: Brodnica w XVIII w. (dokończenie).—M. Wawrzyniecki: Zabytki budownictwa drewnianego (z rysunkami).—I. Rądliński: Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie (dokończenie).—H. Ł.: Podania ludowe o pochodzeniu nazwy Odrzykonia.—Poszukiwania.—Sprawozdania. — Krytyka. — Przegląd czasopism. — Drobiazgi ludoznawcze. — Różne wiadomości.

---

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.